

MARTA OBUCH

JA TU TYLKO  
ZABIJAM

FILIA

MARTA OBUCH

JA TU TYLKO  
ZABIJAM

FILIA

Copyright © by Marta Obuch, 2023  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Natalia Twardy  
Zdjęcia na okładce: © Halfpoint/Adobe Stock  
© Tohamina/Freepik

Redakcja: Monika Orłowska  
Korekta: Agnieszka Luberadzka, Marta Akuszevska  
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-321-2

**FILIA**

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.



*Dla Bogdana, który sam prosił, żeby go zabić,  
i to w możliwie okrutny sposób  
(staralam się, kilka razy...),  
ale także dla Krzysztofa i Pawła,  
którzy wcale nie chcieli być zabici  
i prawie na to samo wyszło...  
Szczególne podziękowania za pomoc  
dla Pani Iwony i Pana Grzegorza oraz dla dyrekcji CINI-B!*



Bywają dni tak ciemne i ponure, że człowiek rozważa tylko dwie możliwości: pójść w alkoholizm albo popełnić samobójstwo. Tosia czuła się dziś wyjątkowo podle i wcale nie dlatego, że stało się coś konkretnego. Po prostu w środę po południu dopadł ją cholerny ból istnienia.

Zdarza się.

Zwłaszcza kiedy ma się kilka zbędnych kilogramów, o parapet bębni deszcz, a na zewnątrz jest tak ciemno, że w środku lata trzeba w południe włączać światło. Są jednostki zupełnie niewrażliwe na słońce, burze i nawałnice, a są osoby takie jak Antonina Biczak, które na każdą ciemną chmurkę i spadek ciśnienia reagują dołem albo zejściem śmiertelnym. Nie żeby Tosia sobie taki los wybrała, poza tym wcale nie zamierzała dawać za wygraną i pogrążyć się w otchłani rozpacz.

Żadnego cackania się ze sobą i roztkliwiania.

Żadnego odgrywania ofiary.

Na takie okoliczności miało się przygotowany plan B.

Po pierwsze, należy pamiętać, i nieustannie to sobie powtarzać, że życie ma charakter falowy i jutro, pojutrze, najdalej za tydzień wyjrzy słońce. I to prawdziwe, i to metaforyczne, zresztą słońce jest za chmurami przecież nawet w najbardziej paskudny dzień. Ciemne dni miną, uczucie, że się utknęło w czarnej dupie – tak, to też minie. Poza tym czarna dupa ma to do siebie, że kiedy się w niej siedzi, widzi się „jelita” do połowy puste, a czasem należy docenić fakt, że się je w ogóle posiada... Po drugie, jest takie norweskie powiedzenie, że nie ma złej pogody, są tylko złe ubrania. Kiedy nastają ciemne, ponure dni, należy się po prostu odpowiednio ubrać i wyjść z domu, i to bezwzględnie. A nie siedzieć na kanapie i w rozwleczonych gaciach wyciągać pierwiastek z nieśmiertelności. Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! Mądre księgi mówią też, że takie miętolenie w kółko własnego nieszczęścia wcale nie jest dobre.

Bo myśl stwarza rzeczywistość.

Antonina Biczak zatem z ociąganiem się ubrała (do południa snuła się smętnie po mieszkaniu w piżamie), zerknęła do lustra, mentalnie puściła pawia na widok ryżego czupiradła w odbiciu, a potem spakowała do plecaka rękawice kuchenne, dywanik łazienkowy i nieduży koc. Skoro dzisiejszy dzień i tak był do bani, trudno, do kompletu popadnie również w konflikt z prawem.

Pójdzie ratować świat.

Gdyby wiedziała, co z tego ratowania wyniknie, postawiłaby na alkoholizm.



Do domu przy ulicy Akacjowej Tosia trafiła dzięki swojemu promotorowi, profesorowi Krzysztofowi Nałęckiemu – zamiast otworzyć przewód pokarmowy, otworzyła przewód doktorski i pod kierunkiem tego sympatycznego socjologa pisała doktorat. W maju wreszcie skończyła (rok wyjęty z życiorysu), czerwiec upłynął jej na ogarnianiu uczelnianej papierologii, w międzyczasie zdała jeden z kilku obowiązkowych egzaminów i w oczekiwaniu na recenzje teoretycznie mogła się teraz cieszyć zasłużonymi wakacjami. Marzyła, żeby gdzieś wyjechać, dla higieny umysłu należy koniecznie co jakiś czas zmieniać otoczenie, ale urlop w pojedynkę jakoś jej nie nęcił, a Lulek, jej osobista podpora duchowa i najlepszy przyjaciel jeszcze z czasów dzieciństwa, mógł się urwać z pracy dopiero w sierpniu, zatem lipiec widniał przed Tosią niczym łopoczące na wietrze prześcieradło.

Czyste, świeże i nieskalane.

To znaczy nieskalane było na początku miesiąca, teraz to się miało zmienić.

Wszystko zaczęło się kilka dni temu, kiedy kolega jej promotora, profesor filozofii Bogdan Bukowiński, poprosił o pomoc w znalezieniu... zaufanej osoby do pilnowania domu podczas urlopu gospodarzy – tak to zostało ujęte, choć w praktyce chodziło o ogrodniczkę i poskramiaczkę dzikich zwierząt albo o ogrodnika i poskramiacza. Płeć nie miała znaczenia, ważne, żeby to nie był ktoś obcy. Profesor Nałęcki zapytał, czy Tosia może kogoś polecić, wcale nie przypuszczając, że zainteresowanie okaże jego własna doktorantka.

Tosia, mieszkanka Tauzena, czyli osiedla Tysiąclecia w Katowicach, jednego z największych betonowych osiedli w kraju, miałaby nie chcieć spędzić kilku dni w najprawdziwszym ogrodzie?

Ależ bez dwóch zdań!

Przy okazji świetnie się składało, gdyż profesor mieszkał całkiem niedaleko, bo na tyłach Parku Śląskiego. Żona profesora Bukowińskiego wyjechała do siostry w Bory Tucholskie, a on sam, zapalony tatarnik, znalazł w ostatniej chwili partnera do wspinaczki i zamarzył mu się kilkudniowy wypad w góry. Nie mógł w ten upał zostawić na pastwę losu ani psa, ani ogrodu – gdyby żona zastała po powrocie zdechłe hortensje, z pewnością by go zabiła. Za codzienne podlewanie grządek i karmienie czworonoga oczywiście oferował zapłatę, choć Tosi głupio było podejmować tę kwestię i kwota ostatecznie nie padła, a z samym profesorem Bukowińskim udało się jej porozmawiać tylko jeden jedyny raz, podczas przekazywania kluczy. Później, zgodnie z zapowiedzią, profesor zniknął z powierzchni globu – to znaczy z pola namierzania telefonii komórkowej. Najważniejsze, że przed zniknięciem zgodził się, żeby ogrodniczka mogła po pracy siedzieć sobie pod drzewami na leżaczku i czytać książkę, choćby do nocy.

Czy to więc nie fantastyczna perspektywa?

Z węzłem ogrodowym Tosia umiała się obchodzić, przez pierwsze trzy dni chodziła na Akacjową wczesnym rankiem, podlewała grządki, nawet z lubością je plewiła, karmiła Nietzschego (tak zwał się włochaty wypierdek, czyli wspomniany w rozmowie z profesorem pies: bardzo brzydki, bardzo nieforemny, bardzo niewdzięczny i bardzo szczekliwy psi egzemplarz) i wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze, Nietzsche – co za ponury żart! – był uwiązany do budy za pomocą ciężkiego łańcucha o długości mniej więcej dwóch metrów i chyba z tego powodu był wredny, nieszczęśliwy i ogólnie bardzo trudny w obsłudze. Po drugie, przez kolejne trzy dni non stop lało, a buda stała w zagłębieniu terenu i z każdym dniem skądinąd ten malowniczy i obsadzony nagietkami domek coraz bardziej wypełniał się wodą, tworząc coś na kształt małego jeziorka z budą pośrodku w charakterze dziurawej łajby.

Skomlenie Nietzschego nie pozostawiało żadnych złudzeń.

Należało działać.

Na przemoczoną psim pysku dało się dostrzec autentyczną żalłość i choć między Tosią a zwierzęciem nie było żadnej chemii, raczej fizyka (najzwyczajniejsze odpychanie), to trzeba by mieć



serce z kamienia, żeby nie chciał ulżyć tej istocie w cierpieniu.

Już pierwszego dnia ulewy Tosia chciała wybrać spod budy wodę znaną przy domu wiadrem, ale kiedy tylko się do niej zbliżyła, pies zaczynał tak złowrogo warczeć, że wołała nie ryzykować odgryzienia kończyny. Swoje kończynki akurat bardzo lubiła, zdążyła się do nich w ciągu swojego trzydziestoletniego żywota przyzwyczać, zwłaszcza była przywiązana do nóg, podobno nad wyraz zgrabnych, a że był to jej jedyny atut, zrezygnowała.

Drugiego dnia woda już całkiem weszła do budy, pies przebierał łapami, ale warczał nadal, choć z mniejszym zapałem, a profesor wciąż nie odbierał telefonu. Tosia próbowała uzyskać od sąsiadów namiar na panią Bukowińską, ale w sąsiednich domach nikogo nie zastała, a kobieta z naprzeciwka powiedziała, że o ile jej wiadomo, pani Bukowińska zmieniła niedawno numer i przed wyjazdem nie zdążyła go nikomu podać. Profesor Nałęcki też nie odbierał i Tosi pozostało mieć nadzieję, że przestanie łąć.

Nie przestało.

Lało całą ostatnią noc, a teraz z ponuro nastroszonego nieba siępało coś, co początkowo może i było kapuśniaczką, ale obecnie deszcz przypominał raczej pomidorową z ryżem – plaskał o trawnik nie strugami, tylko mętnymi kulkami wody. Ogród stracił blask, panosząca się wszędzie zieleń przeszła w rozmytą szarość, produkcja chlorofilu w przyrodzie drastycznie spadła.

Nietzsche nie szczyrzył już kłów.

Cichutko skomlał i Tosia uznała, że postąpiła słusznie, zabierając z domu niezbędny ekwipunek ratowniczy – zdaje się, że po spotkaniu z psem nie wylądował w szpitalu z rozszarpaną krtanią. Psina najwyraźniej całkiem opadła z sił, wczorajsza wrzucona do budy kość leżała rozmoczona na brzegu jeziora.

– Dlaczego już sobie pewne kwestie przemyślałeś, co, kolego? – Tosia usiłowała nawiązać ze zwierzęciem kontakt, czuła jednak, że pytanie trafiło w pustkę. – I nie będziesz kasał wyciągniętej do ciebie ręki?

Za obietnicę musiało jej starczyć łypnięcie przepastnie czarnych i ponurych oczu.

– Dobra, ale najpierw trzeba coś zrobić z tym żelastwem...

Westchnęła i przyjrzała się łańcuchowi, po czym zrobiła kilka kroków w kierunku budy. Nietzsche zapiszczał, co przekonało ją, że warto zaryzykować i dokonać małego włamania. Małego, bo przecież chciała uwolnić psa z okowów, a nie sięgnąć po zawartość skarbca NBP, działała w dobrej wierze. W porośniętej dzikim winie budce z narzędziami nie spodziewała się znaleźć diamentów, ale nożyce do cięcia metalu.

Zanim do tego jednak doszło, usłyszała dzwoniący telefon.

Profesor Nałęcki, wreszcie!

– Dzień dobry, pani Tosiu.

– Panie profesorze! Jak to dobrze, że pan dzwoni.

– No, no... Czyli nie jest jeszcze tak źle, skoro doktorantki się cieszą, kiedy...

– Panie profesorze! Ja się w ogóle NIE cieszę, to znaczy cieszę się, że pana słyszę, ale ogólnie to tragedia, bo ta gazdźnia... Znaczy pies... – zaplątała się Tosia. – Pies profesora Bukowińskiego...

– Pies, no rozumiem, co z nim?

– On się zaraz utopi i ja go muszę uwolnić, a nie mogę się dodzwonić do pana kolegi. I muszę się włamać! Ale wcale nie chcę się włamać, tylko on piszczy tak, że nie mogę już tego znieść. Zaraz zwariuję! Czy pan się zgadza na włamanie?!

Tosia dała pospiesznie upust emocjom, możliwe, że w sposób dość chaotyczny, bo profesor chyba nie zrozumiał.

– Włamanie? Ależ to doskonale się składa, pani Tosiu!

– Proszę?

- Gdzie pani teraz jest?

- Przecież na Akacjowej. Czemu się doskonale składa? - zapytała niemal płaczącym głosem. - Ja się wcale nie chcę włamywać, mówiłam...

- Doskonale, że pani dzwoni. Proszę pani, ja się na tym nie znam. Nic o tym nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Teraz to już Tosia całkiem zgłupiała, na domiar złego deszcz zaczął przybierać na sile tak, że musiała się gdzieś schować, żeby ratować telefon przed zamknięciem. Co ten profesor gada? Nic o tym nie wie? W sensie, że oficjalnie nie chce wiedzieć, że ona się włamuje?

- Panie profesorze...

- Pani Tosiu, zaraz tam będę. Za pół godziny! - zagrzmiał profesor wielce z czegoś ucieszony. - Tylko wysiądę z tego upiornego autobusu i zamówię taksówkę... Tak się składa, że mnie, proszę pani, nie interesuje niczyje życie prywatne...

- Życie prywatne?!

Co ma włamanie do życia prywatnego? I niby kogo to życie? Przecież nie jej, już prawie całkiem zapomniała, co to takiego randka, na prawdziwej randce była dwa lata temu, a wysłuchiwanie zwierzeń swojej przyjaciółki Goški, która tonęła w skomplikowanym romansie, trudno było nazwać życiem prywatnym.

Tosia usiłowała rozwikłać zagadkę, ale profesor ją uprzedził.

- Pani Tosiu, to nie do pani... Może się pani po prostu przysiadzie do kogoś innego? Tam siedzi jeden samotny pan... Na pewno będzie zadowolony z towarzystwa. To naprawdę fascynujące, ale przepraszam, mam pilną sprawę do załatwienia. Żegnam panią... Pani Tosiu!

- Jestem...

- Wybawiła mnie pani od... Nieważne. Ważne, że udało mi się uciec - sapnął profesor i po oddechu można było wnioskować, że się spieszy. Trzasnęły zamykane drzwi, w słuchawce dał się teraz słyszeć, dla odmiany, zgiełk ulicy. - Tylko co to znaczy, że pies się topi i musi się pani włamać? - spytał już po swoim głosem dociekliwego naukowca. - Gdzie? Do domu? Przecież pies jest na zewnątrz, o ile mi wiadomo. I jak to się topi? W czym?

- W wodzie...

- Domyślam się. Ale gdzie ta woda? W studni, w stawie... Musi się pani gdzieś rzucić, wskakiwać? Po prostu zastanawiam się, czy pani nic nie grozi.

Tosi zrobiło się pod nieprzemakalnym płaszczem gorąco, a Nietzsche zaczął wyć, ale jakoś tak dziwnie, jakby żarł podłgą karmę i w połowie się rozmyślił, a karma przykleiła mu się do podniebienia.

Tosia podjęła kobiecą decyzję.

- Leje - obwieściła mało odkrywczo, ale już nie miała sił, żeby szczegółowo wszystko objaśniać. - Buda cała zalana, a ta gadzina jest przywiązana do niej łańcuchem. Trudno, nie chcę mieć go na sumieniu, oficjalnie zawiadamiam...

- Pani Tosiu!

Profesor jeszcze coś mówił, ale Tosia przeprosiła i zakończyła połączenie, po czym wzięła energiczny rozmach i z nieskrywaną satysfakcją kopnęła w drzwi domku z narzędziami. Ma się jeszcze w nogach ten power! I kalosze się przydały, w sandałach taki wykop sprawiłby trudności techniczne. Zaraz brzęknęło, skobel odskoczył, a wewnątrz domku stanęło przed nią otworem.

Nieco makabrycznym otworem, jak się zaraz okazało.

Ze środka buchnęła zapachowa mieszanina zamokłego papieru, smaru, świeżego drewna i jeszcze czegoś. Czegoś, co pozostawia w ustach metaliczny posmak... I kiedy wzrok Tosi przyzwyczał się do półmroku, uświadomiła sobie, na co, a właściwie NA KOGO, patrzy.

A otóż na półżywego profesora Bukowińskiego.

Biedak już nie miał sił wydawać z siebie dźwięków – jego szyję oplatał gruby sznur biegnący drugim końcem do imadła przytwierdzonego do wielkiego drewnianego stołu, pod którym profesor w półprzysiadzie dyndał, wywalając białka oczu w każdą możliwą stronę. Ledwie dotykał nogami ziemi.

Czy tak wyglądała agonia?

W dodatku imadło i profesor byli obficie umazani czymś, co z pewnością nie było keczupem, ale...

Najprawdziwszą krwią.

W tym momencie nieco zakrzepła, ale wciąż połyskującą intensywnym szkarłatem.

Tosi zaczęły latać przed oczami czerwone płatki...

Nietzsche wył.



„Każdej minuty życie zaczyna się na nowo”.

Czy to nie pocieszające?

Można się upodlić, paść na twarz, zaważyć coś niezwykle ważnego, a potem i tak dostać od losu szansę, a właściwie – dać ją sobie samemu. Profesor Nałęczki dumał w duchu nad słowami Thomasa Mertona, kiedy na przystanek w podziemiach dworca wtoczył się, burcząc żółtym brzuchem, autobus jadący do Silesii. Nie żeby centra handlowe to były miejsca, za którymi profesor przepadał, ale tak rozwijało się społeczeństwo: od indywidualizmu po trywialną powtarzalność i upragnioną przez większość masówkę, odcięcie się od tego obłędu było nadzwyczaj trudno. Mnogość bodźców, mnogość szopingujących kobiet, mnogość cudzych myśli, które niczym głodne ptaki krążyły pod przeszklonym sufitem wokół kwestii tak ważkich jak letnia promocja – we wczesne poniedziałkowe popołudnie prawdopodobieństwo zmierzenia się z tym wszystkim było jednak niewielkie, za to prawdopodobieństwo nabycia obuwia, w którym można pomykać po rozgrzanych greckich pustkowiach (profesor wybierał się niebawem na wakacje), z chwili na chwilę rosło.

A zaraz potem zaczęło gwałtownie maleć.

Profesor wszedł do pojazdu, wyciągnął swoim zwyczajem książkę i już miał zasiąść na upatrzonym miejscu i pograżyć się w lekturze, kiedy zauważył machającą do niego z podwójnego siedzenia kobietę. Na pewno do niego, tylko on wsiadł tymi drzwiami. Ten błysk rozpoznania w umalowanym oku, ten nagły gest przywoływania, ta radość...

Czy wypadało to wszystko zignorować?

Jednocześnie profesor usiłował sobie w panice przypomnieć, skąd, do licha, zna tę twarz. Bo znał, w odmętach pamięci majaczyła mu rodzima uczelnia, ale gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach...

– Krzysiu! Jak miło cię widzieć!

– Ooo... Dzień dobry – wydukał zaskoczony poufałością i usiadł. Krzysiem nazywała go mama i tylko jej na to pozwalał. Zdrobnienia są dobre dla piesków, może dlatego się zjeżył. – Też się pani wybiera do...

Już, niepomny niebezpieczeństwa, chciał zdradzić cel podróży, ale entuzjazm w intensywnie niebieskich jak kostka do WC oczach powiedział mu, że mogłoby się to źle skończyć.

A nuż kobiecie przyjdzie do głowy wysiąść razem z nim?

– Jadę do domu, mieszkam na Klimzowcu – wyjawiała, nachylając się do niego zachęcająco i profesor poczuł dreszcz. I nie był to dreszcz rozkoszy. Czy nie tak czuli się starożytni Ateńczycy tuż przed inwazją Spartan? – Nie mów, że ty też...

- Na Klimzowcu? Yyy, nie! - zaprzeczył czym prędzej. - Ja zdecydowanie nie!

- A gdzie mieszkasz?

Tego typu pytania były jak kamyk w bucie. Prywatność profesor oddzielał od swojego życia zawodowego grubą, bardzo grubą kreską i już tylko samo zbliżenie się do niej odczytywał jako wścibstwo, a wścibstwa nienawidził.

- Jestem obywatелеm świata - rzucił górnolotnie i spróbował się zaśmiać, ale kobieta od błyskotliwości ceniła sobie raczej bardziej błyskotki, którymi była cała obwieszona.

Kolczyki, naszyjnik, pierścionki, brakowało jedynie błysku na zębach, zachęcająco odsłoniętych w uśmiechu aż po same dziąsła.

Profesorowi zrobiło się naraz nieswojo.

- Aaa... Spoko, ja też - skwitowała i zaraz przeszła do konkretów. - Krzysiu, ty jesteś mądry facet, dobrze, że cię spotkałam. Może się wypowiesz...

- Mądry? - zaprotestował, bo zwierzenia obcych kobiet to było coś jak ciężkie perfumy. Nie można od nich uciec, cholerstwo wgrzyza się w słuzówki, dusi, a potem zostaje już tylko potworny ból głowy. - Bardzo dziękuję, ale nie ryzykowałbym takich tez. To raczej antycypacja.

- Czemu anty...

- Domniemanie, przypuszczenie, założenie - wyrecytował automatycznie, widząc jej zdezorionowaną minę.

- Aaa! Bo już się zastanawiałam, czy to ma coś wspólnego z antykoncepcją i o co kaman w ogóle. - Zarechotała, zadowolona z rzuconego żartu. - W sumie to całkiem à propos. Bo ja się, Krzysiu, zastanawiam, co jest ze mną nie tak.

Jako racjonalista nawet nie próbował doszukiwać się w tych słowach logiki - mierzył zamiary na siły.

Skąd on ją znał, skąd znał...

Studentka?

Na oko miała czterdziestkę, więc może była pracownikiem administracyjnym?

- Z każdym z nas, na dobrą sprawę, jest coś nie tak - próbował bagatelizować, choć jego rozmówczyni chyba oczekiwała, że będzie zaprzeczał. Tylko nie zwierzenia, tylko nie one! - Wracam właśnie z uniwersytetu...

- Ale powiedz... - Kobieta beztrzesko zdławiła wątek naukowy. Znowu się do niego nachyliła, ścisząc głos na znak, że zaprasza go do swojego intymnego świata, choć w sumie czuł się do niego zagoniony już na samym początku. A wszystko za trzy złote sześćdziesiąt groszy, bo tyle kosztował bilet na autobus w aplikacji mobilnej. - Wiesz, faceci niby zawsze za mną szaleli, nie mogłam się od nich opędzić...

- Szczerze współczuję, naprawdę.

- Wyobraź sobie, że rzucali się na mnie w windach!

- Tu nie ma windy! - skonstatował z triumfem profesor, jakby dokonał ważnego odkrycia.

Nie na wiele się to jednak zdało.

- Ale i tak czuję się i zawsze się czułam bardzo samotna - ciągnęła tamta niezrażona, mrugając umalowanymi oczętami. - Masz pojęcie? Krzysiu, jak uważasz, czy JA MAM JESZCZE SZANSĘ NA MIŁOŚĆ?



Tosia przez chwilę nie wiedziała, co robić.

Ledwie dała radę rozwiązać sznur, ledwie profesor opadł na ziemię niczym jesienny liść, usłyszała brzęk łańcucha, wycie, a w chwilę potem jakiś facet na zewnątrz zaczął się wydzierać:

- Poszła stąd! Wynocha! Wujek, jesteś tam?!

Profesor wyciągnął dłoń, jakby chciał na coś wskazać, ale dłoń wyglądała na ulepioną z plasteliny. Bezwładnym, miękkim ruchem opadła na tułowie właściciela.

- I jeszcze się zesrał! - Głos na zewnątrz nie milkł. - To bezczel, nie mogę... Wuuuujek!

- Panie profesorze! - Tosia w końcu ocknęła się z szoku. - Żyje pan?!

- Ywłymmm - padło w odpowiedzi i profesor zaczął zipać jak wyrzucony na bałtyckie wybrzeże śledź.

Siny i podkarmiony rtęcią.

- Pogotowie! Już dzwonię! - Tosia zerwała się na równe nogi, sięgnęła po komórkę i mimowolnie zerknęła przez drzwi na podwórko.

I trochę się zdziwiła.

Buda była pusta, obok budy sterczał przekrzywiony rozmokły kołek, a Nietzsche, pobrząkując łańcuchem, biegał z demoniczną miną po sąsiedniej posesji, którą zdążył już ozdobić pośrodku chodnika wielkim stosem czarnych jak smoła odchodów.

Krzyczącego faceta nigdzie nie można było namierzyć, więc Tosia, rzuciwszy okiem na profesora (samodzielnie usiadł), postanowiła szybko wykorzystać moment i złapać tę czarną gangrenę. Zadzwoić zawsze zdąży, ryzyko zejścia śmiertelnego już chyba nie występowało, a w końcu miała się tą gadziną opiekować.

Za budą, w ogrodzeniu, znajdowała się otwarta furtka, to Tosia ustaliła już pierwszego dnia pracy, złapała zatem w przelocie opartą o ścianę budki łopatę i pognęła do sąsiada.

- Nietzsche, ty to zrobiłeś specjalnie! - stwierdziła, zaglądając z naganą w psi pysk, wykrzywiony teraz w groteskowym uśmiechu. Pies przykucał tuż przy sporej dziurze wykopanej w ziemi pod murkiem. - Gówniana robota... - wymamrotała Tosia pod nosem i ledwie zdążyła zagarnąć odchody na łopatę, kiedy z garażu wyszedł...

O matko, córko i wnuczko...

Wyszedł mężczyzna, ale jaki!

Rosły, muskularny, opalony, wyprężony jak struna, z ironicznym błyskiem w szarym oku. Był chyba po czterdziestce, jego skronie znaczyły srebrne nitki. Nienagannie ubrany, a inne jego nienaganne ubrania zapewne spoczywały w nienagannie eleganckich walizkach ustawionych przy wielkim czarnym aucie, zapewne nienagannej marki, ale na samochodach Tosia znała się mniej więcej tak jak na gwiazdach. Mały Wóz, Wielki Wóz czy... autobus, było jej wszystko jedno.

Ale ta twarz, ta piękna twarz o wybitnie inteligentnym wyrazie, to było coś!

Od wozów Tosia zdecydowanie wolała mózgi, najlepiej klasy A.

- Co pani tu robi? - padło z kształtnie zarysowanych ust, głos jednak nie był miękki.

Fakt, znalazła się tu nielegalnie, ale czemu w takim razie furtka między posesjami nie była zamknięta? Zastanawiając się, co odpowiedzieć i czy wspomnieć o profesorze dyndającym pod imadłem, Tosia odruchowo machnęła łopatą, żeby ukryć jej zawartość za plecami, ale efekt był taki, że bobki posypały się z powrotem na chodnik niczym garść M&M'S-ów.

Tuż pod nogi gospodarza.

- Ja... ja tu tylko sprzątam! - palnęła w popłochu, nie mając pojęcia, że jedno zdanie może zdecydować o czymś losie.

Ale zdecydowało.

- Jak: sprzątam? Chyba raczej na odwrót... Nietzsche! - Mężczyzna skarcił psa tak wymownym wzrokiem, że Nietzsche, nie myśląc wiele, zawarczał i dał nura w dziurę.

- Pan go zna? - zdziwiła się Tosia.

- Tego diabła wcielonego? Niestety. Pan Bukowiński to mój wuj - usłyszała w odpowiedzi. Mężczyzna zerknął na samochód. - Właśnie wróciłem z wakacji. Co się tu wyprawia? Kim pani

jest? A, mówiła pani, że pani sprząta... U wuja?

– Można to tak określić. I właśnie profesor...

– To może posprząta pani też u mnie? – podchwycił czym prędzej, patrząc z dezaprobatą na ślady biologiczne u swoich stóp.

– O, przepraszam – zaczęła Tosia, ale ugryzła się w język. Nie, żadnej uniżoności i żadnego przepraszania, to przecież nie ona narobiła tu bałaganu. – Zaraz się tym zajmę.

– Nie ma sprawy. O okna mi chodzi. Szukam kogoś do ich mycia i sprzątanía. – Mężczyzna machnął znużony ręką na swój dom pełen... Nienagannych okien? Brudne raczej nie były. Tosia oceniła to jednym spojrzeniem. – Może wpadnie pani do mnie jutro rano? Dwa tygodnie mnie nie było, dom pewnie zarósł brudem. Sam nie będę latał ze ścierą...

Ostatnie zdanie nie było zbyt miłe, osiadło w Tosi z równie nieprzyjemnym dźwiękiem, co autorska produkcja *by Nietzsche* na kostce brukowej, ale zaraz właściciel szarych oczu spojrzął w jej zielone oczy jakoś tak, że wszystko poza tym spotkaniem straciło znaczenie.

Przecież każdemu zdarzy się coś palnąć, czy zaraz należy człowieka oceniać?

– Mogę zajrzeć – przytaknęła ze skrywaną radością.

A co jej zależy, pociągnie „ścierą” tu i tam, żadna praca nie hańbi, ale za sprzątanía zaśpiewa mu taką cenę, że facet raczej będzie wolał się przeprowadzić do garażu, niż zatrudnić ją na stałe. A tymczasem...

Poznają się bliżej?

– To jesteśmy umówieni. Igor Dziedzic. – Wyciągnął w jej kierunku mocną dłoń.

Jak przyjemnie było ją uściskać!

– Antonina Biczak.

Upojna chwila jednak nie trwała długo, Igor nie tracił czasu na przeciągane uprzejmości.

– Fajnie. A gdzie wuj?

Tosia spojrzała z obawą na budkę z narzędziami.

– Chyba stało się coś złego. Wuj jest tam, właśnie miałam dzwonić po pogotowie...

– Pogotowie?!

Po chwili profesor Bukowiński, wsparty na ramieniu krewnego, który nie bał się pobrudzić swojej śnieżnobiałej koszuli, co Tosia odnotowała z wielkim ukontentowaniem, na samo wspomnienie o opiece medycznej zareagował takim samym wstrętem. Napojony mineralną i wyniesiony na powietrze o żadnym pogotowiu nie chciał słyszeć.

– Żadnego pogotowia, żadnych szpitali! – zagrzmiał, wyrwał się siostrzeńcowi i opadł na trawnik.

Jego głos odzyskał zwykłą siłę, rozniósł się po posesji głośno niczym dzwon i Tosia po raz kolejny stwierdziła, że profesor z powodzeniem mógłby występować w radiu. Igor również, obaj panowie wydawali ze swoich gardel dźwięki niemal godowe, tak były rozbrajająco głębokie i męskie.

– A policja? – podesunęła Tosia, w sumie nie dziwiąc się profesorowi. Z usług polskiej służby zdrowia sama korzystała tylko w ostateczności.

Czy to nie była ostateczność?

Pobladła i pociągała twarz profesora Bukowińskiego ukryta pośród ciemnego zarostu emanowała godnością nawet teraz, kiedy filozof przebierał swoimi szczupłymi kończynami, polegając na mokrym trawniku. Ktoś inny wyglądałby w tej pozie jak przewrócony na plecy robak, profesor wyglądał jak...

Przewrócony na plecy profesor.

– Ale może mieć pan jakieś złamanie, którego nie widać.

- Złamane to ja mogę mieć tylko serce, kiedy młoda kobieta patrzy na mnie jak na staruszka przed dializą.

No proszę, profesorowi wróciło poczucie humoru.

Tosia odruchowo zarechotała, ale zaraz przypomniała sobie powagę sytuacji.

- Musimy zawiadomić policję.

- Żadnej policji! Żadnego zamieszania!

- Ale przecież krew, sznur... - próbowała protestować, mimo że chwilę wcześniej profesor stanowczo odmówił odpowiadania na wszelkie pytania dotyczące zdarzenia. - Chyba że pan sam się tak...

Nie wiedziała, jak dokończyć, czuła się dość niezręcznie, ale czy profesor wyglądał na samobójcę?

- Wuju... - Teraz włączył się Igor. - To może Marchewka? Trzeba złapać tego, kto ci to zrobił. Nie można tak tego zostawić.

Tosia założyłaby się, że zaraz usłyszy „żadnej włoszczyzny!”, ale profesor nabrał powietrza i nosowym tonem chrząknął.

- Marchewka w porządku. Marchewka może być.

- To nasz sąsiad, policjant - wyjaśnił Igor, dźwigając wuja, któremu pomógł dotrzeć na ławeczkę pod jabłonią. - To ja w takim razie po niego pójde, zaraz wracam.

Nieopodal, przywiązany do trzepaka, leżał Nietzsche - na Tosię już nie warczał, teraz już tylko ją ignorował. Nie przeszkadzało mu to pożreć zamoczonej kości, ale na widok wody w misce odwrócił pysk z pogardą.

Podobną minę zrobił, zerkając na idącego do furtki Igora.

- Pan profesor lubi Nietzschego? - zagałała Tosia.

- Ani go lubię, ani nie lubię. Syn mi go tydzień temu przywiózł, bo mu obgryzał meble... Jak ma tylko dłuższy łańcuch, niszczy wszystko. Nie wiem, co z tym psem zrobić, nie mam do niego siły, muszę odpocząć.

- Ale ja pytałam o Fryderyka Nietzschego, filozofa.

- Jaki tam z niego filozof... - mruknął profesor, kręcąc sporym nosem.

Oczy miał w kolorze piwa, tyskie pszeniczne, z drobkami złota, teraz nieco przygasłymi. W sumie nie byli z Igorem podobni do siebie z twarzy, choć ta inteligencja zapisana w rysach - tak, to musiało być rodzinne. Na licu profesora malowały się smutek i rezygnacja i Tosia musiała walczyć, żeby się jej te emocje nie udzieliły, choć na miejscu profesora pewnie byłyby w dużo gorszym stanie.

Nie co dzień ma się na szyi sznur w charakterze krwawego szaliczka.

- Jak to?

- Nietzsche to żaden filozof - powtórzył profesor, wzdychając i przykładając palce do skroni. Rana już nie krwawiła, rozcięcie, na szczęście, nie wyglądało na poważne. - Jego książki to bardzo dobra literatura. Ale to wizje, a nie namysły nad sensem natury. Szalony w swojej nieprzewidywalności - dodał, posyłając kulce czarnej sierści zniechęcone spojrzenie, i wtedy w poskramiacze dzikich zwierząt coś drgnęło.

Czy ten wredziol Nietzsche, pies, czy on jest tak wredny, bo jest nieszczęśliwy, czy raczej na odwrót? Tosia nagle zapragnęła się tego dowiedzieć. Profesor musi odpocząć, to z pewnością - co prawda mogłaby zaproponować, że będzie tu wciąż przychodzić, ale czy to nie zabrzmiało by jak wpraszenie się? Albo, co gorsza, naciąganie?

A może po prostu...

Może znajdzie psu nowy dom?

- A wracając do psa... - Tosia nie przestawała drążyć. - Bo jeśli by pan wolał, żeby on zniknął...

Profesor znieruchomiał.

– Nie, przecież go nie utopię! – zapewniła, wbijając wzrok w bajorko i tkwiącą pośrodku budę. O dziwo, przestało w końcu padać, a nawet się rozjaśniło.

Stońce wyjrzało nieśmiało zza chmur i zaczęło podświetlać każdy mokry listek, każdą napęczniałą od wody gałązkę, jakby oceniało, ile czasu zajmie mu przywrócenie scenerii do punktu wyjścia.

Tosia miała nadzieję, że upora się z tym raz-dwa.

– Mnie już dzisiaj nic nie zdziwi. – Profesor Bukowiński znowu westchnął.

– Spokojnie. Aż tak morderczych instynktów w sobie nie posiadam, choć czasem żałuję...

– He, he.

– Ja bym miała w związku z sytuacją pewien pomysł, ale nie wiem, czy się uda. Ten przystojniak – zerknęła w rozczochną mordę – nie zachęca do...

– Bliższych kontaktów – dokończył ponuro jego pan.

– Otóż to. Ale mogłabym się postarać znaleźć mu nową rodzinę. Co pan profesor o tym sądzi?

– Świetny pomysł! Chyba najlepszy.

– W takim razie, jeśli nie ma pan nic przeciwko, wezmę go do siebie już dzisiaj i spróbuję mu kogoś miłego znaleźć. Mam nadzieję, że do tego czasu jakoś z nim wytrzymam.

– Przeciwko? Miałbym mieć coś przeciwko? Ależ pokrywam wszystkie koszty! Właśnie, proszę do mnie jutro zajrzeć, musimy się rozliczyć.

– Z przyjemnością. – Tosia zerknęła na ogrodzenie, za którym dały się słyszeć męskie głosy, a rozpoznawszy pośród nich ten jeden, wibrujący niski baryton, od razu się ożywiła.

Wracającemu Igorowi ktoś towarzyszył.

– Jak to znalezione ze sznurem na szyi?! – Od furtki rozniósł się znajomy głos profesora Nałęckiego i po chwili wzburzenie i niepokój rozeszły się po podwórku niczym fala uderzeniowa.

Profesor Nałęcki, ekstrawertyk, lubił wielkie wejścia.

Postawny siwiejący blondyn o krzaczastych brwiach i blond brodzie przyodziany był jak zwykle w nieśmiertelną kamizelkę, którą nosił nawet w największe upały. Jej kolor i fason mogły się zmieniać, ale wśród studentów krążyły głosy, że jeśli profesor Nałęcki przyjdzie któregoś dnia na zajęcia bez niej, Uniwersytet Śląski przestanie istnieć.

Korowód zamykał drobiaźcy za profesorem i Igorem niewielki facecik starający się dla odmiany nie zajmować swoją mikrą osobą zbyt wiele miejsca, jednak jego spojrzenie – bystre i nieustannie dookoła wszystko lustrujące – wiele o nim mówiło. Ubrany był w czarne bojówki i czarną obcisłą koszulkę, spod której wychylały się zawiązki rachitycznych mięśni, a jego oczy błyszczały pośród długiej grzywy o trudnym do określenia kolorze.

– Zaraz, chwileczkę, czy ja dobrze rozumiem, że w takim razie miała tu miejsce... Próba MORDERSTWA?! – nie przestawał dociekać profesor Nałęcki, od którego ewidentnie bił zapach.

Było go słychać chyba nawet w planetarium i przybyłemu z nim policjantowi to nagłośnienie raczej się nie spodobało.

Igorowi również.

– Nawet jeśli – trzeźwo ocenił, obserwując, jak komisarz Marchewka sprawnym ruchem wyciąga z kieszeni jednorazowe rękawiczki – to proponuję mówić ciszej. Wujowi raczej nie zależy, żeby to rozgłaszać.

Mina profesora Bukowińskiego mówiła, że zależy mu na czymś wręcz odwrotnym.

– Krzysztof, jakie morderstwo... – mitygował z wyraźnym trudem. – Rower po prostu mi jakiś łobuz chciał buchnąć, a ja się napatoczyłem...

W końcu zaczęły padać smakowite szczegóły!



Tosia starała się nie uronić nawet słowa, a w tym samym czasie po cichu organizowała sobie transport. Igora jako kierowcę od razu skreśliła z listy.

Bo kto przyjmie do swojego samochodu podsrywającego psa? Kto nie będzie kwękał, że zwierzę zabrudzi mu tapicerkę, bo to raczej tapicerka stwarza zagrożenie dla pasażera? Kto w końcu nie będzie zadawał żadnych pytań, zamiast tego zwolni się z pracy i przyjedzie jej pomóc?

Lulek, oczywiście, czyli Jerzy Zender, któż by inny.

Przydomek jego posiadacz nadał sobie sam, kiedy uczył się mówić i nie potrafił wypowiedzieć swojego imienia. Zważywszy, że zarówno mały, jak i duży Lulek kochali lulać, czyli spać, bliscy podchwycili przezwisko, które przywarło do właściciela po wsze czasy.

Tosia wysłała więc przyjacielowi wiadomość na Messengerze: „Bardzo potrzebuję transportu, w taksówce nie mogę naświnić. Przyjedziesz po mnie? Proszę. Akacja, adres znasz”.

W ogrodzie tymczasem trwało przesłuchanie, które prowadził... profesor Nałęcki.

– Bogdan, to nie są żarty, to się mogło naprawdę źle skończyć! – grzmiał, przyglądając się ranie na głowie kolegi. – Ale ja nie rozumiem. Wy tłumaczcie mi jedną rzecz, czemu pani Tosia chciała się wobec tego włamywać, skoro byłeś w domu?

– Nawet nie zdążyłem do niego wejść.

– A ja nie wiedziałam, że profesor wrócił – pospieszyła z wyjaśnieniami Tosia. – Brama się automatycznie zatrzaskuje, myślałam, że nikogo nie ma.

– Włamywać? – Komisarz Marchewka, mały, ale czujny, wystawił głowę z budki z narzędziami, którą właśnie oglądał. – Kto się chciał włamywać?

Tosia opowiedziała historię z uwięzionym w budzie przez ulewę Nietzsche. Komisarz wysłuchał jej bez jednego komentarza i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy ponownie zanurkował do środka jak ptaszek do budki.

– Pani Tosiu, o której to było? Trzeba ustalić dokładną godzinę zdarzenia – zarządził uroczyście profesor Nałęcki.

Tosia miała w dłoni komórkę, mogła zatem od razu podać czas.

– Dzwoniłam do pana pięć po trzynastej.

– Bardzo dobrze. Bogdan, a ty o której byłeś na miejscu?

– Poczekaj... Pociąg przyjechał do Katowic o wpół do dwunastej, wsiadłem w tramwaj i szedłem przez park... Czyli...

– Czyli trzeba liczyć godzinę.

Profesor Bukowiński skinął głową.

– Ale czemu poszedłeś po rower? A nie do domu?

– Chciałem coś zjeść i od razu pojechać na uczelnię. Zamierzałem go wystawić.

– To o tym rowerze mówimy? – Komisarz wyprowadził z budki czarny, błyszczący rower elektryczny, który zapewne był sporo wart.

Tosia pojazd kojarzyła, widywała czasem mknącego na nim po terenie kampusu profesora. Że też mu się chciało... Ale może dlatego profesor wciąż się tak dobrze trzymał. I wcale nie miał, jak ona, zbędnych kilogramów.

– Tak, mówimy o nim.

– Popatrz, jednak nie ukradł! – ucieszył się profesor Nałęcki, a Marchewka łypnął na niego niemal tak samo jak Nietzsche.

W psim spojrzeniu nie było zbyt wiele entuzjazmu.

– Trochę się poszarpałiśmy – wyznał profesor, znowu pocierając skroń. – Uderzyłem głową w kant stołu i mnie zamroczyło. Obudziłem się dopiero, kiedy pani Tosia...

– Ale czemu zakładasz, wuju, że on chciał ci ten rower ukraść? – zastanawiał się Igor, co rusz popatrując na Tosię, ni to z wdzięcznością, ni z zastanowieniem, aż zrobiło się jej gorąco.

Gdyby przypuszczała, że spotka dziś ideał faceta, jednak nie poprzestałaby na worku na ziemniaki, bo tylko tak można było nazwać nieprzemakalną kurtkę koloru łajna, którą na siebie narzuciła, myśląc wisielczo: *Why not?*. Kalosze również nie dodawały jej szyku, nie mówiąc o włosach, które skręcały się teraz pod wpływem deszczu w miedziane spirale, tworząc na jej czaszce coś na kształt dziwnego grzyba. Nastrozonego i porastającego spróchniały pień.

Takim martwym pniem czuła się dziś jeszcze o poranku.

Ale teraz...

Pod spojrzeniem Igora odbiła od ziemi niczym młoda brzoźka!

– Yyy... – Nietzsche posłał im zniesmaczone piśnięcie.

– Wuju?

– Jak wszedłem do budki, to zobaczyłem, że jakiś facet coś przy nim majstruje. Krzyknąłem, facet się odwrócił, ale twarz miał zakrytą chustą...

– Coś charakterystycznego? Jakiś pieprzyk, kształt nosa – podpowiadał z nadzieją profesor Nałęcki.

– To były sekundy. W środku było ciemno...

– Nie wiem, Bogdan, ale to dość zastanawiające. – Nałęcki był wyraźnie niezadowolony. Spojrzał karcąco na kolegę zza zsuniętych okularów, które założył, żeby notować. – Facet chce ukraść rower, ale go nie kradnie, a sposobność jednak była, bo przecież straciłeś przytomność. Zamiast tego przywiązuje cię sznurem do imadła. To jakiś absurd!

– Na świecie jest pełno psycholi – podsumował Igor i wtedy dołączył do nich komisarz Marchewka z dość marsową miną.

– Sąsiedzie, przykro mi, ale doszło tu co najmniej do włamania. Żebym mógł kontynuować czynności, musi pan to zająć najpierw oficjalnie zgłosić. – Ostatnie słowa skierował do profesora Bukowińskiego, po czym zwrócił się do jego kolegi głosem surowym jak... surowa marchewka. – A pan tu jest w jakim charakterze, jeśli mogę spytać?

Obaj uczeni i brodaci mężowie naraz jednocześnie drgnęli i dopiero teraz Tosia zauważyła między nimi podobieństwo, które zachodziło jakby na opak. Profesor Bukowiński – szczupły, żylasty brunet o melancholijnym spojrzeniu – i profesor Nałęcki – rosy, korpulentny blondyn o spojrzeniu prześmiewczym – byli we dwojkę jak Platon i Sokrates.

Albo jak awers i rewers.

I choć w postawie profesora Nałęckiego widać było całe mnóstwo dobrych chęci, to ten awers jednak się między nimi, nie wiedzieć czemu, pałętał.

Zapowiadało się ciekawe lato...



Co tu dużo mówić.

Lulek durzył się w Tosi od wielu, wielu lat.

Ale w ciągu tych wielu, wielu lat zdobył się tylko na jedną próbę zasygnalizowania jej, że on by chętnie przestał być przyjacielem, a zaczął być...

Chłopakiem?

Zresztą czy etykiety miały tu jakiegokolwiek sens?

Za Tosią skończyły w ogień, poszedłby za nią jak w dym, dla niej przeczotałaby się przez Pustynię Błędownską, dotarłby na klęczkach do Piekar albo nawet i na Jasną Górę. Próba wyrażenia tego dogłębnego uczucia okazała się jednak totalną porażką, która w dodatku zostawiła trwały ślad na jego męskiej psychice. A wszystko przez to, że pewnego zimowego wieczora na parkingu pod lidlem puścili z głośników *Jingle Bells*. Zrobiło się jakoś tak ckliwie, błogo i Lulek postanowił

Tosię pocałować. Wsparła się na nim, wyciągając z kolejki wózek i kiedy się odwróciła, natrafiła na Lulkowy złożony do pocałunku zakuty ryj. Gwoli ścisłości – było mroźno, wilgotno i jego gęba z pewnością nie należała do najsuchszych.

I chyba była mało apetyczna.

Cmoknął ją z rozpadu w ucho, Tosia odskoczyła jak rażona piorunem i omal nie zarobił przy tym z liścia.

To zdumienie w jej oczach, ta odraza...

Bolało, jakby go ktoś przypalał rozgrzanym żelazem, i ten wstyd, ten nieznośny wstyd. Na samo wspomnienie aż nim trzęsło, a minęły od tego zdarzenia ponad trzy lata.

Dał sobie więc siana z amatorami – to znaczy z okazywaniem amatorów swojej przyjaciółce, bo innym damom, owszem, to i owo okazywał – ale chociaż bardzo się starała odkochać, efekty tych starań były nad podziw marne. Tyle dobrze, że po ostatnim związku została mu przynajmniej niezgorsza rzeźba, dorobił się jej w ciągu roku na siłowni. Jego była dziewczyna rzeźbą się ekscytowała (Tosia robiła miny), przymioty ducha liczyły się jednak dla niej znacznie mniej i w tej materii Lulek czuł poważny niedosyt. Seks, wspaniale, ale nie samym seksem człowiek żyje.

Przynajmniej on.

Tosia miała do niego taki dostęp, że mógł z nią porozmawiać o wszystkim, zresztą była z niej mądra bestia, z nikim nie umiał nawiązać podobnej więzi i najgorsze, że nie miał pojęcia dlaczego. Nie to, że nie chciał. Chciał, próbował się otwierać, ale za każdym razem towarzyszyło temu otwieraniu dotkliwe przecucie, że robi z siebie debila. W efekcie zamykał się w swojej skorupie jeszcze bardziej, kandydatka na dziewczynę się zniechęcała, on tak samo i tak to się zwykle kończyło.

Czuł z tego powodu wielką frustrację.

Ale chyba nie było po nim tego widać.

Kiedy Tosia dała mu znać, że potrzebuje pomocy, krążył między rektoratem, Wydziałem Prawa a budynkiem Wydziału Humanistycznego – w tych lokalizacjach miał własne punkty gastronomiczne i jako szef doglądał interesu. Zamierzał zajrzeć również i do CINIb-y, gdzie znajdował się ostatni z jego lokali na terenie kampusu (rozważał, czy nie zamknąć go na wakacje), ale po wiadomości od Tosi stwierdził, że najwyżej zajrzy tam jutro.

Miał tylko nadzieję, że przyjaciółka się w nic nie wpakowała, ostatnio była w nie najlepszej kondycji, więc dobrze się złożyło, że dostała pracę, nawet dorywczą. Jego dobre rady, żeby przestała się koncentrować na tym, na co nie ma wpływu, a zajęła się tym, co realnie może zmienić, oczywiście ignorowała. Choćby pisanie doktoratu to były straszne miesiące – Tosia tkwiła przed laptopem, nieustannie wątpiła w swoje siły, kilka razy dziennie musiał ją pocieszać i tłumaczyć, że wszystko jest trudne, zanim stanie się proste, i że da radę. Tylko nie trzeba sobie odbierać sił czarnowidztwem.

Samo się nie robi.

I dała radę, doktorat jej wyszedł świetny, ale siedząc w domu (wcześniej przysłużyła się temu również pandemia), Tosia podobno przytyła. Znaczą, ona tak uważała, a jakie towarzyszyły temu histerie... Co najmniej jakby przeszła nieudaną operację na otwartym sercu, w trakcie której przytrafił się jej zawał. Jemu się podobało, po prostu przybrała to tu, to tam, wielkie rzeczy. Ale on zawsze był zwolennikiem obfitych biustów, więc nie narzekał. Po co zaraz robić z tego wielkie halo i fundować sobie traumę, skoro można po prostu mniej jeść, jeśli ktoś się ze swoim wyglądem źle czuje. Masz na coś wpływ, działaj, nie masz, daj żyć sobie i innym.

Ale Tosia już taka była, wszystko mocno przeżywała, i tyle. Przyjmowała tę jej właściwość jak deszcz – padało, w porządku, deszcz jest potrzebny, niech sobie popada, potem i tak wyjrzy słońce.

Tak jak dzisiaj.

Rano nie wygoniłby z domu psa, a teraz...

Tego psa wspomniał chyba w złą godzinę, bo ledwie wjechał na Akacjową, zobaczył pod domem profesora arcyciekawy obrazek. Zaparkował niedaleko bramy i nadstawił uszu.

Bo też i było czemu się przysłuchiwać.

Tosia, z rękawicami kuchennymi na obu dłoniach, nadawała coś do profesora Bukowińskiego, nie przestając mu wymachiwać przed nosem kocykiem w jednorozce (prezent od Lulka na Gwiazdkę). Profesor Nałęcki dla odmiany wciąż kręcił z niesmakiem głową, i nie tylko głową, aż od tej gestykulacji rozdzwaniał się przewieszony przez jego ramię najprawdziwszy łańcuch. Za to chłoptaś w białej koszuli stał przy nich niczym asystent podczas operacji. W rękach dzierżył nożyce, zdaje się, że do cięcia metalu, i z wyrazem skrajnego niezadowolenia na cud buźce przygważdżał wzrokiem siedzącego po drugiej stronie ulicy czarnego kudłatego psa. Z tym że ledwie ktoś z towarzystwa wykonywał najmniejszy krok w jego stronę, pies zrywał się jak szalony i odbiegał, po czym wracał z podkulonym ogonem w to samo miejsce, siadał grzecznie na tylnych łapach i tak w kółko.

Wyglądało na to, że wspaniale się bawił.

Scence przyglądał się również niski facelik z rękami w kieszeniach, który stał w niedalekiej odległości od furtki – z niedowierzaniem popatrywał na całe towarzystwo jak na bandę wariatów na przepustce i Lulek przysięgłby, że skądś go zna.

– Trzeba zarzucić na niego koc – tłumaczyła Tosia z pogratulowania godną cierpliwością. – Tak jak sieć. Mam też dywanik łazienkowy, jakby co.

– Pani Tosiu, za przeproszeniem, ale jak pani sobie wyobraża realizację tego pomysłu? To znaczy... – Profesor Nałęcki uniósł w obronnym geście obie dłonie naraz. – Oczywiście ja nie krytykuję! – zastrzegł. – Tylko ta bestia czmycha, ledwie któreś z nas się ruszy. A stąd go pani nie dosięgnie.

– Można by go poczęstować śrutem – rzucił z cicha przyjemniaczek z nożycami.

– Nietzsche! – jęknął zniecierpliwiony profesor Bukowiński i się zachwiał.

– Wuj mi się tu za chwilę przekreśli! Nietzsche, bydlaku, do domu! Słyszysz?!

Nietzsche?

Kto to zwierzę tak nazwał?

Lulek też się dobrze bawił, ale w końcu postanowił wyjść z cienia. To znaczy z auta, choć akurat to ostatnie stanowiło nie lada wyzwanie. Auto, czyli opel cadet, miało już swoje lata, w sumie dziesiątki lat, i w sumie regularnie się na swojego właściciela wypinało. A to przestawały w nim działać wycieraczki, a to zacinają się drzwi od strony kierowcy, to znowu spod maski leciał dym, w związku z czym Tosia używała wobec tego leciwego środka lokomocji pogardliwego określenia „dicho maszyna”. Pogarda była jednak z pewnością udawana, Tosia lubiła się z nim droczyć.

I właśnie...

Tak, nadszedł TEN moment – drzwi od strony kierowcy znów się zablokowały, a siedzenie obok zawały kartony z cukrem; Lulek zapomniał je wcześniej przestawić.

Cóż mu zatem pozostawało?

– Dzień dobry, rozwiązujecie państwo jakiś problem naukowy!? – rzucił na powitanie i nie wytrzymał, zarechotał, po czym, wcale nie tracąc rezonu, odkręcił z trudem szybę i...

Za oknem znalazła się najpierw jego lewa owłosiona noga.

Później Lulek wystawił na zewnątrz swój lewy bark.

Potem zwinnie się podciągnął i poszło jak z górką.

Prawa nóżka, prawy bark i *voilà!*

Spojrzenia towarzystwa bezcenne, ale kto by się tym przejmował. A niech sobie patrzą albo nawet komentują. Czy jeśli ktoś oznajmi, że on, Jerzy Zender, jest, wypisz wymaluj, żyrafą, to czy...

Jerzy Zender stanie się żyrafą?

Tylko ta ironia rozlewająca się na licu chłopca w koszuli, tę ironię Lulek by mu z tych słodkich usteczek startł, najchętniej lewym sierpowym.

Obaj profesorowie znali Lulka z uczelni, zaglądali do jego stołówki w rektoracie, zatem po pierwszym szoku zaczęli się z nim witać. Poziom ich zatroskania był jednak na tyle wysoki, że nie przedstawili go pozostałym, co Lulkowi wcale nie przeszkadzało.

– Ten gagatek nam zwiął – wyjaśnił profesor Bukowiński z przekąsem, patrząc na zwierzę. – I teraz wymyślić sposób, żeby go złapać, to jest faktycznie problem naukowy.

– A dokąd go chcecie zagonić? – spytał Lulek.

Tosia, która na widok jego niedawnej ekwilibrystyki stała się podejrzanie milcząca (chyba się go nie wstydziła?), teraz odzyskała głos.

– Jeszcze przed chwilą próbowaliśmy go namówić, żeby wrócił na podwórko, ale teraz w zasadzie powinien trafić... do twojego samochodu. – Ostatnie słowo wypowiedziała dość szczególnym tonem i nie było w tym nic z pieszczotliwości.

– Do mojego samochodu. Aha. – Lulek wolał nie analizować szczegółów. Tosia zapewne wszystko przemyślała. – To jak tak, to tak. Jak on się wabi? Nietzsche?

Profesor Bukowiński potwierdził.

– Aha. – Lulek podszedł do tylnych drzwi, otworzył je z galanterią i zajrzał gagatkowi w oczy. – Panie Fryderyk, w takim razie zapraszam pana na przejażdżkę. Zechce pan zająć tylne siedzenie?

W ten oto sposób problem naukowy został rozwikłany nad wyraz szybko.

Nietzsche spojrział z namysłem na Lulka, spojrział na auto, po czym zerwał się z miejsca i...

Wskoczył posłusznie do dicho maszyny.

Jego kudłaty pysk nie przestawał się cieszyć.

Widocznie nawet pies nie lubi, żeby się do niego zwracać po nazwisku.

Kurtyna.



Lulek miał po prostu bardzo niskie poczucie obciachu.

Tak było zawsze.

W ogóle nie interesowała go tak zwana opinia publiczna – dotyczyło to zarówno jego durnowatych zachowań, tekstów, włochatych myśli, jak i... ubrań.

Jako nonkonformista chodził ubrany lulkowato, żeby nie powiedzieć: lujowato. Kompletnie nie miał wycucia, jeśli chodziło o kolor i formę, a kiedy Tosia próbowała coś sugerować, śmiał się jej bezczelnie w twarz, choć trzeba przyznać, że uśmiech miał rozbajający, jak mały chłopiec. W ogóle wyglądał chłopięco: wiecznie rozczochrane brązowe włosy i bystre brązowe oczy w kolorze kostki gorzkiej czekolady.

Ale ten lulkowaty look...

Tyle dobrze, że chociaż te jego łachy nie były brudne, o to jedno naprawdę dbał, i zawsze od niego ładnie pachniało. Ale te wszystkie jego, pozał się Boże, „kreacje” były w stanie wręcz opłakanym: porozciągane, pogniecione (żelazko mu się popsło pięć miesięcy temu), zupełnie jakby je co rano Lulek wyciągał psu z gardła. A kiedy Tosia proponowała, że pójdzie z nim na zakupy i razem coś wybiorą, znajdował tysiące wymówek.

Nienawidził centrów handlowych.

Nie miał czasu, był zavalony robotą.

Sprzedaj wysyłkową równie bojkotował, twierdząc, że nie będzie wspierał pieniądza elektronicznego, co jednak nie przeszkadzało mu kupować w sieci co miesiąc trylion herbat, bo

był zapalonym herbaciarzem.

I dyskutuj tu, kobieto, z takim.

Weź go zrozum i wyjaśnij, że do krótkich spodenek nie nosi się już skarpet podciągniętych po jądra. I zrób to tak, żeby nie zranić jego uczuć. Tego Tosia nie potrafiła, więc cierpiąc katusze, patrzyła na te długie skarpety trzydziesty sezon z rzędu.

A już to, co Lulek zaprezentował przed chwilą na ulicy...

– Musiałeś?! – wybuchła, ledwie wyjechali z Akacjowej i zniknęli tamtym z pola widzenia.

– Ale CO?!

I jeszcze udawał idiotę.

A może nie udawał?

– Musiałeś robić ten cyrk? Wyłazić przez okno, rzucić żarciki...

– Jakie żarciki?!

– O problemach naukowych. To są poważni ludzie. Profesor Bukowiński jest członkiem Polskiej Akademii Nauk, mój promotor co chwilę udziela wywiadów, wydaje książki. To są uznani naukowcy. A ty się z nich nabijasz...

Lulek gwałtownie wcisnął hamulec i zatrzymał się przy najbliższym chodniku.

– Słucham?

W jego głosie zabrzmiało niedowierzanie, a nawet rozdzwoniły się w nim ostrzegawcze nuty, ale Tosia musiała wyrzucić z siebie nagromadzoną frustrację.

– Chciałeś zabłysnąć?!

– Czy ty słyszysz, co do mnie mówisz? – Lulek nagle spoważniał, a Nietzsche z tyłu kilka razy wymownie zaszczekał. Czy się jej wydawało, czy w tym szczekaniu usłyszała krytykę? – Z nikogo się nie nabijam – oświadczył – to ty chcesz tak to widzieć, nie mam pojęcia czemu. I o co chodzi, jaki cyrk? Drzwi się zablokowały. Przez bagażnik się miałem wyczołgać?

– Jak się coś psuje, to trzeba to wymienić!

Lulek łypnął na nią okiem i w tym oku zabłyszczał jakby żal.

– Tobie się na przykład aktualnie psuje poczucie humoru. Co cię ugryzło, ja się zastanawiam...

Ale Tosi już nic nie mogło powstrzymać.

– Ludzie mają nowe auta i jakoś żyją. Musisz być takim... Takim...

– No, wyrzuć to z siebie.

– Takim DZIADERSEM?! Skończyłeś dopiero trzydzieści lat!

Lulek opadł teatralnie na deskę rozdzielczą.

– Dziadersem? Ludzie mają nowe auta? Jacy ludzie?! A może jakiś konkretny ludź, co?

– Jaki ludź?!

Tosia nagle zamieniła się w kamień.

Czy Lulek już się zorientował...

– A skąd mam wiedzieć jaki, jesteś taka uprzejma, a nas sobie nie przedstawiłaś... – wytknął.

– Nie byłam u siebie, to powinien zrobić gospodarz.

– Na ulicy? Gospodarz? Czyli wszystko jasne.

– Co na przykład?

– Na przykład, że rzucam robotę i po ciebie pędzę. Przyjmuję do swojego auta kundla, a ty mi robisz wykłady. I o czym? O konsumpcjonizmie!

– Oglupteś?!

– Chyba raczej zmądrzałeś. Tutaj można bez problemu naświnić, co? Proszę, jak ci się nie podoba auto albo kierowca, to ja cię do wspólnej podróży nie zmuszam. Tam masz klamkę...

Tak?

Nie będzie się nikomu narzucała!

Tosia była gotować wracać do domu choćby pieszo, tyle że ten rzęch...

- To się nie dzieje naprawdę... - mruknęła pod nosem, szarpiąc klamkę z całych sił, ale ta ani drgnęła.

- Widzisz? - Twarz Lulka na powrót stała się taka jak zwykle. Malował się na niej wyraz pogodnego sceptycyzmu. - Jeśli nadal chcesz się stąd auto... wać, masz dwie opcje. Możesz odstawić... CYRK i wyjść przez багажник albo...

- Już! - Tosia w zniechęceniu opadła na fotel. Tyle chociaż, że z Lulkiem łatwo było się godzić. - Wygrałeś.

- Ale moja droga... - Lulek z leniwym zadowoleniem odpalił swoją upiorną maszynę. - Ja z tobą w nic nie gram.

- *Teatr życia codziennego*, Goffman - rzuciła odruchowo tytułem socjologicznym.

- I jeszcze mi tu paskudzi bibliografią... A ten potwór z tyłu to co? - zmienił z radością temat. - Oj, twoja mama się ucieszy. Będzie wniebowzięta. Uwielbia takie stodziaki...



Zanim dotarli na ulicę Tysiąclecia, Tosia opowiedziała Lulkowi historię Nietzschego i napadu na profesora, jednak Lulek nie zdążył ani jednego, ani drugiego opatrzyć komentarzem, bo ani się obejrzeni, a już stali pod drzwiami, zza których dolatywały podniesione głosy państwa Biczaków.

Wspaniale.

Czyli przez mieszkanie przetacza się zwykła w porze obiadu rodzinna trąba powietrzna. Ojciec Tosi był wykładowcą w Akademii Górnośląskiej, matka dobijała służbę zdrowia jako położna w osiedlowej przychodni i o piętnastej zazwyczaj oboje byli już w domu. Dopiero tutaj, stojąc na wycieraczce, Tosia w pełni zrozumiała słowa Lulka i dotarło do niej, że popełnia błąd, ale już było za późno. Jej matka na widok sierści na kanapie dozna co najmniej fugi dysocjacyjnej czy czegoś równie ożywczego - chronicznie nie znosiła bałaganu, tolerowała za to merdanie ogonem, najlepiej w wykonaniu własnego męża.

- A może... - Tosia już rozważała, czy jednak w tył zwrot nie będzie najlepszym rozwiązaniem, kiedy stojący obok Lulek niespodziewanie dodał jej otuchy.

- Nic nie tracisz - stwierdził, zerkając na Nietzschego, który chwilę wcześniej pozwolił sobie założyć obrożę, ale nie był tym faktem specjalnie ucieszony.

Warczał.

- Ona wyrzuci stąd ciebie, mnie i tego psa - wieszczęła Tosia ponurym głosem. - Ale obstawiam, że zaczniesz od psa.

- Mnie? Czemu mnie, zawsze mi się wydawało, że mnie lubi!

To była prawda.

Matka Tosi, Regina Biczak, nie lubiła nikogo i nikt nie lubił jej, nawet jej rodzona córka. Ze schematu wyłamywał się tylko ojciec, ojciec dziwnym trafem swoją żonę tolerował, a nawet okazywał jej uczucie, ale ojciec był poza skalą - w młodości skoczył do basenu o głębokości pół metra i złamał sobie kręgosłup, Tosia miała podstawy sądzić, że uszkodził sobie wtedy również płat czołowy. Lulek z kolei odnosił się do pani Biczak z pewną ambiwalencją, a to z tej przyczyny, że na starcie nikogo nie skreślał, ale rodzicielkę Tosi bardzo dobrze znał i wiedział, do czego jest zdolna.

Za to pani Regina pałała do Lulka wyjątkową sympatią, tyle że jego nie dało się przecież nie lubić. Uśmiechał się jak głupek, nigdy nikogo nie krytykował, do ludzi zwracał się życzliwie, a swoje zdanie wyrażał zazwyczaj tylko wtedy, kiedy ktoś go o nie spytał. To ostatnie wprawiało panią Reginę w zachwyt, traktowała Lulka niemal jak syna, co w praktyce oznaczało, że pozwalała

sobie wobec niego na swobodną szczerłość, czy Lulek tego chciał, czy nie. Powtarzała przy tym, że zmieniała mu pieluchy, bo z jego matką poznały się w przychodni i zaprzyjaźniły, kiedy obie były ciężarne.

– To się... – Tosia znowu zaczęła, pełna złych przeczuć.

– Tosię to zabiorę w najbliższym czasie na lody, a teraz zmierz się z Reginą.

– Ja już nie mam do niej sił – zaprotestowała i przyłapała się na tym, że mówi podobnie jak profesor o Nietzschem.

O, nie.

Żeby stawić czoła matce, nie może się wahać, jej matka wyczuwała nawet najmniejszą wątpliwość.

Tosia pchnęła zatem zdecydowanym ruchem drzwi.

– Jesteem! Mamy gości! – zasygnalizowała już od progu, ale jej rodzice jakby mieli zatyczki w uszach.

Przez ostatni tydzień wałkowali temat wypalenia uczuć po trzydziestu latach pożycia małżeńskiego, co wzbudzało wielkie emocje. Zwłaszcza u ojca. Starali się być przy tym dyskretni, ale kiedy się starali, wszystko wychodziło na odwrót, w dodatku matka-położna miała do pewnych spraw stosunek wybitnie bezpruderyjny.

– Zwykły wibrator, na baterie! – Z kuchni dobiegał jej gromki głos. – Co się tak patrzysz? Gadałeś o urozmaiceniach, to masz i się osławaj. Wiesz, co można tym zrobić?!

– Należniki? – rzucił rozdrażniony ojciec. – I niby ten kawałek chińskiego plastiku i kilka sprężyn ma być lepszy niż...

– Halo! Nie jestem sama! – obwieściła Tosia w przerażeniu. – Mamo! Może tu chodzi...

– Przecież się nie rozerwę.

Coś w tonie pani Reginy nie spodobało się Nietzschemu. Spojrzał na Lulka – Tosię nadal konsekwentnie omijał wzrokiem – po czym zaskomlał, zakręcił się w ciasnym przedpokoju wokół własnej osi, jakby chciał stąd uciec, i nagle szczeknął. Szczeknął z głębi swych czarnych trzewi i to szczeknięcie, wzmocnione akustyką pomieszczenia, zabrzmiało naprawdę groźnie.

Ale na tym nie poprzestał.

Wyrwał się Lulkowi i dalej, wbił się jak oszalały zębami w sandały pani domu. Te z czerwonej skóry, jej ukochane. Tarmosił je, warczał i znowu tarmosił, jakby chciał wyładować na nich całą swoją złość.

– Nietzsche! – krzyknęły naraz przerażeni Lulek z Tosią.

I oczywiście zaraz wybuchła afera...

Matka wbiegła do przedpokoju z wibratorem w rękę i chyba się jej wydawało, że dzierży miecz świetlny rodem z *Gwiezdnych wojen*, bo chcąc wydrzeć oprawcy swoje obuwie, zaczęła nim nad Nietzschem wymachiwać, licząc na pożądany efekt.

Pożądany efekt nie wystąpił.

Miecz nie rozbłysł, zaczął za to podejrzanie burczeć.

Wibrator był niewielki, biały i dość estetyczny, daleko mu było do broni siecznej czy maczugi, policyjnej pały również nie przypominał, dźwięk wydawał jednak dość przejmujący. Tosia widziała takie cudo w Rossmannie i w odruchu desperacji rozważała nawet inwestycję w rozkosz, ale coś ją powstrzymało, może intuicja – dwa wibratory pod jednym dachem... To, że taki artefakt w ogóle ujrzał światło dzienne, jakoś Tosi szczególnie nie poruszało, widywała w tym domu różne rzeczy, ale to, że własna matka nie potrafiła zachować się jak człowiek...

Tak, to była porażka.

Nie potrafiła, w ogóle nie miała zapisanego na dysku twardym takiego programu. Zazwyczaj działała w trybie awaryjnym, a awarię powodowało niemal wszystko, co nie przebiegało zgodnie



z tym, co sobie zaplanowała, najbardziej oczywiście spełniała się w planowaniu życia innym. Totalny reset i powrót do ustawień domyślnych jeszcze nigdy się jej nie zdarzył, po prostu w niektórych przypadkach to się nie zdarza, nie ma takiej możliwości, lepiej się nie szarpać i porzucić wszelką nadzieję.

Wada produkcyjna.

I ta wada znowu dała o sobie znać. Matka zaczęła się drzeć w tym przedpokoju tak głośno, że spłoszony Lulek omal nie wcisnął się pod szafkę na buty. Wrzeszczała, wymachiwała wibratorem, padło też kilka słów mocno niecenzuralnych – to ta deklarowana swoboda, matka przy Lulku czuła się swobodnie.

A Nietzsche?

Nietzsche zachował się jak pies.

Bo jeśli ktoś obcy wymachuje psu przed pyskiem burczącym wibratorem i jeśli ten ktoś emituje złą energię, całe kilowaty złej energii, to pies zaczyna atakować. Nietzsche porzucił więc sandały i rozszczękał się na całego, ale matka nigdy nie potrafiła właściwie odczytywać sygnałów, w odpowiedzi jedynie zintensyfikowała działania wojenne. Nietzsche nie miał zatem wyjścia – mimo że Tosia i Lulek kotłowali się w przedpokoju, rozpaczliwie próbując schwytać smycz, pies skoczył przed siebie i capnął napastniczkę w palec.

Krew nie trysnęła na kafelki, odgryziony kikut nie zawisł na ścięgnię – ugryzienie nawet nie pozostawiło śladu, ale matka na chwilę zamarła, a potem, biedna i drżąca, obaliła się w ramiona ojca, który szczęśliwie w końcu tu dotarł i widząc obrót wydarzeń, zamienił się w obelisk. Zanościło się na krótki antrakt, bez obaw, matka po przerwie z pewnością zamierzała kontynuować przedstawienie: łzawym okiem patrzyła na sandałki, wrogim okiem na córkę, więc Lulkowi i Tosi w tej sytuacji pozostawało jedynie wziąć nogi za pas.

Lulek był do takich scen przyzwyczajony, Tosia w sumie też była przyzwyczajona, choć do pewnego czasu nie zdawała sobie sprawy z patologii, której była częścią. Ale w końcu zaczęła sobie to i owo uświadamiać i w końcu do niej dotarło.

Regina Biczak była jak trująca i mięsożerna roślina.

Jeśli muszka nie chciała skończyć w tej czerwono-zielonej paszczy, musiała szybko zacząć machać skrzydełkami i odlecieć w przeciwnym kierunku.

I kiedy wyprysnęli na korytarz, a Nietzsche wykorzystał moment i zostawił na wycieraczce symbolicznego bobka, który zapewne miał wyrażać, co kudłaty wypierdek o tym wszystkim sądzi, Tosia poczuła, że coś się w niej skończyło.

Może to ta dzisiejsza krew, sznur, może to napięcie, które jej towarzyszyło od południa i które w końcu mogło znaleźć ujście, nie wiadomo. W każdym razie Antonina Biczak bardzo stanowczo stwierdziła, że nie jest już w stanie mieszkać w tym domu, służyć matce za małżeńskiego terapeuty, robić za jej podnózek, być dziewczynką do bicia, spluwaczką, przyjaciółką, największym wrogiem...

Nie miała już sił, kilkadziesiąt lat bycia córką tej kobiety ją po prostu...

WYDRENOWAŁO.

Jeśli chce się zmienić coś w swoim życiu, należy coś zmienić.

Teraz, już, zaraz!

W końcu przygotowywała się na to od kilku lat, miała konto oszczędnościowe i z tą myślą wpłacała tam od początku studiów doktoranckich co miesiąc całe swoje stypendium.

Jeśli nie dziś, to kiedy?

Zarówno Lulek, jak i Nietzsche chyba przeczuwali, że dzieje się coś ważnego, obaj patrzyli na nią takim wzrokiem, jakby z jej ust miały się posypać co najmniej perły.

- A może... I dla mnie znajdziemy rodzinę zastępczą? - bąknęła Tosia cicho, a Lulek sprawiał wrażenie, jakby tylko na to czekał.

Oblizął się oblesnie i z uciechą zaproponował:

- Super! W takim razie zostanę twoim tatuśkiem.



W życiu zawodowym komisarz Piotr Marchewka nie miał powodów do narzekań. Lubił swoją robotę, znał się na niej, osiągał wyniki, realizował cele, otrzymywał nagrody. Nie było się specjalnie nad czym zastanawiać. Należało łapać przestępców, a czasem należało słuchać, co mówią zwierzchnicy, i się od łapania powstrzymać - to akurat znosił źle - bo policja to nie jest bajka, to jest wielosezonowy serial z udziałem publiczności i raz zdarza się zły odcinek, raz dobry, na to nie ma się kompletnie żadnego wpływu.

Co innego życie prywatne.

W życiu prywatnym komisarz nie był, co prawda, świeżo upieczonym żonkosiem (ślub wziął dobre parę lat temu), ale jego żona Zuza nadal była dla niego pępkiem świata, wyzwaniem i choć nie zawsze ją rozumiał, a chwilami nie rozumiał jej wcale, to wciąż mu zależało na tym, żeby ich uczucie z upływem czasu nie więdło. Ich związek to była na przemian bajka i tragedia, na szczęście procentowo bajki było więcej. W każdym razie Piotrek Marchewka wciąż miał nadzieję, że on i Zuza będą żyć razem długo i szczęśliwie. Na to mógł mieć realny wpływ, dlatego...

Zapuścił włosy.

Może Zuza...

Może jego żona odkryje w nim na nowo mężczyznę?

Z tego powodu zaczął w tajemnicy chodzić do klubu sportowego, chciał lepiej wyglądać - na marginesie znajomy pani Biczak chyba go poznał, mieli wspólnego trenera - ale z tych wszystkich starań wynikły finalnie takie hocki-klocki, że Marchewka poważnie rozważał, czy nie porzucić realizowanego od miesięcy projektu. Mięśnie mu się za bardzo nie rozrosły, a Zuza dodała sobie jeden i jeden, potem wyciągnęła z tego pierwiastek, wynik podniosła do potęgi i z tej wyższej matematyki wyszło jej, że...

Mąż ją ZDRADZA.

On miałby ją zdradzać!

Ręce opadły mu do podłogi (nie miały daleko), ale na razie nie zdążył niczego Zuzie wytłumaczyć, bo przyszedł Igor Dziedzic i zawiadomił, że ktoś napadł na jego wuja. I zaczął się kołowrotek, Marchewka z trybu romantycznych rojeń musiał się raz-dwa przestawić na tryb czynności wstępnych. Należało zabezpieczyć teren, wezwać ekipę, przesłuchać świadków, a tych brakowało, choć osoby postronne, jak na przykład profesor Nałęcki, próbowały przejąć kontrolę nad śledztwem, z kolei świadkowie naoczni, jak na przykład pewien kudłaty pies, nie chcieli współpracować. I to do tego stopnia, że z miejsca zajścia ewakuował się świadek będący pośrednio uczestnikiem zdarzeń, czyli Antonina Biczak, a jej wstępne przesłuchanie nic nie dało. Piotrek Marchewka miał ochotę rwać włosy z głowy, ale tak długo je zapuszczał, że zdołał się opamiętać. On miałby zdradzać żonę?!

Istotę piękną, mądrą, energiczną, a nawet zbyt energiczną, impulsywną, a nawet zbyt...

- Czy sprawca zostawił jakieś ślady? - padło pytanie z ust profesora Nałęckiego, który zaczynał Marchewce działać na nać, co bezpośrednio można było przeliczyć na wzrost wyrażony w centymetrach.

Profesor miał ich chyba ponad sto osiemdziesiąt.

Skąd się tacy biorą na świecie...

Dorastają przy wytwórni nawozów?

– Słucham?

Komisarz odruchowo wstał z ławki, na której urządził coś na kształt prowizorycznego pokoju przesłuchań, ale przyjęcie pozycji pionowej zbyt wiele nie zmieniło.

Profesor nadal górował nad okolicą.

– Czy sprawca zostawił ślady? Odciski palców na przykład. Przecież musiały się jakoś dostać do środka. Jeśli wytarł, to...

– Nie mam obowiązku informować pana o szczegółach – rzucił w odpowiedzi sucho Marchewka, zerkając w okna domu. Profesor Bukowiński poszedł zmienić ubranie, a tymczasem budka na narzędzia została odgradzona od reszty terenu, pracowali tam technicy. – Przykro mi, ale jest pan osobą postronną – dodał po chwili już nieco łagodniej, przecież nie będzie się wyżywał na facecie z powodu wzrostu. – Przyszedł pan tu w tym samym czasie co ja, więc nawet nie mam podstaw, żeby pana przesłuchać.

– Jasne, ależ oczywiście – zapewnił profesor, jednak na jego krągłej twarzy odmalował się zawód. – Rozumiem. Tylko może to pana zainteresuje, bo, jak już wspominałem, mam pewną teorię... I nie wiem, czy ona należycie wybrzmiała. Otóż...

Teoria, zdrada, siłownia, imadło.

Marchewka usiadł zrezygnowany z powrotem na miejscu i zaprosił gestem profesora, żeby również spoczął.

– Panie Łęcki...

– Nałęcki.

– Panie Nałęcki... Słucham – dokończył Marchewka ku własnemu zaskoczeniu.

Za płóten działał z topatą Igor Dziedzic, zbierał z chodnika kupkę odchodów, a jego mina była warta miliony. Tyle że zeznania siostrzeńca również nie wniosły do sprawy niczego odkrywczego.

– To była próba morderstwa, to jest ewidentne! – perorował profesor. – Stendhal...

– Panie Nałęcki, Stendhal to były inne czasy. Dziewiętnasty wiek. Chyba jednak coś się od tamtych lat zmieniło.

– Ależ! – zawołał profesor z uznaniem i...

Stało się.

Marchewka urósł.

Tylko w oczach profesora, ale atmosfera w ogrodzie uległa zdecydowanemu ociepleniu. I nie miała na to wpływu jedynie zmiana pogody z deszczowej na umiarkowaną słoneczną.

– Pan czyta Stendhala?! – Profesor nie mógł uwierzyć.

– Przeczytałem. *Czerwone i czarne*. Jedną książkę. To się czasem zdarza policjantom. Czytają kryminały.

– I jeszcze mnie pan przyłapał...

– Proszę? – Marchewka z zawodowego odruchu drgnął.

– Na stereotypowym myśleniu. Policjanci, literatura...

– Aha.

– Ale wracając... Zatem Stendhal... Ja tu widzę wielki afekt!

– Zostawmy może Stendhala, panie profesorze. – Marchewka chrząknął pojednawczo. – To naprawdę była inna epoka. A ja mam tu udaremniającą próbę kradzieży i zdradę... To znaczy napad. Nawet nie mam pewności, czy było pobicie. O, pan Bukowiński. Jak się pan czuje?

Sąsiad wyszedł właśnie na taras, odświeżony, jego policzki straciły w końcu ten niepokojący błąd i ziemisty kolor.

– Już wszystko w porządku. Może kawy?

– Ja poproszę, czarną – wyrwał się miłośnik Stendhala i założył nogę na nogę. – Bogdan, to, czy było pobicie, pan komisarz próbuje ustalić. Bo to nieco mętnie wygląda...

– Co mętnie wygląda? Kawa? – zażartował Bukowiński. – Jeszcze jej nie dostałeś.

– Mówię o twoich zeznaniach.

– A ten znowu...

– Nie znowu, tylko jestem konsekwentny. I patrzę z boku.

– Zboku jeszcze mi powie... Giez, normalnie giez. Krzysztof, nie męcz mnie już, co? Ktoś mi chciał ukraść rower. Ukraść rower!

Marchewka poprawił się na ławce i za profesorem Nałęckim, niezrażony, wypalił:

– Panie sąsiedzie, a może jednak jest ktoś, kto chciałby się pana pozbyć?

Profesor Bukowiński popatrzył na nich jak na okazy szczurów, które dzięki mutacji DNA przetrwały wybuch bomby atomowej, a nie powinny, po czym przywołał się do porządku i parsknął nieco wymuszonym śmiechem.

– Ktoś? Takich kłosiów jest całe mnóstwo! Pracuję na dwóch uczelniach, wiecie, ile to jest studentów?

Komisarz usiłował sobie wyobrazić tę liczbę, ale jego myśli znowu wróciły do zasadniczego tematu.

A może nadal nie mówić żonie o siłowni?

Może w końcu nabierze upragnionej masy i któregoś poranka zsunie się z niego przypadkiem przesćcieradło. Zuza spojrzy na jego lśniącą w słońcu muskulaturę, zachwyci się i zrobi mu takie zyg-zyg Marchewka, że oboje tych upojnych chwil długo nie zapomną...



Siódmy poziom wnerwa.

Żeby nie ująć tego soczyściej.

Bardzo dobrze, że Tosię w końcu szlag trafił ze złości, do tej pory tłumaczyła swoje trudne relacje z matką, kopiąc dołki pod sobą. Że to z nią jest coś nie tak, że wiecznie stwarza problemy, że nie umie się dogadać z ludźmi. Poza tym to jej matka, a matkę trzeba szanować. Bła, bła, bła. Po każdej kłótni Tosia wyciągała rękę, nogę i co tylko, starała się za wszystkie Reginy w mieście, odwalala robotę mentalną, po czym znowu obrywała. Choć to nie ona zawiniła, przepraszała, zawsze usiłowała matkę tłumaczyć, a mamusia znowu i znowu dawała jej w kość.

Głupota totalna.

Z Tosi była świetna dziewczyna, ale jakoś nie umiała tego zauważyć, nie rozumiała też, że szacunek powinien działać w obie strony. I nieważne, czy ktoś jest twoją matką, ojcem, sąsiadem czy inkasentem. Najbliższa osoba miałaby mieć szczególnie prawa, żeby człowiekowi dowalić? Niby czemu? Jak ktoś nie umie uszanować własnego dziecka, jeśli lepiej traktuje obcą osobę niż własną córkę, to niech ktoś taki spada na drzewo.

Dać się pokroić tępym nożykiem tylko dlatego, że nożyk trzyma matka?

Jasne...

Problem w tym, że argumenty racjonalne Tosia przyjmowała, obiektywnie przyznawała Lulkowi rację, ale w porąbanych rodzinnych układach dochodziła jeszcze jedna warstwa. Uczuć. Warstwa grząska, nielogiczna, delikatna, warstwa nie do przerobienia pod mikroskopem, ale do czegoś o wiele trudniejszego.

Do przeżycia.

I to, co Tosia niby rozumiała głową, serce odrzucało i biło głównie w poczuciu winy. Bo można mieć doktorat, habilitację i profesurę, a wobec własnej matki człek jest bezbronny, choćby

skończył Harvard. Tym bardziej jeśli własna matka skończyła Hogwart (klasa dla czarownic) – w takim wypadku mógł pomóc tylko upływ czasu albo czyjeś żywe uczucie.

Ewentualnie intensywny wysiłek fizyczny.

Ruch genialnie wywalał z żył kortyzol, a Tosia po wyjściu od rodziców tym kortyzolem aż tryskała. Zaczęła płakać, kopnęła w drzwi zsypu, a na koniec dostała bólu głowy, dlatego Lulek zarządził szybki spacer dookoła stawu Maroko (Nietzsche był bardzo za), a potem oznajmił, że Tosia może u niego mieszkać, ile tylko chce, choćby do Gwiazdki w dwa tysiące pięćdziesiątym piątym roku.

Tosia nic na deklarację nie odpowiedziała, zgrzytała zębami, ale szła energicznie za Lulkiem, dopiero po dotarciu na miejsce zaczęła się odgrażać, że zakończył się pewien etap, że ona nie jest małą dziewczynką i już dawno powinna się usamodzielnąć.

Lulek w pełni się z tym zgadzał, więc darował sobie komentarze.

– Piękny to ty nie jesteś – ocenił nowego lokatora, kiedy z posępnymi minami stanęli we trójkę w jego mieszkaniu w bloku przy netto.

Pies wszedł do kuchni i od razu przejął w posiadanie różowy łazienkowy dywanik, który chwilę wcześniej Tosia wyciągnęła z plecaka i rozłożyła pod stołem.

– Jak nietoperz i wycior do karabinu w jednym – dokończył. – I nie wiadomo, gdzie taki ma przód, a gdzie tył, chyba że zacznie szczekać albo się zesra.

Nietzsche uznał te szkaradne słowa za wyborny komplement, w odpowiedzi wyszczerzył w uśmiechu szczękę pełną szpiczastych zębów.

Chyba zaczynało mu się tu podobać.

W przedpokoju zakręcił się w kółko, ale radośnie. Potem dokładnie obwąchał trzy pokoje i łazienkę, biegał to tu, to tam, najwyraźniej podekscytowany, kuchnię zostawił sobie na sam koniec.

Lulek był podobnego zdania, mieszkanko udało mu się kupić piękne. A że nie miał ręki do wybierania kafelków, zasłonek i tym podobnych duperansów, zatrudnił architekta wewnątrz i teraz można było... No można było wziąć łopatę, grabie i trochę tu posprzątać, zapuścić chatę przez ostatnich kilka miesięcy, ale starać się tylko dla siebie... Po co?

Mimo wszystko w mieszkanku nadal czuło się potencjał.

I coś jeszcze, jakby zapach zgnilizny...

Lulek uprzątnął pospiesznie kilka ubrań z krzesel, po czym chwycił za patelnię, na której rozkładała się jakaś substancja organiczna. Zanim pognał do łazienki, przykucnął przy dywaniku i udzielił zwierzowi oficjalnego pouczenia:

– Te, a zeżryj stół albo zabobkuj moją luksusową chatę, to będziesz spał w piwnicy!

Przy „zabobkowaniu” Nietzsche zaszczekał z wyraźną uciechą.

– Luksusowe? – Tosia przyjrzała się szczątkom na patelni porośniętym szarym płaszczkiem grzyba, objęła też wzrokiem walające się wszędzie puste opakowania po jedzeniu i zrobiła tę swoją minę.

Mina wyrażała po trochu troskę, złość i nadchodzące załamanie nerwowe.

Lulek stanął pośrodku kuchni zwarty i gotowy.

– Wyluzuj, zaraz wjedzie na blat szampan i kawior, a ja tu tymczasem ogarnę. Wystarczy mi godzinka. Posprzątam tak, że Nietzsche będzie mógł jeść z podłogi.

Z szampanem i kawiozem żartował, ale do sprzątnięcia zamierzał się przyłożyć, chciał, żeby Tosia czuła się dobrze, skoro miała tu...

Zostać?

Na samą myśl poczuł gorąco, ale główna zainteresowana na jego porządkową gotowość zareagowała jakoś dziwnie.

- Ty to jesteś ciekawy egzemplarz.

- Ba!

- Bo są tacy, co zatrudniają sprzątaczkę...

- Sprzątaczkę to by mogły zatrudniać mnie! - zapewnił Lulek, sięgnął za drzwi po szcztokę i wykonał z nią w objęciach skomplikowaną figurę taneczną. - Godzinka - powtórzył. - A ty sobie odpal komputer czy coś.

- Nie zabrałam żadnych rzeczy - bąknęła niepewnie. - Mam tylko to, co w plecaku.

- Jutro zabierzesz.

- A ty nie żartowałeś? Naprawdę mogę się tu zatrzymać?

Lulek przełknął ślinę.

- Pewnie, że możesz. Co za problem?

A niby czemu kupić takie wielkie mieszkanie, tylko dla siebie jednego? Ciągłe miał nadzieję, że może kiedyś... Że może jakoś... Poza tym zakupem rozwiązał problem lokalowy, mogli u niego swobodnie przesiadywać, a Tosia miała tu nawet coś à la swój pokój, sama wybierała do niego meble.

- Rodzice w zasadzie nie wiedzą, że ich córka postanowiła wyfrunąć z gniazda. - Zaczynała się chyba martwić. - Myślę, że na noc wrócę do domu.

- To im napiszesz, że nie wrócisz. Albo zadzwonisz. Dzieci wyprowadzają się od rodziców. Nawet bardzo często. Popatrz na mnie.

Usiłowała się roześmiać, ale na jej ustach pojawił się grymas.

- Pozłość się jeszcze trochę - rzucił niby żartem, bo złość była znacznie lepsza niż smutek. - Wkurz się, no, nie daj się prosić. Jak się wkurzasz, jesteś seksowna... Na czole pulsuje ci taka mała żyłka. Bardzo fajnie pulsuje... Może dasz mi kiedyś dotknąć.

- Lulek, nie przeginaj pały.

- Wiesz, moja pała w sumie nie miałaby nic przeciwko małym wygibasom...

Trafiony zatopiony!

Tosia nie znosiła pikantnych żarcików, nie wiedzieć czemu, on je wręcz uwielbiał. Bo wielcy poeci niby po co tworzyli te wszystkie wiersze? Przez uszy do serca - wiadomo. Z tym że taka droga sprawdzała się w przypadku kobiet. Czułe słówka, komplementy, zapewnienia. Słowa, uszy, serce, uda. Mężczyźni z kolei wołają konkret, to z żołądkiem działało, ale pod warunkiem, że była zachowana odpowiednia kolejność. Uda, serce, obiad. Bez ud i serca żaden facet nie da się usidlić, choćby na stół wjeżdżały codziennie kluski śląskie z roladą i modrą kapustą.

A właśnie, skoro Tosia postanowiła zostać - co do ud nie miał złudzeń, ale ciekawe, czy będzie mógł liczyć na ciepły posiłek. Czy też nadal będzie musiał jadać we własnym lokalu, gdzie przecież nikt nie gotował SPECJALNIE dla niego...

- Znowu zaczynasz? - Prawa brew Tosi, śliczna, potyskliwa jak skrzydełko ważki, uniosła się raptownie, więc dał spokój z pytaniami.

On tak łopotać brwiami nie umiał, zawsze go to bawiło.

- A czy ja kiedyś przestałem? Widzisz, złość, już się nie kurczysz, tylko wypinasz... Co, pierś to jest neutralne słowo! Myślisz, że po co się żołnierze zagrzewają do boju okrzykami? Żeby się wk...

- Lulek, jak zaczniesz jeszcze kłąć, przysięgam, wychodzę! Bluzgi to mi serwuje moja mamusia. Ty już nie musisz.

Tosia mówiła poważnie.

- Wkurzyć! - dokończył. - Chciałem powiedzieć: wkurzyć. Za kogo ty mnie masz?

- Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

- Przynajmniej się nie nudzisz.

- Jasne. Ale czasem mnie doprowadzasz...

- Ja bym cię bardzo chciał dopro...

- Lulek, opanuj się wreszcie?!

Opanował się, na dowód czego stanął przy szcrotce na baczność.

- Mogę ci coś powiedzieć? - Tosia zmieniła nagle ton. Zabrzmiała w nim ważna decyzja i Lulek trochę się przestraszył. - Bo myślę nad tym, odkąd wyjechaliśmy z Akacjowej.

- Skoro musisz, to mów.

- Bo wiesz, że przez pandemię przytyłam i wyglądam jak hodowlana...

- Boże, kobiety, czy wy zawsze musicie...

- Przecież chciałeś, żeby ci powiedzieć!

- Mów!

Usiadł ostentacyjnie pod stołem i poszukał zrozumienia w spojrzeniu Nietzschego.

Tak, zobaczył w jego czarnych oczach całe pokłady współczucia.

Ten pies to jest równy gość, tylko to jego imię...

- Zamierzam się odchudzać - wypaliła uroczyście Tosia i obaj z Nietzschem oklapli.

Czyli ten ciepły posiłek, Tosia w kusym fartuszku i wszystko dla niego: duszone mięsko w brytfance, warzywka na patelni, kompocik w garnuszku, rosółek w garze, a w piekarniku ciasto z truskawkami - ta wizja...

To były tylko jego pobożne życzenia?

Świat jest dla młodych mężczyzn zdecydowanie zbyt okrutny.

- Ooo... - W odpowiedzi nie zawarł zatem nadmiernego entuzjazmu. Pieprzona epoka gender. - Brawo ty.

- Jest lato, chciałabym jakoś wyglądać, może znajdę jakąś inną dorywczą pracę, dlatego... Przechodzę na post przerywany.

Lulek cmoknął.

- Post przerywany. Aha. A to ma coś wspólnego z religią?

- Nie, czemu?

- Post. Religia. No bo przecież jak spytam, czy to ma coś wspólnego ze stosunkiem, to zaraz powiesz, że mi tylko jedno w głowie...

Nagromadzenie wiadomych wątków w jednej rozmowie przekroczyło wartości graniczne i teraz pewnie należało się spodziewać spektakularnego opierdzielu, ale Tosia przekrzywiła głowę i się roześmiała.

Głośno i bardzo szczerze.

Lulek poczuł się nagle wściekle szczęśliwy.

- Głupek z ciebie, Lulek. Głupek, Lulek, he, he. Słyszysz? Fajnie się rymuje!

Zaróżowiona, uśmiechnięta Tosia wyglądała jak dojrziała brzoskwinia i to był dla młodego mężczyzny najpiękniejszy widok na świecie.

Na świecie, który bywał też czasami miejscem bardzo znośnym.



Jasne, że nie chodziło tylko o scenę w przedpokoju.

W Tosi nabierało się mnóstwo żalu i nie tylko żalu.

Te wszystkie przykrości, których ostatnio doznała od matki, wszystkie pretensje do ojca, który usiłował zachować neutralność, plus niedawna frustracja związana z pisaniem rozprawy doktorskiej - wezbrały w niej dziś na nowo i nie dawały spokoju. W ogóle należało przyznać, że krajobraz wewnętrzny Tosi od kilku miesięcy przypominał obrazy kubistów, i to takich zdołowanych albo pijanych w sztok: wszystkie linie powyginane, figury zdeformowane, kwadrat

robił za koło, koło przypominało trójkąt, a kolory na widnokregu majaczyły smętne i ponure. Nie było miło żyć z czymś takim w środku. Nie było miło. Ciągłe niezadowolenie plus wstręt – ale jak nie czuć do siebie wstrętu, kiedy na człowieku leżą dobrze tylko dwie pary spodni, szafa pęka w szwach, a ze sobą nijak nie można dojść do ładu?

Chociaż tyle, że Lulek jej nie zostawił.

I jak ten facet potrafił sprzątać!

Tosia z ulgą ściągnęła kalosze, powkładała brudne naczynia do zmywarki, żeby mieć swój udział w porządkach, po czym usiłowała stanąć głową na nogi w pokoju, który najbardziej lubiła.

Delikatnie szare ściany, szary dywanik w białe groszki, białe meble, dużo światła, a przede wszystkim widok na park i netto. Ten ostatni element może nie był oszałamiający, ale park wiele wynagradzał.

Ledwie Tosia skuliła się w fotelu, zadzwoniła komórka.

Gośka, jej przyjaciółka ze studiów doktoranckich.

Słowa „przyjaciółka” Tosia używała nieco na wyrost, po prostu poznały się z Goską na uczelni i sobie pomagały. Tosia studiowała socjologię, jej koleżanka politologię, ale budynek był ten sam, więc okazji do spotkań nie brakowało. Z biegiem czasu zaczęły się też sobie zwierzać, choć ściśle biorąc, to przede wszystkim zwierzała się Gośka – prowadziła bogate życie osobiste, a skoro nie mogła opowiedzieć o nim w Teleexpressie, to aktualności przekazywała najbliższemu otoczeniu.

– Hejo! – W telefonie rozległ się jej charakterystyczny, nieco dziecinny głos. – Dzwonię, bo spotkałam dziś twojego promotora i potraktował mnie tak, że szkoda słów.

– Mój promotor? Niemożliwe.

– Jak niemożliwe, skoro możliwe? No komedia, mówię ci. Ten facet ma jakiś problem emocjonalny.

Gośka wcale nie oczekiwała komentarza zwrotnego, po prostu dzwoniła, żeby sobie spuścić z krzyża. W związku z tym Tosia cierpliwie wysłuchiwała opowieści o spotkaniu w autobusie miejskim linii sześćset siedemdziesiąt cztery, które miało ponoć dramatyczny finał.

– Chciałam z nim pogadać, ale tak wiesz, od serca – wyznała Gośka. – Ale się nie dało. Ja zaczynam się wywnętrzać, a koleś mi mówi, że bym dosiadła się do kogoś innego. Masz pojęcie?!

– Nie wiem, czy mówimy o tym samym Krzysztofie Nałęckim...

– Co ty myślisz, że ja ludzi nie poznaję? Ten sam... On ma żonę?

Gośka uwielbiała przeskakiwać z tematu na temat.

– Mój profesor? – Tosia usiłowała zebrać myśli. – Tak, ma, bardzo miłą. Wybacz, ale też mi pęka...

– No właśnie słyszę, że jesteś jakaś wczorajsza. Coś się stało?

– Nie. W sumie nie. Chociaż... W sumie tak. Wyprowadzam się od rodziców.

Gosia była od niej starsza o dziesięć lat i chyba nie doceniała wagi podobnych zdarzeń.

– O, to wyrazy współczucia. Ale u starych to przynajmniej nie płaciłaś za mieszkanie i jedzenie.

Tosia chciała usłyszeć coś innego, ale cóż, każda forma wsparcia się liczyła.

– Wołałabym płacić i mieć spokój. Właśnie, będę musiała przelać coś Lulkowi...

Zaraz to z nim obgada.

– Temu twojemu?

– Tak, Lulek przyjął mnie pod swój dach. Ma duże mieszkanie, trzy pokoje w nowym bloku.

– W nowym? – Gośka od razu się zainteresowała.

– Tak, te bloki przy dawnym tesco, teraz tu jest netto.

– O, to nieźle. Ale to kupa kasy musiała pójść. Wiesz, jakie tam są ceny?! Ten twój Lulek nie wygląda...



Tosia pozwoliła sobie na cichy chichot i upewniła się, czy Lulek nadal zajmuje się pucowaniem kuchni. Pucował, i to z takim zacięciem, że od tego pucowania powinny się cofnąć nie tylko procesy lodowcowe, ale i te kształtujące Ziemię.

– Lulek nie wygląda, ale na biednego nie trafiło. Bitcoin. Mówi ci to coś?

Gośce mówiło.

– Pewa! Gdybym kiedyś władowała w to kasę...

– A Lulek władował – zdradziła Tosia, zniżając odruchowo głos. – Na samym początku. I Lulek jak to Lulek, zapomniał. I to miało zasadnicze znaczenie, bo jak to diabelstwo poszło w górę, ludzie oszaleli. Myśleli, że to już szczyt możliwości, i zaczęli sprzedawać. A Lulek sobie żył i miał bitcoiny gdzieś. Dopiero niedawno... Rok temu...

– Nie! – Gośkę zatkało z wrażenia.

– Tak.

– Serio?!

– Serio.

– A... można wiedzieć ile? Ile zapomniał i...

– Tego nie wiem i nie zamierzam pytać. – Tosia postawiła sprawę jasno. – Ale na moje oko Lulek jest milionerem.

– Co ty mówisz?! Nie mów! Taki Lulek?! Milionerem?

Gośka poznała Lulka na początku studiów, ale wnioskując po zdumieniu, chyba nie miał u niej najwyższych notowań.

– Tak mi się wydaje. Ale on ma ciekawy stosunek do pieniędzy – ciągnęła Tosia. – Niby praktyczny, ale w sumie je olewa. Kupił mieszkanie, zainwestował we własny biznes...

– W jaki biznes?

– W lokale gastronomiczne. Wszystkie bary i stołówki na naszym uniwersytecie są jego. I ma jeszcze jeden na Akademii Muzycznej, a do niedawna prowadził też bar na Akademii Górnośląskiej. Tam, gdzie pracuje mój ojciec.

– Ale jak to?! – Gośka znowu się zdziwiła.

Zdaje się, że dogłębnie.

– Nie mówiłam ci?

– No właśnie nie mówiłaś!

– Przecież widzisz Lulka na uczelni. Myślałam, że wiesz.

– Tak, ale on zawsze nosi jakieś pudła, stopy kartonów, myślałam, że jest dostawcą albo posłańcem... A tu biznesmen? Mogłaś mnie uprzedzić.

– A to ma jakieś znaczenie? – Teraz zdziwiła się Tosia.

Pretensja w głosie Gośki zabrzmiała szczerze.

– Niby nie, ale mogłam popełnić jakiegoś fopasa. Szoknęłaś mnie w ogóle. Wyprowadzka, Lulek milionerem...

– W końcu musiał nadejść ten dzień. – Ostatnie zdanie Tosia powiedziała bardziej do siebie, ale Gośka nie połączyła kropek.

– Jaki dzień?

– Ten dzień. Wyprowadzka od rodziców.

– A no tak, wyprowadzka. W takim razie kiedy robisz parapetówkę? I co jak co, ale przyjaciółka powinna cię w nowym mieszkaniu odwiedzić.

Parapetówkę?

Tosia jeszcze na dobre się nie przeprowadziła, ale może to był niezły pomysł? Parapetówka by pewne sprawy przypiecztowała.

- Co do imprezy, to muszę się najpierw naradzić z Lulką, ale odwiedzić mnie możesz w każdej chwili. To znaczy może nie w tej konkretnej, możemy się spotkać choćby jutro.

- Świetnie. Jutro mi pasuje. O której?

- Może po południu, bo rano się umówiłam. Zaraz ci wyślę adres.

- Pewa. To w takim razie jutro się widzimy.

Tosia poczuła się tym tempem lekko oszołomiona, ale jak się przeprowadzać, to się przeprowadzać. Chciała jeszcze obwieścić nowinę dotyczącą pewnego przystojniaka z Akacjowej, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Coś jej mówiło, że Gośka nie zareagowałaby entuzjastycznie na przyjęcie posady sprzątaczkii, poza tym z wnętrza mieszkania zaczęły ją dochodzić połączone odgłosy odkurzacza i wycia. Tosia się zatem szybko pożegnała i popędziła do kuchni.

Zastała tam Lulka dzierzącego rurę i Nietzschego wyciągającego w oczekiwaniu pysk. Ledwie jeden włączył odkurzacza, drugi zaczynał dawać koncert. Lulek był podekscytowany odkryciem, mina Nietzschego wyrażała...

Trudno powiedzieć.

- Czemu się nad nim znęcasz?! - zagrzmiała Tosia już od progu.

- Jakie znęcasz? Widzisz po tej gębie, żeby była znęcona? Zobacz, jakby miał zamontowany guzik - oznajmił zafascynowany Lulek, po czym z sumiennocią badacza włączył urządzenie, a Nietzsche znowu pokazał, na co go stać.

Lulek wyłączył odkurzacza, Nietzsche wyłączył wycie.

I powtórka...

- Przestańcie w końcu! - Tosia zaprotestowała, bo ani jeden, ani drugi nie zamierzali się poddać, poza tym odkurzacza rzeził, jakby miał się za chwilę zepsuć.

- Ale to jest fajna zabawa!

- Ciekawe dla kogo. Zaraz, co on tam ma pod ogonem...

Oględziny przeprowadzone przez Lulkę wykazały, że w sierści Nietzschego znajduje się...

- Bobek! - wykrzyknął uradowany Lulek, a pies zaszczekał. - I nie wiem, czy to nie ten sam. Bo jak płakałaś po wyjściu od rodziców i kudłaty narobił na wycieraczkę, to potem tam usiadł i do tyłka mu jednak na odchodnym nie zaglądałem. Chyba mu się przykleił. Bobek... - powtórzył Lulek z czułością, a Nietzsche znowu wydał gromki odgłos paszczowy.

- Ten pies mnie doprowadza... - zaczęła Tosia, ale szybko ugryzła się w język.

Lepiej nie zachęcać Lulki do produkcji idiotycznych tekstów.

- Bobek!

Szczeknięcie.

- Bobek...

Tak, Lulek plus kudłaty wstręciuch stanowili idealny tandem.

Tylko czy ona to psychicznie wytrzyma?

- Nie uważasz, że Nietzsche to beznadziejne imię? - Lulek się zamyślił. - Co sądzisz o... Bobku?

- Jeśli nie chcesz mieć pamiętki, sugeruję kosz.

Lulek demonicznie zachichotał, po czym wydobył ze zmywarki zielony emaliowany kubek z namalowanym czarnym stworem. Stwór składał się wyłącznie z czarnych skołtunionych włosów i pary cienkich jak nitka nóżek. Nietzsche miał, co prawda, cztery nogi, porównywalnej wiotkości, ale podobieństwo faktycznie uderzało.

- To jest Bobek z książek o Muminkach.

- Bobek? - powtórzyła niepewnie Tosia, zerkając na kandydata do adopcji.

Usiłowała sobie wyobrazić reakcję tych, którzy odpowiedzialiby na ogłoszenie, ale jej wyobraźnia nie była chyba tak duża, jak sądziła, kiedy składała deklarację przed profesorem.

Faktycznie, nietoperz i wycior do karabinu w jednym.

– A jak go chcesz ludziom reklamować? Imię to forma reklamy – przekonywał Lulek, a Nietzsche grzecznie usiadł i wpatrywał się w niego jak w obraz. – Nietzsche? Może od razu przerobić go na Hitlera? Data urodzenia: tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. Co sobie będziemy żałować. Wszyscy go wezmą. Z pocałowaniem ręki.

– To może jakoś inaczej...

– Pikuś?

Nietzsche wydał z siebie taki dźwięk, jakby poczuł się upokorzony.

Tosia westchnęła, Lulek nie przestawał sprawdzać psich reakcji.

– Bobek.

Szczeknięcie.

– I w dodatku mu się podoba – stwierdził. – To jak? Akceptacja zwierzyny jest. Chrzcimy? W tym imieniu czai się moc.

I tak Nietzsche został Bobkiem.

A w lodówce zamiast szampana znaleźli czerwone izraelskie wino o jakże wdzięcznej nazwie.

Zmora.

Tosia zasnęła tego dnia upojona WINEM, ale pierwszy raz od dawna czuła, że wszystko jest tak, jak być poWINNO.



Komisarz Piotrek Marchewka pracował w policji zbyt długo, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, że napad na sąsiada zostanie przez prokuratora elegancko umorzony, ale czynności śledcze, jak to czynności śledcze, miały swój ustalony bieg. Zmienić mógł go tylko naczelnik, a tą sprawą naczelnik jakoś nie był zainteresowany.

Komisarz pobrał więc wczoraj odciski palców od obu profesorów i Igora Dziedzica, pozostały mu zatem do weryfikacji panie. Pani Bukowińska spędzała lato poza domem, ale akurat jej linie papilarne mogli ustalić drogą eliminacji, wystarczyło posypać proszkiem jej ukochany kubek i po krzyku. Zostawała jeszcze ogrodniczka vel doktorantka, czyli Antonina Biczak.

Niby profesor zatrudnił ją do pilnowania ogrodu i karmienia psa, ale widać było, że dziewczyna mocno się angażuje, a słowo „afekt”, wypowiedziane wczoraj przez profesora Nałęckiego, jakoś nie chciało Marchewce wyjść z głowy. Pani Biczak łypała oczami na siostrzeńca sąsiada, to było widać od razu, ale też bardzo przejmowała się jego wujem. Może miały tu miejsce jakieś osobiste relacje, zależności, z których nie zdawał sobie sprawy? Może człowiek w chuście w ogóle nie istniał? A jeśli istniał, może profesor źle rozpoznał pleć? Na dobrą sprawę Bukowińskiego równie dobrze mogła tak urządzić kobieta... Tym bardziej że technicy dzisiaj donieśli, że śladów włamania nie znaleziono ani na zamkach furtki, ani bramy czy kłódki zamykającej budkę na narzędzia.

Trudno się dziwić.

Rzadko kiedy coś okazywało się tym, na co wyglądało.

Marchewka do sąsiada daleko nie miał, a oficjalne pismo z wezwaniem do komendy to osobna historia, dlatego postanowił wykorzystać chwilę i zajrzeć do profesora przed pracą. Liczył, że natknie się na panią Biczak i odciski jej palców zostaną od razu uwiecznione. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, że w małżeństwie komisarza nastały tak zwane ciche dni, a jego żona, Zuza, jeśli już się do czegoś brała, to na całego.

Ciche dni w jej wykonaniu to był majstersztyk!

Ta nadąsana i bolesna mina, z którą żona snuła się po mieszkaniu, wysyłając wszem wobec komunikat, że jej małżonek ją skrzywdził, zawiódł, rozczarował. Te samotne śniadania, samotne

kolacje, samotne... Nie, obiadów nie było, Zuza w te dni ostentacyjnie zaprzestawała działań kulinarnych i jadła na mieście, więc siłą rzeczy samotność rozkładała się na dwa posiłki i tym bardziej Marchewce doskwierała. Zuza nie odbierała telefonów, nie odpowiadała na maile i SMS-y, gołębi i posłańców też nie było sensu słać, zostaliby obdarcy ze skóry lub zastrzeleni – za pociski starczały gromy ciskane z przepastnie niebieskich oczu. O wejściu do sypialni Marchewka mógł tylko pomarzyć, już samo wkroczenie na schody było ryzykowne, gdyż Zuza na czas małżeńskich niesnasek dokonywała podziału terytorium.

Ona zajmowała piętro domu.

Marchewka miał bytować przy gruncie.

Jedząc na śniadanie płatki z zimnym mlekiem, zgnębiony komisarz z desperacją więc kalkulował: przyznać się teraz, że żadnej zdrady nie ma i nie było, czy przeczekać? Zuza podczas cichych dni była nieprzewidywalna, w dodatku zbliżał się jej okres. Te dwie okoliczności sprawiały, że Marchewka z zazdrością myślał, że niektóre żony mają siostry w Borach Tucholskich i mogą do nich wyjeżdżać na urlop.

Przyznać się czy się nie przyznać?

Jeśli teraz się ukorzy i powie, że od kilku miesięcy wraca do domu później, bo w tajemnicy przed żoną buduje rzeźbę, że te włosy to dla niej, bo w rozmowie z przyjaciółką wyrwało się jej, że lubi długowłosych drwali, i on to przypadkiem usłyszał...

Wyobraził sobie minę Zuzy.

Zuzy, która dowiaduje się, że jej własny mąż to oszust.

Bo tak by to z pewnością ujęła.

A kiedy już to sobie wyobraził, niemal poczuł siłę, z jaką zderzyłyby się płyty tektoniczne pod małym białym domkiem, który postawił dla nich na ekskluzywnym osiedlu, zaciągając z tego powodu dożywnotni kredyt. I wyszło mu, że to on powinien zwinąć manatki i ruszyć choćby w Karpaty.

Sytuacja Marchewkę zatem niniejszym PRZEROSŁA.

W związku z czym komisarz nie zamierzał się RWAĆ, zrozumiał, że jedyne wyjście to akceptacja i zachowanie spokoju.

Dokończył płatki, popił je zimną kawą i pomaszerował do sąsiada. Na widok idącej naprzeciwko ulicą pani Biczak bardzo się ucieszył. W końcu spotkał kogoś, kto patrząc na niego, nie odwracał z odrazą głowy. Pani Tosia była rozpromieniona, przesłicznie się uśmiechała i wyglądała dziś zupełnie inaczej niż wczoraj, bardzo kobieco, aż Marchewka mimowolnie napiął mięśnie, w końcu po coś je miał.

Nie wiedział, że z salonu kosmetycznego Femina obserwują go czyjeś oczy.

Nie były w tym momencie przepastnie niebieskie, raczej czerwone.

Od płaczu.



Tosia o poranku czuła się jak z krzyża zdjęta.

Wczoraj wieczorem już chciała napisać do rodziców, ale uznała, że pewne sprawy załatwia się inaczej, więc zadzwoniła do matki, ale pani Regina decyzję o wyprowadzce córki skwitowała tylko jednym zdaniem.

„Rób, jak uważasz”.

I Tosia poczuła się tak, jakby robiła coś bardzo złego.

Poza tym pani Regina odpowiadała niechętnie, półsłówkami, a jedyna dłuższa wypowiedź, na jaką się zdobyła, dotyczyła zniszczonych butów i była wygłoszona w duchu ciężkiej pretensji. Tak

jakby para obcasów i trochę czerwonej skórki okazały się w finalnym rozrachunku ważniejsze niż bliska osoba. I jakby to osoba chciała te buty zeżreć, a nie pies.

Smutne.

Tosia nie żałowała więc sobie wczoraj Zmory, zasnęła szybko, ale co chwilę się budziła i we wstorkowy poranek wstała z łóżka tak, jak się wstaje z grobu.

Tymczasem nowy dzień nic sobie nie robił z ludzkich przemyśleń i dylematów, wstał świeżutki jak pęczek rzodkiewek. Słońce miało różowy poblask i podświetlało czysty kuchenny stół, odbijało się olśniewającym blaskiem od szafek i w ogóle komunikowało, że należy wyjść z łóżka i zostawić to, co było wczoraj, bo dziś...

Dziś może być wszystko inaczej!

Lulek stanowił tego najlepszy dowód – porażał dzisiejszością, a entuzjazm wręcz z niego kapał. Krzątał się między kuchenką a ekspresem, zerkał na Bobka rozpierającego się na dywaniku, a zapach unoszący się w całym mieszkaniu zdradzał, że na śniadanie będzie owsianka z duszonym na maśle jabłkiem.

Tosi zrobiło się zdecydowanie różniej na duszy.

– Wstałaś. To popatrz na tego tutaj. – Lulek na powitanie skinął głową na...

Bobka.

Nowo ochrzczone zwierzę odkryło, że pocieranie sierścią o sztuczny dywanik ma ścisły związek z elektrycznością, a ta powoduje, że włosy na psie dziarsko stają dęba.

Pod względem estetyki wyglądało to upiornie, ale kundel miał przy tym niesamowity ubaw.

– Żywy zbiór wektorów korelacji! – ocenił Lulek w rozbawieniu, a Tosia musiała chwilę pomyśleć.

W końcu zrozumiała.

– Że włosy jak strzałki, każda w inną...

– Dokładnie tak. A twój fryz jak kula jemioli na jesiennym drzewie – wypalił w natchnieniu. – Albo jak lampa z Ikea, oni tam mają taką okrągłą i nastroszoną.

Lulek i jego porównania.

– Chcesz się bić? – Pokazała mu język i usiadła do stołu, zapach porażał.

– A to innym razem, za dobry mam nastrój. My już zaliczyliśmy spacer i przyniosłem bułeczki z kruszonką.

Wstrząsające.

Zwłaszcza dla kogoś, kto zdecydował, że przechodzi na post przerywaną.

– Nigdy nie miałem psa – ciągnął niezrażony Lulek, stawiając przez Tosią talerz z górką węglowodanów – ale jak zwierzę liże mnie skoro świt po głębie, wyje i kręci się pod drzwiami, to obstawiam fekalia. Że chce wyjść za potrzebą.

– Tak, wiem, co to znaczy „fekalia” – mruknęła Tosia, mimowolnie wracając myślami do pewnego przedpokoju, aż w końcu stwierdziła, że przedpokój może być więzieniem... – Dobra. Nowy dzień, nowy dzień. Przecież nie zrobiłam nic złego.

W oczach Lulka pojawił się znak zapytania.

– Nic. Miętołę wyprowadzkę – wyjaśniła.

Lulek spojrział w zadumie na Tosię, spojrział na Bobka, wpakował sobie do ust porcję owsianki, podrapał się po policzku przyozdobionym kilkuniedniowym zarostem, po czym mrużąc oczy od słońca, powiedział:

– Popatrz na tego tutaj... On też się wyprowadził, a czochna się i cieszy taką głupotą jak elektryczność. Ty się też wyprowadziłaś. Siedzisz i już drugi dzień miętolisz panią Reginę. Kto nadal nosi łańcuch?

Lulek i jego porównania...



Dokładnie tak.

Łańcuchów i okowów wcale nie musi być widać.

I będąc ciałem choćby na Sri Lance, można tkwić umęczonym duchem w przedpokoju w Katowicach i nadal być posłusznym mamusi. Można od rana marudzić i fukać na wszystkich, bo mamusia tak zawsze robiła, można patrzeć na świat i nie rozumieć, że dzisiejszy wtorek jest bardziej wtorkowaty od środy i identyczny wtorek z naelektryzowanym Bobkiem i rozczochranym Lulkkiem, taki wtorek zdarza się w całym życiu tylko raz.

A co, jeśli wolność to nie tylko akt woli?

Co, jeśli za wolą musi pójść działanie? Jakiegokolwiek, choćby najmniejsze, nawet jeden krok, byle do przodu?

Tosia tak się zdenerwowała słowami Lulka, że pochłonęła owsiankę, umyła głowę i gotowa była wychodzić.

Koniec gadania i dzielenia włosa na czworo.

– Już pędzisz? – zdziwił się Lulek.

– Tak... Mam spotkanie z profesorem na Akacyjej – wyjaśniła z wahaniem Tosia, zastanawiając się, czy pominięcie pewnych szczegółów to kłamstwo i czy ona musi się spowiadać swojemu nowemu współlokatorowi, dokąd idzie, z kim i w jakim celu.

Przecież jak się z kimś mieszka, tylko mieszka i tylko przyjaźni, to chyba nadal ma się prawo do własnych spraw.

– To cię podrzucę, też miałem wyjść.

Lulek był kochany, te bułeczki i w ogóle, ale czy nie mógł odpuścić? A może ona miała ochotę dotrzeć na Akacyję sama? Pobyć z pewnymi myślami, które coraz bardziej zaczynały krążyć wokół szatyna ze skroniami przyprószonymi siwizną, przypomnieć sobie, jak wyglądają jego dłonie...

– Nie trzeba – podziękowała. – Jeszcze muszę zajrzeć do domu przebrać się i zabrać kilka ubrań.

– To tym bardziej, przecież nie będziesz tego nosić.

– Nie rób sobie kłopotu, letnie ciuchy nie wążą nie wiadomo ile. A chcę się przejść.

– Na pewno?

Lulek zatrzymał na niej dłużej wzrok i Tosia poczuła się jak mucha, która, co prawda, uciekła rosiczkce, ale za to dorwał ją szalony entomolog i właśnie zamierzał policzyć jej pod mikroskopem nogi.

– Na pewno. Chcę się przejść – powtórzyła twardo. – A w ogóle to tego paskuda trzeba wykapać – dodała już nieco łagodniejszym głosem, bo Lulek się spłoszył, a Bobek zawarczał. – I w ogóle on się dziwnie zachowuje, ale widział mordercę, a raczej napadalca, więc w sumie trudno się dziwić.

– Przecież mówiłaś, że profesor Bukowiński uważa, że to kradzież.

Tosia się zamyśliła.

– Mój promotor ma rację. Ciekawe to wszystko. Skoro kradzież, to czemu ten niby złodziej nie wziął roweru? Okazję miał wyśmienitą. Profesor leżał nieprzytomny.

– Ja się nie znam.

– Ja też, ale na chłopski rozum...

– Na babski.

– Na babski rozum, to nie chodziło o rower. Morderstwo? Profesor leżał nieprzytomny, można go było spokojnie... dobić.

Dobić, co ona wygaduje!

– Przecież ten ktoś próbował. Sznur, imadło – wyliczał Lulek. – Może go coś spłoszyło albo ktoś. Może ty?

– Może ja – przytaknęła Tosia i w jednej chwili ogród profesora przestał być takim bajkowym miejscem, jakim się do tej pory wydawał.

– To może jednak cię zawieźć?

– Lulek, czy ja choruję na stwardnienie zanikowe boczne?

Sprawności nie można jej było odmówić, Lulek się na to nie odważył, więc Tosia zarzuciła na siebie plecak, pożegnała obu owłosionych panów i pognąła realizować to, co zamierzyła.

Na Akacją dotarła już w nowym wcieleniu. We wcieleniu, które ze sprzątaniami miało niewiele wspólnego, za to z prezentowaniem kobiecości już tak: zrobiła sobie delikatny makijaż, włożyła kwiecistą sukienkę leżącą na niej, co prawda, jak prześcieradło naciągnięte na Pałac Kultury, ale za to wzór wiele maskował, poza tym do kompletu wskoczyła w nowo zakupione klapeczki na obcasie.

Od biedy mogło być.

I właśnie na biednego i smutnego wyglądał komisarz Marchewka, który włókł się po chodniku malutką nogą za malutką nogą, jakby szedł na rzeź czy raczej na targ warzywny. Tosia uśmiechnęła się więc do niego życzliwie i u profesora stawili się już razem.

Ale choć Marchewka prezentował się dziś jak obraz nędzy i rozpaczy, nie zapomniał o swoich obowiązkach i Tosia posłusznie poddała się czynności pobierania odcisków palców. Potem przyszła pora na krzyżowy ogień pytań.

A raczej na kilka pytań rzuconych na krzyż.

Bo na tyle miał dziś sił przedstawiciel organów ścigania.

– Pani Tosiu, chce pani kawy? – Pierwszy wyskoczył z pytaniem gospodarz, ale Tosia myślała już tylko o Igorze, popatrywała na sąsiednie podwórko i czuła ucisk w żołądku, więc podziękowała.

Marchewka również nie miał ochoty na kofeinę, profesor popijał więc kawę sam. Dopiero dziś było widać, że w górach się opalił, wyglądał jak ładnie wypieczony bochenek chleba. Ranę na głowie przykrył włosami. Siedzący obok niego komisarz wyglądał z kolei jak wczorajsze ciastko... marchewkowe. Oklapłe i nieświeże. Z kilkoma długimi włosami, które spadły na talerz.

– Pani Tosiu... Mogę tak do pani mówić? – Komisarz za przykładem profesora przerzucił się na zdrobniął formę jej imienia, a zyskawszy aprobatę, kontynuował: – Wróćmy do wczorajszych zdarzeń. Proszę sobie przypomnieć, czy budka z narzędziami, w której znalazła pani profesora Bukowińskiego... Czy budka była otwarta?

– Myślałam, że jest zamknięta – zaczęła Tosia z wahaniem – ale ten skobel chyba za łatwo odskoczył. Nie wiem, trudno mi ocenić.

Komisarz westchnął i tym razem skierował pytanie do sąsiada.

– Zamknięta, na kłódkę – zapewnił tamten.

– I jak pan wyjeżdżał, to rozumiem, że pan ją zamknął?

– Oczywiście, nawet sprawdzałem.

Odpowiedź Marchewki nie zadowoliła, co profesor od razu wychwycił.

– Właśnie, też się zastanawiałem, jak złodziej tam wszedł. Wytrych?

– Na razie może to zostawmy. – Komisarz pospiesznie zmienił temat. – Pani Tosiu, pani ma klucze?

Klucze? Tosia starała się nie pokazać eksplodującej w niej właśnie urazy. Czy ona dobrze wyczuwała, że ten miły policjant ma bardzo niemiłe podejrzenia? Ale że co?

Że niby ona założyła profesorowi na szyję chomąto ze sznura?

- Do budki i do domu nie mam – poinformowała. – Mam tylko ten do furtki.  
- W domu niczego nie brakuje, nic nie zginęło – wtrącił profesor.  
- W porządku. To jeszcze poproszę, żeby pani spróbowała odtworzyć w myślach wczorajszą drogę na Akacjową – wyraził prośbę Marchewka.

- Szłam przez park. Na Tysiącleciu...

- Najbardziej interesuje mnie rejon tutejszego osiedla – uściślił. – Proszę wyobrazić sobie trasę i wymienić na głos wszystkie pojazdy, które pani widziała. Kolor, markę...

Może jeszcze typ silnika?

Marchewka myślał jak typowy facet, a raczej facecik, ale Tosia nie chciała mu sprawiać przykrości i podjęła wyzwanie. Tyle że w ogóle nie miała pamięci do samochodów, jako kobieta poruszająca się na co dzień na dwóch nogach albo komunikacją miejską po prostu ich nie rejestrowała.

- Szłam w parku aleją Klonową – powiedziała, wyciągając z torebki telefon. – Chwila, sprawdzę w Google... Skręciłam przy stawie Hutnik, aleja Leśna, to cały czas park, więc zero ulic. I dopiero potem ulica Wschodnia i Akacjowa...

- Dobrze. Pamięta pani mijane auta? – dociekał komisarz.

- Przy wyjściu z parku leżały trzy hulajnogi, potem...

- Tak?

- Potem stał po prawej samochód przy Wschodniej i tylko on rzucił mi się w oczy. Pamiętam, że był soczyście czerwonego koloru. Niski. I mu współczułam...

Zarówno profesor, jak i komisarz spojrzeli na Tosię w dość osobliwy sposób.

- To znaczy kierowcy. Bo sobie wyobraziłam, jak wjeżdża do lasu...

- Czyli miał niskie zawieszenie – odpowiedział Marchewka, ale chyba nie uzbroił się dziś w cierpliwość, bo po kolejnej próbie opisanego auta zaproponował Tosi wizję lokalną.

- Może się po prostu przejeździemy i sprawdzimy, czy samochód tam dalej stoi. Jeśli stoi, sprawa będzie raczej jasna. Sąsiad.

Tosia nie miała nic przeciwko, tym bardziej że profesor zaczynał się spieszyć. Przed południem musiał dotrzeć na Akademię Muzyczną, gdzie również wykładał i, jak wyjaśnił, miał przeprowadzić egzaminy poprawkowe.

- Ale my się jeszcze nie rozliczyliśmy! – zawołał, tyle że jego mina mówiła, że wolałby to zrobić bez świadków.

Tosia, którą Marchewka właśnie prowadził do wyjścia, machnęła ręką na księgowość.

- Nie pali się. Ja tam dziś prawdopodobnie będę, zamierzałam zjeść na akademii obiad.

Na słowo „obiad” Marchewka zastygł w miejscu niczym przyczajony pod krzakiem królik.

- Pewnie to się przeciągnie do piętnastej – poinformował profesor, a Tosia właśnie usiłowała policzyć okna w willi obok i oszacować czas.

- Lulek mówił, że dziś podadzą pomidorówkę i szaszłyki z kurczaka – zaczęła wylizywać, a tęsknota i żal w oczach komisarza urosły do takich rozmiarów, że Tosia aż się zaniepokoiła.

- Wszystko w porządku? – spytała ostrożnie.

- Nic, nic. Pomidorówka, dawno nie jadłem pomidorówki... A gdzie państwo będą jeść ten obiad? I jeszcze szaszłyki z kurczaka...

- I pieczone ziemniaczki. Ja dziś z ziemniaczków zrezygnuję, zaczynam się głodzić. Jemy na Akademii Muzycznej, w Katowicach. Fenomenalna kuchnia, z czystym sumieniem mogę polecić. A jak pan poda przy kasie hasło... – Tosia na fali współczucia już chciała zdradzić ustalenia z Lulkim, który karmił ją w swoich lokalach, ale się powstrzymała.

Marchewka tak patrzył, tak patrzył...

- Nie trzeba. Skoro kuchnia fenomenalna, uczciwie zapłacę.



– To widzimy się w porze obiadu – pożegnał ich profesor i Tosia z Marchewką wyszli na ulicę.  
Teraz tylko wizja lokalna i...  
Fucha sprzątaczką.

Tosia maszerowała u boku komisarza dziarskim krokiem, ale nie mogła pozbyć się osobliwego wrażenia.

Jakby się jej ktoś przyglądał.

Może zza firanek zerkał na nich Igor?

Uśmiechnęła się więc do zdumionego Marchewki kolejny raz, najśliczniej, jak tylko potrafiła, a nawet ujęła go pod ramię.



Lulek był nie w ciemię bity.

Rywala wyczuł drogą kropelkową, bo nikt nie przedstawił ich sobie drogą oficjalną. Tosia miała w aucie pretensje o „cyrk” – tak to ujęła, choć do tej pory wychodzenie z dicho maszyny przez okno uważała za świetną zabawę. Nagle się jej odmieniło? I te protesty, żeby jej nie podwoził...

Coś musiało za tym stać.

A raczej ktoś.

Lulek nie miał w tym momencie czasu na dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi, czytaj: na zawile rozmyślenia. Spieszył się, żeby dopilnować odbioru towaru, w dodatku u drzwi zabrzczał dzwonek. Właśnie się przebierał, miał na sobie tylko dżinsy, ale jak znał życie, Tosia czegoś zapomniała, więc idąc otworzyć, wyjątkowo nie przywdział smokingu. Stanął w drzwiach, z premedytacją wypinając swój nagi i niezgorzej umięśniony tors.

Niech dziewczę wie, co traci.

Tymczasem na korytarzu zobaczył Goškę, a wyraz jej lazurowych ocząt przysłoniętych siatką sztucznych rzęs mówił, że akurat to konkretne dziewczę chyba miało nadzieję coś zyskać.

– No heeej, przystojniaku! – zakwiliła, wysunęła kształtną nóżkę i Lulek strzelił karpia.

Nóżka była opalona, smukła i kończyła się...

Obstawał, że tam, gdzie zaczynały się stringi, bo sukienka lejąca się na ciele Goški jak woda z wanny posiadała rozcięcie tak głębokie, że nurkując wzrokiem w ten krawiecki odmet, można się było zgubić niczym w Rowie Mariańskim.

– Cześć, ponętna – powitał ją komplementem, w sumie co mu szkodziło.

Zresztą w oczach Goški zabłyszczało najprawdziwsze zainteresowanie i nagle stwierdził, że jeszcze dziś powinien zmienić swój pakiet na siłowni. Za takie spojrzenie można było dopłacić miesięcznie pięć dych.

– Ja? Tobie też niczego nie brakuje – odparła, nadając głosowi seksownie niski ton.

– Yyy, ale ja nie mam takiej wystrzałowej tej, tej... – Znowu przyłgnął wzrokiem do jej sukienki.

– Podoba ci się?

Goška wykonała zachęcający obrót.

– Jest zarąbista. Wyglądasz jak nimf... a. – Zaśmiał się, bo coś mu się skojarzyło. I na nieszczęście, jak głupek, podzielił się tym skojarzeniem. – Nie jak nimfomanka.

– Czemu nimfomanka?

Blask w oceanach jej źrenic nagle zgasł.

– Żartowałem przecież. Tosi nie ma, wyszła na spotkanie z profesorem.

– O, szkoda... – Goška była niepokieszona. – Chyba pomyliłam godziny. Bożżż... Wiesz, jak tam jest gorąco?!

Stońce już od wczesnych godzin porannych emitowało jak oszalałe całe mnóstwo fal elektromagnetycznych, czuło się to nawet przez szyby w oknach, na szczęście klimatyzacja działała niezawodnie i Gośka postąpiła z tęsknotą krok naprzód, zapewne pragnąc zanurzyć się w panującym w mieszkaniu chłodku.

– Wejdz, a spocznij chwilę! – zawołał Lulek z emfazą, tyle że Bobek, który wyściubił pysk z kuchni, najpierw ostrzegawczo zacharczał, później warknął złowrogo, a potem na widok Gośki, która rozłożyła się swobodnie na narożniku, zaczął tak szczeekać, że w tych warunkach nie można było niczego usłyszeć.

– Co cię ugryzło, stary...

Gośka zapiszczała z przerażenia, Lulek więc zadziałał i zamknął Bobka w łazience.

– Tylko żebyś się tu nie mścił! – zapowiedział.

– O co kaman w ogóle z tym psem? – Nimfa odetchnęła z ulgą, ale z łazienki wciąż dolatywały odgłosy pełne oburzenia.

– Bobek to jest... pies przechodni. Przechodzi trudne chwile i szukamy dla niego z Tosią rodziny. Może reflektujesz?

Lulek znowu pozwolił sobie na żart, ale Gośka chyba wzięła jego słowa na poważnie.

– A w życiu! Nie znoszę psów. Śmierdzą!

Trudno było się z tym nie zgodzić.

– Fakt, konwaliami raczej od niego nie zajeżdża. A mści się wydalniczo, ale może oszczędzę ci szczegółów.

Gośka wcale nie chciała ich poznać.

– OK. Z Tosią szukacie? – powtórzyła, rozglądając się po pokoju. Wyraz napięcia nagle znikł z jej lica. – Nieźle mieszkanko.

– A dziękuję.

– Czyli wy tu tak razem? RAZEM? – Ostatnie słowo wymówiła w dość szczególny sposób, a sieć rzęs stała się gęsta.

Lulek chrząknął w zakłopotaniu.

– Ale o co pytasz?

– No czy ty i Tosia... Bo może tu jakaś sytuacja wynikła nie teges. Wiesz, wpraszam ci się na chatę, a to moja przyjaciółka i po co ktoś ma mieć do mnie jakieś wąty.

Wprosiła się na chatę, fakt, i ta głębia z bliska to była raczej malownicza płycizna, ale estetycznie Lulek nie miał powodów do narzekań. Zdecydowanie Gośka nosiła stringi, na biodrze dał się zauważyć przebijający przez sukienkę sznureczek.

Intrygujące.

– Tosia to moja przyjaciółka, nie dziewczyna – oznajmił zatem, rekompensując sobie fonię wizją.

I to drugie krągłe biodro, drugi sznureczek...

– Aha. Mniej więcej dokładnie tak podejrzewałam – usłyszał. – Ja zasadniczo też z nikim nie jestem.

Zaraz, czy ktoś tu negocjował jakiś układ?

– Ale muszę się pozbierać po ostatnim.

Jakoś nie zauważył, żeby Gośka była w rozsypane, ale taktownie to przemilczał, za to Bobek nie zamierzał się powstrzymywać. Dawał o sobie znać szczekaniem w dłuższych odstępach czasu, ale nie przestawał, w dodatku zaczął drapać drzwi, co już się Lulkowi mocno nie spodobało.

– Zwierzul! – zakrzyknął. – A tylko mi tam coś uszkodź... Jedna rysa i nie żyjesz!

– Trudno w tych warunkach spokojnie rozmawiać. – Gośka poprawiła wijące się na ramionach blond włosy, a jej wąska talia zafalowała wymownie na zielonym narożniku, który nagle zaczął

przypominać nenufar. – Może skoczmy gdzieś RAZEM?

Na ile sposobów kobieta może wypowiedzieć jedno słowo!

Nieprawdopodobne.

Poza tym czy to nie miłe, że tak atrakcyjna i, jakkolwiek by patrzeć, starsza od niego o dziesięć lat kobieta...

Proponuje mu randkę?!

Te sieci, rzęsy, stringi, Rów Mariański, zachody słońca nad Rawą – czy można pozwolić, żeby takie nieprzebrane podwodne i nadwodne skarby niszczały, kiedy w tym samym czasie Tosia pewnie mizdrzy się przez płot do jakiegoś lądowego pajaca...

Lulek zaczerpnął tchu i rzucił się na głęboką wodę.

– Razem. I pierwszorzędnie. Pasuje ci jutrzejszy wieczór?



Czerwone jak włoski pomidor auto stało tam gdzie wczoraj i Marchewka zaczął się dobijać do bramy, a Tosia mogła się w końcu przestawić wewnętrznie z czerwonego światła na zielone i pójść na spotkanie z mężczyzną, który wprawiał jej neurony w stan rozkosznego drżenia.

I jak to możliwe, że jeszcze wczoraj w ogóle nie wiedziała, że ktoś taki jak Igor Dziedzic istnieje, a dzisiaj, idąc zwykłą ulicą, Tosia miała wrażenie, jakby podążała ścieżynką wiodącą ją prosto do rajy bram. Raju w najrozmaitszych odcieniach zieleni, bo na Akacjowej czuło się jeszcze rozkoszną cienistość parku sąsiadującego z osiedlem i światło miało tu kolor... Zielony, szafirowy, malachitowy, pistacjowy, oliwkowy, limonkowy, groszkowy, morski, grynszpanowy, trawiasty, seledynowy, khaki... Nazwanie koloru zielonego w okolicy Parku Śląskiego było nie lada wyzwaniem.

Tosia aż się zaśmiała do tej pikającej w niej lekkości bytu, którą właśnie poczuła, ale kiedy zadzwoniła do furtki Igora i kiedy ten w niej stanął, pomyślała, że czar pryśnie, że karetka zniknie z Akacjowej, że znikną jej kłapeczki i sukienka, a zostaną ściera i kubeł z brudną wodą, ale czekało ją zaskoczenie.

– Witaj i wybac. Naprawdę cię przepraszam – usłyszała, a szare oczy aż pociemniały od skruchy i Tosia najchętniej by jej większą część zabrała i wsadziła do własnej wątroby.

Co tam marskość, skoro to męskie lico kurczyło się od smutku!

– Ale za co ty mnie przepraszasz?

– Wejdz, nie stójmy na ulicy... Wziąłem cię za sprzątaczkę i dopiero wczoraj wieczorem wuj mnie oświecił. Że jesteś na studiach doktoranckich i tylko mu pomagasz.

Tosia już chciała przeprosiny oprostować, sprzątaczką zawód jak każdy inny, ale aktualnie oczy wyszły jej z orbit i chyba były połączone z językiem, który na widok wnętrza domu stanął jej w gębie kołkiem.

Chwilę potrwało, zanim wrócił do zwykłej giętkości.

– Ale chawira! – palnęła w końcu, ale najwyraźniej Igor uznał, że zachwyt to właściwa reakcja, bo po skrusze w jego oczach nic nie zostało, pojawiło się w nich za to zadowolenie, dużo zadowolenia.

– Dzięki za komplement. Zgadzam się w zupełności – wyznał. – Trzysta czterdzieści metrów kwadratowych. Tyle ma dom. A działka liczy sobie dokładnie siedem tysięcy osiemset metrów, to jest mniej więcej trzy czwarte hektara.

Dysponując już danymi geodezyjnymi i nie tylko – Igor nie skąpił w swojej architektonicznej opowieści liczb – Tosia mogła wyrównać oddech i wszystkim sobie na spokojnie obejrzeć. Nie

została dopuszczona do głosu, ale na tym chyba polega zwiedzanie posiadłości z przewodnikiem – jej rola polegała głównie na wydawaniu z siebie achów i ochów, co z pewnym ociąganiem czyniła.

Z holu prowadzącego do garażu, basenu i dodatkowej łazienki wchodziło się przez korytarz do olbrzymiego salonu, skąd można było skręcić w prawo i wejść do jadalni i kuchni z widokiem na staw i taras, a potem do pokoju myśliwskiego i salonu kąpielowego (słowa pana domu) albo skręcić w lewo i wspiąć się kręconymi schodami na górę, gdzie znajdowała się siłownia, kilka gościnnych pokoi i sala kinowa. Oczywiście Tosia mogła zwiedzić każde z pomieszczeń, a na koniec gospodarz zabrał ją również do ogrodu. Omijając starannie wzrokiem chodnik, na którym Bobek zostawił wczoraj zestaw swoich produktów markowych, Tosia pomaszerowała do imponująco zadbanej szklarenki, w której kwaskowato pachniało cukiniami, a potem zajrzała do osobnego domku dla gości, dwupiętrowego.

Igor był ożywiony niczym skowronek, musiał kochać ten dom, co było przecież zrozumiałe. Gdyby Tosia miała do dyspozycji trzy czwarte hektara, prawdopodobnie by oszalała ze szczęścia.

– Ile tu masz okien? – Odważyła się spytać, gdyż wnioskując ze słów na powitanie, fucha sprzątaczkę ją raczej ominęła.

– Trzydzieści skrzydeł – padła precyzyjna odpowiedź.

Zaraz, trzydzieści skrzydeł to by oznaczało... Ależ to trzeba było pomnożyć, na przykład skrzydło w salonie miało sześć okien.

Sześć wielgachnych szyb!

I jej dwie ręce i dziesięć paluszków.

– I ty mnie jedną chciałeś...?! – Tosia nie dokończyła, bo już tylko mierzenie sił na zamiary sprawiło, że pewne wielkości nie mieściły się w jej małej, humanistycznej głowie.

To było wyzwanie dla agencji sprzątającej, a nie dla jednej niezbyt wysportowanej kobiety.

Igor na moment zastępył w bezruchu.

– Ale ja cię nadal chcę! – zapewnił.

Deklaracja została złożona z żarem w głosie na pomoście stawu, niemal tuż przy jego końcu, i Tosia dostała zawrotu głowy. Bo trzeba się było do tego wszystkiego odnieść, a ona jakoś nie odnajdywała się w sprincie. Tempo wolała raczej takie pyk, pyk, biegi kręciły ją tylko długodystansowe, ale może... Może nie trzeba było całe życie jedynie spacerować i skubać tej samej trawy, może szalony bieg i wyjście poza własne boisko to było coś ożywczo innego, podniecającego...

Potem już nie pamiętała, jak dokładnie potoczyły się zdarzenia, ale staw, pomost – pomyślała o Titanicu i kiedy się zachwiała, a Igor otoczył ją ramieniem, poczuła, jakby na Akacjową zstąpił sam Leonardo DiCaprio.

Czy Leonarda DiCaprio wrzuca się do stawu?

Z Leonardem DiCaprio można się jedynie zatracić w pocałunku, można się z nim tarzać na deskach pomostu, a w stawie ląduje się we dwójkę, przypadkiem.

I tak właśnie się stało.

Igor ją pocałował, ale z takim wizgiem i szałem, że zdumiona Tosia, która od amorów w pełnym słońcu wolała te przy oświetleniu piwnicznym, przywarła do niego nieco speszona, a nawet przestraszona, co tylko pana DiCaprio podkreśliło. Ścisnął ją i obalił na deski, które zaczęły pod ich ciężarem skrzypieć, jęczeć, więc Tosia też zaczęła jęczeć, Igor zaczął sapać, doszło do czegoś w rodzaju seksualnej szamotaniny i...

Plusk!

Oboje wpadli do stawu i ten kontrast pomiędzy rozgrzany lipcowym powietrzem, gorącym ciałem Igora, chłodem mułu...

Tak, to było ożywcze.

A jednocześnie bardzo zabawne i Igor na szczęście uznał tak samo, bo kiedy usiedli w wodzie, zaczęli się śmiać do rozpuku.

I tak pierwsze lody zostały przełamane.

A wody przelane.

Potem się już tylko wzajemnie suszyli...



Gdyby nie górskie wspinaczki, Bogdan Bukowiński byłby innym człowiekiem.

Adrenalina, kortyzol, dopamina – w górach serwował swojemu ciału tak pyszny koktajl hormonalny, że ciało odpłacało mu potem tygodniami sprężystością i dobrostanem, który to dobrostan przenosił się też na ducha, a żeby duch nie upadał i po kilku tygodniach, profesor regularnie grał w piłkę nożną i jeździł na rowerze. Na prawdziwym rowerze, ten elektryczny służył mu tylko w drodze do pracy. Cisnąć się z ludźmi w tramwaju i docierać na uczelnię spoconym i na pełnym nerwie?

Od pełnego nerwu profesor wołał pełny gaz.

Sytuacja z włamaniem wytrąciła go nieco z równowagi, nie można powiedzieć, ale wbrew pozorom zachował w środku stoicki spokój. Ktoś się do niego włamał, tego się nie da odwłamać, trudno, za to można wyciągnąć ze zdarzenia wnioski, tym bardziej że komisarz Marchewka zasugerował mu po cichu przed wyjściem wymianę wszystkich zamków, co profesor zaplanował na popołudnie.

Pędząc z góry przy Silesii, profesor Bukowiński delektował się wiatrem, kontemlował w pędzie pęd i dopiero w połowie wzniesienia zorientował się, że coś jest nie tak z hamulcami, w dodatku padł wyświetlacz, co w zasadzie oznaczało utratę kontroli nad pojazdem. Niedobrze. Górka nie porażała spadziścią, a że profesor w wieku sześćdziesięciu kilku lat ze względu na uprawiane sporty miał świetną kondycję, po prostu zeskoczył z roweru, odszedł na bok i za pomocą kilku narzędzi, które zawsze ze sobą woził, wyregulował to i owo. Odtąd jechał już znacznie ostrożniej, ale ulica Zacisze przy Akademii Muzycznej nie była dziś zaciszna.

Z ciasnej uliczki wyłożonej kostką brukową usiłowały wycofać się jednocześnie trzy auta, w tym jeden dostawczak, i cel drogi był tuż-tuż, gdy rower przed skrzętem znowu dostał fiksacji, elektronika zawiodła, zawiodły hamulce, zaczęło się też coś dziać z kierownicą i nie wiadomo jak, ale profesor wylądował na lustrze drogowym, konkretnie na jego wsporniku, a potem wyrzucił się i upadł – bardzo niefortunnie, bo przygrzmocił głową w krawężnik.

I zobaczył gwiazdy.

Do gwiazd miał od wielu lat stosunek wielce subiektywny, gdyż do jego pasji oprócz taternictwa, żeglarstwa, filozofii nauki (teoria kwantowa) można było zaliczyć również fascynację kosmosem i astrofotografią, więc leżąc tak pomiędzy trawnikiem a parkingiem, profesor znalazł się nagle w zupełnie innym miejscu.

Dość ciemnym, jednak nie do końca, w miejscu, w którym od góry sączyło się złote światło, a na granatowym tle rozbłyskiwały z cichym sykiem różnobarwne supernowe, w miejscu, w którym najchętniej pobylby o wiele dłużej, gdyż przez jego ciało przepłynęła właśnie fala ciepła, a do tego ta nagła i intensywna świadomość bycia częścią wszechświata, zestrzajania się z nim każdą komórką, z każdym mitochondriem...

Ale przecież studenci czekali!

Od uczucia przepływu silniejsze okazało się poczucie obowiązku, dlatego profesor cały się zwał i poruszył nogą. Najpierw lewą, później prawą i dalej poszło już z góry. Z całych sił oparł się na pobliskim słupku, chwilę odczekał, a kiedy wróciła mu moc w nogach, sięgnął po rower

i powolutku dotarł z nim do schodów. Jak znalazł się w atrium akademii, nie pamiętał, co stało się później z rowerem, również pozostało na razie zagadką. Teraz myślał tylko o tym, że do egzaminu zostało jeszcze trochę czasu, że rozpaczliwie zaczyna mu brakować powietrza, a poniżej restauracji znajduje się kącik ze stolikami, gdzie jest spokojnie. Gdzie szemrze ściana wodna, gdzie kłębi się roślinność, gdzie można chwilkę odsapnąć.

Kołatanie w głowie znowu się nasiliło, a kiedy profesor przymknął oczy i pod powiekami bardzo wyraźnie zobaczył pierścienie Saturna (mógł je nawet policzyć!), poczuł taki zachwyt, taką przemożną tęsknotę, taką miękkość w sercu, że studenci, obowiązek, egzaminy – to wszystko oddaliło się od niego z prędkością światła, a potem to samo światło odbiło się od czerwonych klinkierowych cegieł...

I zamknęło go w ciasnym uścisku.

Profesor Bukowiński stracił przytomność.



Kreta.

Krzysztof Nałęcki po raz pierwszy trafił tam przypadkiem, a potem przeczytał Herberta *Labirynt nad morzem* i zbiór esejów tak go poruszył, że już kolejna wyprawa na wyspę była jak najbardziej celowa, trzecia podróż to było tropienie smaczków historycznych, czwarta... Tak, są takie krainy, do których nieustannie podróżuje się sercem, ciałem i umysłem i nigdy nie ma się dość znanych zakątków. Tak było w przypadku profesora Nałęckiego i Krety – wracali do siebie i się rozstawali.

I tak od kilkadziesiąt lat.

Totalne krecieństwo.

Miłość do wyspy rozwijała się na tle fascynacji profesora starożytną Grecją, ta z kolei przechodziła w innego fioła – zgłębianie *Wojny peloponeskiej* Tukidydesa. To dzieło było jak góra, która rzuciła mu swoimi wersami drwiące wyzwanie. Drwiące, bo profesor podchodził do *Wojny peloponeskiej* w ciągu wielu lat kilka razy i kapitulował mniej więcej na stronie siedemdziesiątej. Co za przekleństwo! On, socjolog literatury, miłośnik Hellady, dochodził do wniosku, że tego się nie da czytać! I byłby książkę porzucił i pewnie ta siedemdziesiąta strona prześladowałaby go do końca jego żywota, gdyby nie autorzy, których cenił. Stempowski, Łagowski – piali nad *Wojną peloponeską* z zachwytem. Miałyby nie zaufać ich zdaniu? W końcu powziął naukową decyzję i w końcu się udało, a potem mógł się już tylko przez lata pewnymi treściami delektować.

Warto było zmierzyć się z górą.

*Wojna peloponeska* to była wojna światowa w miniaturze, to było dogłębne i ponadczasowe studium konfliktu i z tej perspektywy można było zupełnie inaczej patrzeć na politykę i rzeczywistość.

Literatura poważna nie przysłańiała jednak profesorowi doczesnych przyjemności, co to to nie. Na przykład zupa pomidorowa – idealnie kwaskowa, z nutą słodczy i makaronem typu kolanko serwowana w restauracji Akademii Muzycznej – przy takiej pomidorowej można było niemal zapomnieć o całym starożytnym i nowożytnym świecie. Ona również była treściwa i jeśli przy jedzeniu czytało się *Labirynt nad morzem* w ramach odświeżenia wspomnień przed greckimi wakacjami...

„Krajobraz grecki przemówił do mnie tedy patetycznym głosem mitu i tragedii. Było to wrażenie dominujące. Natarczywa obecność nagiej ziemi, mocno rzeźbionych mas skalnych spotęgowana jest nikłością szaty roślinnej. Wielkie drzewa – topola, cis, dąb rosną w dolinach, ale las cofa się wszędzie przed natarciem małych kolczastych krzewów, które przetrwają wszystko”<sup>1</sup>.

Profesor przeczytał akapit, skosztował zupy i właśnie zaczynał się wahać, co uznać za smaczniejsze, ziemską strawę czy słowa poety, kiedy frazy eseju, zwłaszcza te dotyczące tragedii i szaty roślinnej zmieszały się w jego głowie, a może w uszach...

Z przejmującym jękiem.

Jęki, stęki i inne odgłosy uznał profesor w tym momencie za wielce niestosowne. Jadł i czytał, ściszył dwie przyjemności i niech nikt nie waży mu się przeszkadzać!

„Z przekazów historycznych wiemy, że tyse teraz zbocza gór kreteńskich pokrywały kiedyś lasy cedrów i cyprysów. Okolice Olimpii bogata była w topole, ale padły one ofiarą przepisu głoszącego, że jest to jedyne drzewo, którego wolno używać przy ofiarach...”<sup>2</sup>

W atrium akademii topole nie rosły, za to kąciak ze stolikami, przylegający z jednej strony do gmachu budynku, z drugiej do ściany działowej, porastały kępy bujnej roślinności kojarzącej się profesorowi na *visus* z marihuaną. Zważywszy na uczelniany majestat, rośliny z pewnością jednak marihuaną nie były, stanowiły raczej odmianę bambusa, wyglądały jednak przy tym dziko i malowniczo niczym zielone chmury kołyszące się nad...

Ofiarą?

Ktoś tam pod nimi leżał, może nie na zboczach gór, ale na ozdobnych kamieniach, którymi posypano rabatę. Leżał i zawodził, a spod obfitych kłębow roślin wystawały granatowe zamszowe buty, starannie zasnurowane, które profesor Nałęczki już na kimś widział, i ten ktoś raczej nie miał w zwyczaju na co dzień leżeć pod bambusami i jęczeć!

Omiał nie krztusząc się zupą, profesor szybko wstał, podszedł zaintrygowany do kępy zieleniny i przykucał.

A otóż wylegiwał się tam na kamyczkach jego kolega Bukowiński!

Bukowiński, który nie dał się do tej pory namówić choćby na kieliszek czegoś mocniejszego, a teraz...

– Bogdan! – zakrzyknął więc profesor, nie kryjąc przy tym uciechy. – Czyś ty z buka spadł?!

---

<sup>1</sup> Z. Herbert, *Labirynt nad morzem*, Warszawa 2008, s. 67.

<sup>2</sup> Ibidem.



Czy dzień, który wspaniale się rozpoczyna – cholernym słoneczkiem, wiernym spojrzeniem psa, prawie wiernym spojrzeniem kobiety znad owsianki – może się w połowie trwania zamienić w groteskę?

MOŻE.

I ta groteska może się rozegrać na ulicy Zacisze i może mieć gębę kolesia szczerzącego ironicznie zęby z czarnego porsche cayenne. A żeby mu te białe ząbki zgniły i sczezyły! I żeby mu się implanty nie przyjęły. Żeby miał zapalenie okostnej i żeby mu się to zapalonko przeniosło niżej, na klatkę piersiową i jeszcze niżej. Poniżej pasa. I żeby mu pod tym pasem nic nie zostało, tylko niezdatny do niczego (poza oddawaniem moczu) kikut!

Lulek podjechał pod Akademię Muzyczną dokładnie w tej samej chwili, kiedy Tosia ze swoim absztyfikantem, i to zderzenie maska w maskę miało wymowę o wiele głębszą, może nawet metaforyczną. Do zderzenia w dosłownym znaczeniu jednak nie doszło, choć Lulek z rozkoszą dałby po pedale gazu, żeby zobaczyć na cayenne choćby najmniejszą ryskę.

Ale za nic nie naraziłby Tosi.

Tosi wpatrującej się w bęcwała za kółkiem maślanym spojrzeniem, w którym zawartość tłuszczu wynosiła według Lulka osiemdziesiąt dwa procent. Bęcwał jednak tego spojrzenia

w ogóle nie zauważał, zauważył za to Lulka w diko maszynie, owszem, i ten pogardliwy wzrok, którym obdzielił i jego, i samochód – to było coś tak irytującego, że jakaś część w Lulku się przebiegunowała.

Zgrzytnęło mu w umyśle i się zacięło.

Koniec, kropka.

I jak tak, to tak.

Zobaczmy, czyje będzie na wierzchu.

Do tej pory Lulek nie zwracał sobie głowy takimi bzdurami, jak marka, wygląd, look, fura i komóra – zamiast tego wołał iść do parku i pooddychać świeżym powietrzem, poćwiczyć na siłowni, zabrać Tosię na dobre jedzenie i słuchać jej opowieści, a nie muzy na iPhonie. Ale jak mu taki palant błyska wybieloną szczęką i tą szczęką ocenia jego życie, to może właścicielowi perfekcyjnego uzębienia należy się maleńki pstryczek w nos.

Tak, żeby łądak jeszcze długo się po tym nosie drapał i liczył swoje zęby.

Tylko co takiego przyjemniaczka najbardziej dotknie?

Lulek miał pewien pomysł...



Pełne oszołomienie.

Tak Tosia mogłaby nazwać stan, który czuła w każdej swojej tkance.

Może odejmijmy „pełne”, a dodajmy do tego błogość.

Oszołomienie i błogość.

Wdarzenia intymne w trakcie suszenia potoczyły się w tak błyskawiczny sposób, że Tosia nie miała czasu pomyśleć, czy tego naprawdę chce, zresztą czy w tych sprawach chodzi o dedukcję albo indukcję? Może zamiast myśleć, lepiej doświadczać i czuć? Tosia dzisiejszego popołudnia czuła wiele, oj, wiele. Wprawdzie nie można mówić o pełnej satysfakcji, ale przecież to był dopiero początek. Poza tym Igor był tak wspaniały, tak piękny, tak zmysłowy, tak wysportowany... Może inne kobiety szastają orgazmami na lewo i prawo, ale Tosia potrzebowała czasu.

Poza tym, jak można wznosić się na szczyty, kiedy z upragnionych ust pada: „O, masz brzuszek!”. Zdanie było wymruczane na zasadzie słodkiego stwierdzenia faktu, rzucone między jednym namiętnym pocałunkiem a drugim, ale jednak te słowa padły. I zostały z Tosią na dobre, pewnie będzie je pamiętać nawet jako zasuszona staruszka. Jeśli mężczyzna chce zaspokoić kobietę, to powinien albo się zamknąć, albo mrużyć coś bardziej afirmującego, na przykład: „O, skóra i kości”. W sumie też niedobrze. Albo powinien się zamknąć.

Zresztą już samo „o” by wystarczyło, byle brzmiała w tym akceptacja.

Dużo akceptacji i szczerego zachwytu.

Ale czego ona wymaga po pierwszym razie? Powinna się cieszyć, że taki facet w ogóle się nią zainteresował. Że się do niej uśmiecha, że głaszcze ją po policzku, że siedzą razem na tarasie, patrzą na pomost, trzymają się za ręce, a gołębie gruchają.

Nie było jej tak dobrze od dawna.

I fajnie, obwieściła światu, że przechodzi na post przerywany, ale teraz faktycznie trzeba było na ten post przejść, bo jeśli do wyboru było „mieć brzuszek” albo „mieć orgazm”, Tosia wybierała to drugie.

– Jestem głodna jak wilk – stwierdziła, kiedy odziana w szlafrok pana domu wróciła z łazienki na taras i przyjrzała się uważnie tej... zadbanej twarzy.

Musiąca być zadbana – Tosia ze wstrząsem odnotowała na półce pod lustrem zestaw trzech różnych kremów pielęgnacyjnych, w tym jeden miał korygować owal, i nie były to kremy



przeznaczone dla kobiet. A w garderobie przylegającej do sypialni, gdzie na moment zajrzała, rzucił się jej w oczy równy rząd adidasów, stało tam ich chyba z pięć identycznych par. Wszystkie tak samo nieskazitelnie czyste i białe.

Czyli takie rzeczy dzieją się naprawdę.

Tosia wspomniała przy tej okazji swój tani krem i stan własnego obuwia, i trochę się zmieszała, a już komentarz Igora dotyczący jej wilczego apetytu...

– Lubisz sobie pojeść, co?

Ten komentarz bezlitośnie potwierdził jej przypuszczenia.

Wcale nie była w jego typie.

Zrobiło się jej nagle od tych słów tak przeraźliwie smutno, że nie uszło to uwagi ósmego cudu świata.

– Co tam? – zainteresował się, ale dość umiarkowanie, i podał jej butelkę z wodą. – Może w takim razie pojedziemy coś przekąsić?

Tosia postanowiła zdławić to, co ją gryzło, wychodząc z założenia, że niech ją gryzie, kiedy zostanie sama, po co jeszcze komuś psuć humor swoimi dołami. Nie było to łatwe, ale zmusiła się i wyprodukowała na ustach nieco wątpy uśmiech. W odpowiedzi otrzymała buziaka w ramię, co trochę podniosło ją na duchu.

Czy ona aby czasem nie przesadza?

W towarzystwie Igora czuła się, jakby jechała kolejką na Kasprowy, z rozkoszy smyrało ją w brzuchu, tylko że w połowie trasy ktoś wyłączył prąd.

I to nie była jej sprawka.

– Mój... znajomy... – zaczęła ostrożnie.

I czemu degradowała Lulka do roli znajomego?

– Mój zna... przyjaciel ma świetną knajpę na Akademii Muzycznej, może tam zjemy?

– Czemu nie. Może być i Muzyczna.

Ubrali się, wskoczyli do samochodu i po niespełna pół godzinie, która upłynęła im, o dziwo, na bardzo przyjemnej wymianie zdań (Igor chciał o niej wiedzieć wszystko, jak podkreślał, WSZYSTKO, tyle że to głównie on mówił), podjechali pod zabytkowy budynek uczelni, który odnowiono i do którego dobudowano Centrum Nauki i Edukacji, co przekształciło kompleks w miejsce tak klimatyczne, że gdyby ktoś chciał kręcić na Śląsku kolejną część Harry'ego Pottera, nie znalazłby lepszej scenerii niż ta tutaj.

Gmach porażał monumentalnością.

I architektonicznie był wręcz idealnie poskładany.

Łączył dziewiętnastowieczne neogotyckie mury z nowoczesnym budownictwem w tak nieoczywisty sposób, że zamiast cegieł widziało się układ przylegających do siebie brył: to stojących na baczność, to pozostających w swobodnej, nonszalanckiej pozie. Tosia uwielbiała tu zaglądać, siedzieć w przeszklonym atrium, patrzeć na dopełniające się kształty, łuki, linie i popijać primitivo, bo Lulek dostał w swoim lokalu zgodę na alkohol. I teraz mogła tę chwilę dzielić z kimś...

Bliskim?

Z pewnością bliższym jej teraz niż kilka godzin temu.

Uwielbiała też patrzeć na Igora.

I jak na złość, na ulicy Zacisze niemal wpakował się w nich swoim rękodem... Lulek! I zamiast po swoim się uśmiechnąć, zagadać, zachował się jak jakiś gbur. Spojrzał na Igora takim wzrokiem, jakby życzył mu pobytu w szpitalu covidowym.

Jej Lulek spozierał z głębi swojego wehikułu ponuro niczym lord Voldemort!

Ta twarz była tak odmienna od prezentowanej na co dzień miłej i dobrotliwej Lulkowej gębuli, że Tosia aż wstrzymała powietrze i musiała się zastanowić, czy się nie pomyliła. Czy to naprawdę Lulek, jej Lulek? Te czarne od niechęci oczy, ta złowroga zmarszczka na czole, te zacięte usta...

Nigdy go takim nie widziała.

Chciała coś powiedzieć, ale nikt nie zwracał na nią uwagi – ani właściciel dicho maszyny, ani posiadacz lśniącego wozu. Obaj tylko na siebie patrzyli jak kowboje, którzy w tej samej chwili znaleźli bryłę złota i każdy chciał ubiec tego drugiego.

– Chyba was sobie jeszcze nie przedstawiłam... – zaczęła dość niepewnie.

– A ja chętnie tego pana poznam – wycedził przez zęby Lulek i wyszedł z samochodu, tuż za nim wyskoczył z ucieszoną miną Bobek.

Tylko tego tu brakowało!

– A ja niechętnie, ale też poznam – odparł na to Igor i również zerwał się z miejsca.

Zaniepokojona Tosia wyszła za Igorem, pozdrowiła mimochodem podążającego w stronę schodów profesora Bukowińskiego – włókł się dziwnie przechylony na prawą stronę i nawet ich nie zauważył – po czym spróbowała żartu:

– Zatem mam przyjemność...

– A ja raczej nie mam przyjemności... – poprawił ją Lulek, ale już wyglądał mniej więcej normalnie, choć w jego głosie nadal słychać było zaczepny ton.

– Trudno, żebyś miał... – rzucił Igor z wysokości, co zabrzmiało tak pogardliwie, że Tosia postanowiła działać.

Jeszcze ci dwaj skoczą sobie do gardeł! Ewidentnie nie przypadli sobie do gustu i najlepiej było się stać jak najszybciej zabierać.

– To my zjemy gdzie indziej – zasugerowała, ale Igor miał inne zdanie.

– Nie. Zjemy tutaj – oznajmił głosem twardym jak stal, nie odwracając spojrzenia od oczu Lulka, które znowu zaczęły ciemnieć i przypominać dwie grudki bazaltu.

I wtedy Bobek też zdecydował.

Podszedł do Igora, podniósł łapę i najzwyczajniej w świecie go olał. Potem grzecznie usiadł na chodniku, zadarł głowę i czekał na oklaski. Lulek najwyraźniej już się do nich składał, za to Igor zdębiał.

W pierwszej chwili.

A kiedy do niego dotarło, że jego biały but został potraktowany moczem, od czego zaczyna przypominać kolorystyką ostatni mleczyk minionej wiosny, stał w nim stopniata i z oburzenia aż pobladał.

– Co za bydle! – wycharczał, po czym rzucił się do środka lokomocji, którym to środkiem można popędzić do domu, a tam odkręcić kran i użyć proszku do prania. – Wybacz! – dodał już w locie. – Muszę coś z tym zrobić. Zgadamy się wieczorem!

Zgadamy?

Zgadać to ona się może z kumpelą albo z panią Wandzią z garmażerki.

Pocieszenie było marne i Tosia tylko odprowadziła rozżalonym wzrokiem skracające w Wojewódzką czarne auto, po czym spojrzała z furią na Lulka i Bobka.

Obaj gapili się w koniec ulicy z tak samo źle maskowaną satysfakcją!

– Co, Romeo się stenił, bo go pies obszczał? – Lulek usiłował powstrzymać chichot, ale mu się nie udało.

– Nie gadam z wami. Bezczele i chamidła. Jeden wart drugiego.

– Tosia, daj sobie z nim spokój – próbował łagodzić Lulek. – To buc... Tosia. A nawet bucefał.

– Tak go dobrze znasz? Kiedy go niby zdążyłeś poznać?

– Pies się na nim poznał, więc ja nie muszę. Bobek, stary, wymiatasz. Szacun! – Lulek zaczął czochrać z zadowoleniem Bobka po kudłatej szyi, ale Tosia nie zamierzała na to patrzeć.

Tym, co mogło w tej chwili ukoić jej rozdygotane nerwy, była jedynie pomidorowa.

Oby była z ryżem.

Lulek przeczornie zszedł jej z oczu i pobiegł z Bobkiem na zaplecze bistro, za to po chwili Tosia dostała tak olbrzymią porcję pomidorowej (z makaronem), że założyłaby się, że ktoś szepnął w międzyczasie słówko kucharzowi. Aż dziw, że nie podano jej obiadu w wiadrze. I jak w takich okolicznościach realizować dietetyczne postanowienia? Rano pochłonęła jedynie owsiankę, a potem już tylko piła, bo takie były zasady. Ale przecież nie może się obżerać jak dotychczas, przecież wszystko zamierzała dzielić na pół.

Od połowy Tosia przeszła w myślach do drugiej połówki i siedziała dłuższą chwilę nad talerzem w tak rozkosznym odrętwieniu, że po kilku łyżkach pomidorowej gład jakoś się wzięła i oddalił, i bardzo dobrze.

Chce ją ten Igor czy jej nie chce?

Gdyby nie chciał, toby raczej tak na Lulka nie reagował. I co nagle Lulkowi odbiło, przecież chyba nie był zazdrosny. Nie Lulek. Lulek był ponad wszelkie zazdrości, agresje i żale... Kto, jeśli nie Lulek tłumaczył jej, że ma się do ludzi na wstępie źle nie nastawiać i ich nie oceniać? To co to w takim razie było, do ciężkiej cholery? Mówi jedno, a robi drugie? Tosia myślała, myślała i wyszło jej, że to, co zaszło między panami, to musiała być czysta antypatia. Czasem się zdarza, nic się na to nie poradzi, czasem coś po prostu między samcami nie klika, i tyle.

Lepiej to zostawić i cieszyć się leniwie upływającym dniem.

Przez szklany sufit sączyły się długiaste promienie słońca, szemrały ściany wodne, przy stolikach szemrali pogrążeni w rozmowach nieliczni studenci, a do tego obłądnie pachniała kawa, więc Tosia zamówiła americano (bez cukru, sukces!) i w ostatniej chwili powstrzymała się przed zakupem cytrynowej muffinki. Chyba widziała idącego na dół komisarza Marchewkę, ale może to była tylko marchewka w jej niedojejzonej pomidorowej...

Mniej więcej po kwadransie leniuchowania dał się słyszeć na zewnątrz budynku przenikliwy sygnał erki i z odrętwienia wyrwali Tosię ratownicy, którzy z noszami w rękach wparowali zdecydowanym krokiem do środka i skierowali się na dół. Po chwili przez dźwięki w atrium przebił się głos profesora Nałęckiego. Ten głos Tosia rozpoznałaby wszędzie, więc porzuciła kawę i zupę i dopadła barierki – restauracja znajdowała się na poziomie wysokiego parteru, skąd roztaczał się widok na dół, stało tam kilka dodatkowych stolików i znajdowało się wejście do piwnic oraz muzeum organów.

Przy stoliku na dole tłoczyli się ratownicy, komisarz Marchewka, nie zabrakło i jej promotora, Krzysztofa Nałęckiego, a z kolei na krześle na wpół leżał, na wpół siedział profesor Bukowiński z chusteczką przyłożoną do czoła. Miny zgromadzonych były poważne, a mina profesora Bukowińskiego zdradzała skrajne niezadowolenie oraz irytację.

Standard.

– Nic mi nie jest. Rower...

– Proszę pana, to trzeba zszyc – tłumaczył jeden z pracowników pogotowia. – Na miejscu tego pana nie zrobimy. Trzeba jechać do szpitala i zrobić prześwietlenie.

– Rower...

– Bogdan, zajmijmy się twoim rowerem – zapewnił zdenerwowany profesor Nałęcki.

– Nie ma go tu, nie wiem, gdzie jest.

– Znajdziemy, nic się nie martw.

A czy to nie rower profesora stał oparty o ścianę przy bocznym wejściu?

- Panie profesorze! - krzyknęła Tosia i obaj profesorowie zadarli głowy. - Rower stoi przy drzwiach. Zaraz go przyprowadzę.

Chwilę potem Tosia roztrąciła gromadzących się studentów i czym prędzej zeszła z rowerem na dół, gdzie od razu natknęła się na najeżonego komisarza. Patrzył na nią jakoś tak oskarżycielsko, że wyhamowała i nie wiedzieć czemu, zaczęła się tłumaczyć.

- Co się dzieje? Ja tu tylko jem... Jadłam. Przecież mówiłam, że będę tu jeść obiad.

Marchewka westchnęła.

- Mówiła pani.

- Profesorowi odnowiła się rana na głowie?

- Profesor ma nową ranę - objaśnił ponuro komisarz. - Miał wypadek. Upadł i uderzył głową o chodnik.

- O krawężnik - uściślił odruchowo profesor Nałęcki. - Nie podoba mi się to, Bogdan. Nie podoba... Ja jeszcze raz chcę zaznaczyć...

- Znowu?! Krzysztof, miej litość - zaapelował filozof i zdecydowanie odmówił położenia się na noszach: - Nie wejdę na to. Po moim trupie!

- Bogdan, ty uważaj, co mówisz.

- W porządku, panowie, jeśli trzeba szyć... - Profesor Bukowiński podjął męską decyzję i usiadł.

- Trzeba! - zapewнили chórem panowie.

- Ale pójdę sam. Krzysztof, rower... Mógłbyś się nim zająć?

- Nie ma problemu - pospieszyła z deklaracją Tosia, czując, jak przepętnia ją nadzieja i radość.

- Zadzwoń po Igora i go zabierze.

Uspokojony profesor pozwolił zaprosić się do karetki, a wtedy Marchewka osadził Tosię na miejscu.

- Z tym rowerem nie pójdzie tak szybko...

- Komisarz musi zabezpieczyć ślady - wszedł mu w słowo profesor Nałęcki, Marchewka zerknęła na talerz po pomidorówce i widać było, że dokonuje się w nim jakiś przełom.

Do tej pory nie dzielił się z nimi szczegółami śledztwa, zachowywał się dość powściągliwie, ale chyba wykluczył ich z grona podejrzanych (Tosię również?), bo usiadł przy stoliku, a kolejne westchnienie, które wydarło się z tej małej piersi, pełne było poczucia winy.

- Ślady jako takie zostały z roweru zdjęte wczoraj.

Profesor Nałęcki pokiwał głową.

- Ale nie ustaliliście, czy doszło do celowego uszkodzenia pojazdu - dokończył.

Marchewka siedzący na pomarańczowym krzeselku prawie zlał się z tłem, tak bardzo zrobił się nagle czerwony, a potem wykonał nieskoordynowany ruch ręką.

- Mniej więcej.

- Niech zgadnę... - kontynuował profesor, któremu bardzo odpowiadała rola detektywa. - Nie znaleźliście odcisków palców w budce z narzędziami?

- Nie znaleźliśmy - przyznał Marchewka niechętnie. - Ani tam, ani na rowerze, ani na furtce. Oczywiście poza odciskami domowników i pani Tosi... Nie było też śladów włamania.

Tosia usiłowała coś z tego zrozumieć, ale przyszło jej na myśl tylko jedno.

- Czyli ten ktoś włamał się do profesora w konkretnym celu i był przygotowany? - rzuciła pytanie, na które przedstawiciel organów ścigania nie zareagował. Za to przedstawiciel świata nauki miał co nieco w tej kwestii do powiedzenia.

- To oczywiste - ocenił. - Sprawca miał klucze i działał w rękawiczkach. Nie przyszedł ukraść roweru. Przyszedł go uszkodzić!

Marchewka wciąż grobowo milczał, Tosia na wszelki wypadek postanowiła iść w jego ślady.

- Dlatego Bogdan przeżył, ten sznur to nie było na poważnie. Po prostu napastnikowi puściły nerwy i trochę mojego kolegę poturbował, bo Bogdan go zaskoczył – ciągnął profesor, wymownie przy tym gestykulując, a z ruchu jego dłoni można się było domyślić, że zaciska na czymś gardle pętlę. – Może chciał go trochę postraszyć. Tak czy inaczej moim zdaniem chodziło o spowodowanie wypadku. Ależ ewidentnie o to! I ten ktoś pewnie liczył, że to będzie wypadek ze skutkiem śmiertelnym.

- Panie profesorze... – Tosia czuła się w obowiązku zaprotestować.

Bardzo profesora Bukowińskiego lubiła, ceniła go sobie również jako naukowca i nie byłoby przesady w stwierdzeniu, że uważała go za jednego z najlepszych wykładowców uniwersytetu. Myśl o wypadku śmiertelnym była więc dość nieprzyjemna, poza tym, czy jej promotor nie dał się aby porwać wyobraźni? Nie musiała pytać, profesor Nałęcki z pewnością czytywał Arthura Conana Doyle'a...

- Pani Tosiu, afekt! Powtarzam to w kółko i wciąż będę powtarzał. – Profesor uniósł dorodny palec i wycelował nim w sufit. – Ten ktoś zna Bogdana, załóżę się o skrzynkę dobrego trunku.

Marchewka jakby otrzeźwiał.

- I z pewnością za nim nie przepada – przytaknęła.

- O to to! – Profesor się ucieszył, że w końcu zyskał sprzymierzeńca. – Inaczej nie zaciskałby mu na szyi...

- Państwo pracujecie z profesorem. – Komisarz nie pozwolił mu dokończyć. – Czy w jego otoczeniu jest ktoś, kto mu źle życzy?

Profesor potarł czoło i lekko się uśmiechnął.

- To jest bardzo trudne pytanie, proszę pana. Mało tego, to jest, rzekłbym, pytanie o ludzką naturę. Zastanówmy się...

- A tak po ludzku? – nawiązał komisarz, jego mina mówiła, że nie ma w tej chwili sił do wysłuchiwanie wykładów socjologicznych. Dźwięki wydobywające się z jego brzucha raczej sugerowały, że najchętniej by coś zjadł. Pomidorową? – Możecie kogoś takiego wskazać?

Tosia zaprzeczyła, profesor Nałęcki do niej dołączył.

- Panie komisarzu, za przeproszeniem, ale nigdy nie wiadomo, co komu siedzi w głowie. – Cmoknęła ze smakiem. – A nasz Bogdan jest na uczelni raczej lubiany. Osobiście nie słyszałem, żeby miał jakiegoś wroga. Nie. Zdecydowanie nie.

- Studenci profesora uwielbiają – dołożyła Tosia z przekonaniem. – Zresztą uwielbiają obu panów profesorów – szybko uzupełniła, co wywołało na brodatym licu jej promotora pobłażliwy uśmiech.

- A klucze do domu? – drążył Marchewka. – Czy to możliwe, żeby ktoś mógł wejść w posiadanie jego kluczy?

- Takiej pewności nie mam. Pracujemy w tym samym budynku, choć na różnych piętrach i wdziałach – objaśnił profesor. – Bogdan ma swój gabinet. Ale teoretycznie nie widzę przeszkód, żeby ktoś tam wszedł, kiedy jest na zajęciach. Oczywiście mówię o Wydziale Nauk Społecznych. Jak jest tutaj, na akademii, nie wiem. Tu zaglądam jedynie okazjonalnie i po sąsiedzku, można rzec. Ze względu na pana Lulka i jego lokal, który zresztą cieszy się wśród studentów niemałą sławą. Dzisiejsza pomidorowa z makaronem...

- Ale pan profesor sugeruje, że to jest ktoś od nas?! – Tosi nie chciało się wierzyć.

- Albo stąd. Pani Tosiu, a jak to sobie pani inaczej wyobraża?

Słyszac to, Marchewka poprawił nerwowym gestem grzywę i jego ciało aż się skurczyło. Pewnie zmiażdżyła go myśl o czekającym go ogromie pracy.

Tosia bardzo mu współczuła.

- Teraz pan pewnie musi przesłuchać pół uniwersytetu i pół Akademii Muzycznej?

- Cały uniwersytet i całą akademię – poprawił ją dobrotliwie profesor. – Wykładowców i studentów. To będzie arcyciekawe doświadczenie. Życzę panu powodzenia...

Marchewka spojrzał tęsknie na bambusowe chabazie.

Czyżby chciał się w nich schować?



Rower trafił w ręce policyjnych fachowców i Tosia miała po niego wrócić na akademię za około dwie godziny. Już się cieszyła, że będą to dwie upojne godziny spędzone w towarzystwie Igora – nieważne, że przecież niedawno się widzieli, ona mogłaby z nim być cały czas – ale Igor na telefoniczną informację o kolejnym wypadku wuja zareagował...

Odwrotnie proporcjonalnie do oczekiwań Tosi.

Upewnił się tylko, czy jego wuj nie doznał poważniejszego urazu, a kiedy usłyszał, że profesor Bukowiński wszedł do karetki na własnych nogach, całkiem stracił zapał.

- On jest nie do zdarcia – stwierdził z pewnością, z jaką dowódca Gromu wyraziłby się o najstarszym ze swoich komandosów. – Wiesz, że wuj dotarł kiedyś na żaglówce na koło podbiegunowe?

Nie wiedziała, ale teraz Tosię interesowało tylko jedno.

- Twój wuj mnie poprosił, żebym mu przywiozła do domu rower.

- No! – zawołał Igor z zachętą i Tosia na moment się zawiesiła.

Czyli że po nią przyjedzie?

- Ale ja nie mam auta... – dokończyła znacząco.

Przecież nie będzie mówić do niego dużymi literami.

W końcu zrozumiał.

- Szczerze mówiąc, nie chce mi się już ruszać. – Westchnął i w tym westchnieniu słychać było trzask kości i odgłos rozdzieranych przez lwy ciał pierwszych męczenników. – Korki o tej porze są w Kato paskudne, musiałbym się przebić przez całe miasto. Jechałbym tam pół dnia. Może ty byś... Ten rower jest dość lekki...

Lekki?

Ciekawe dla kogo – i ciekawe, czy Igor niósł kiedyś żelastwo, pomykając po chodniku w kłapkach na obcasie. Zresztą nie w tym rzecz, rzecz była w tym, że rzecz jest ważniejsza od niej.

Z doznanej przykrości Tosię aż zatkało.

- Halo, jesteś tam? – Usłyszała w komórce głos Igora.

Głos miał jak zwykle niski i Tosia była ciekawa, jak nisko może jeszcze upaść.

- Tak.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Dasz sobie radę?

- Tak.

Piotr ponoć wyparł się Jezusa trzy razy. Za to potakiwanie Tosia na kilka chwil siebie znenawidziła, bo poczuła się dokładnie tak, jakby zakneblowała cicho popłakującą Antoninę Biczak, złożyła ją w kostkę, małą kostkę, a potem wcisnęła bidulkę do ciasnej i ciemnej nory pod zbutwiałym drzewem i o niej zapomniała.

Czemu te wszystkie romanse i podchody nie mogą być prostsze, czemu zamiast doznawania czystej radości człowiek musi się czaić, kopać rowy, chować się, wyskakiwać, czołgać i rzucać granatem... W sobie. I czemu facet nie kumał, że jak kobieta mówi trzy razy z rzędu TAK, to musi to oznaczać jedno wielkie NIE!

Ten poligon ją wykańczał.

– To super – rzucił Igor lekko i z daleka. Z bardzo daleka, i Tosia była ciekawa, czy sam się tak oddalił, czy to ona się odsunęła. – Co robisz jutro po południu? – spytał. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Niespodzianka?!

– Na razie nie mam planów.

– To już masz – obieścił wesolutko, a wewnątrz Tosi, które w ciągu minionej sekundy zmieniło się w kamień, teraz w ciągu sekundy weszło pod wpływem temperatury uczuć w fazę przeobrażania się w skałę metamorficzną.

W następnej kolejności Tosia ten kamień w sobie po prostu skruszyła, kawałki wydłubała i cisnęła w siną dal, pomachała Tosi wciśniętej do króliczej nory i umówiła się z Igorem na jutro, na szesnastą, po czym, jak gdyby nigdy nic, pomaszerowała do księgarni na uniwersytecie z mocnym postanowieniem, że odtąd będzie się koncentrować tylko na pozytywach.

„To nie są fakty, to są stany twojego umysłu” – jak pisał Yalom.

A może ona tworzy całą historię, a rzeczywistość jest zupełnie inna?

Do wczoraj wkładała mnóstwo wysiłku, żeby odpędzić od siebie deprechę, a kiedy przydarza się jej coś fantastycznego, to zamiast to docenić, stoi przy tym z młotkiem i kombinuje, w co przywalić. Działać, trzeba działać, robić coś, cokolwiek, zająć się czymś pozytywnym, żeby nie zwariować. Myślenie w kółko i w kółko tylko o Igorze, rozważanie setek scenariuszy, planów – to jak ciągłe rozkładanie siatki maskującej na poligonie w Bornem Suliniowie, mimo że w pełnym słońcu maszeruje się ulicą Damrota.

Rozpisze sobie w domu plan diety i będzie się tego trzymać.

Tak jest!

A teraz pójdzie na Bankową.

Lulek kategorycznie odmówił przyjęcia od niej pieniędzy za wynajem i choć przed chwilą ją swoim dziwnym zachowaniem zdenerwował, Tosia chciała mu się odwdziżyć. A jak dogodzić Lulkowi? Najlepiej kupić mu książkę albo herbatę.

Tu i teraz, jak mawiał Lulek, który był zakręcony w temacie ZEN.

Masz tylko chwilę obecną.

Reszta to wspomnienia albo wyobrażenia.

Rzucenie się w chwilę obecną w mieście, które burczało silnikami samochodów i usiłowało otrzepać się z kurzu, które pośród tego kurzu ledwie zipsało od gorąca – to było wyzwanie, ale Tosia chciała je podjąć.

Można w każdym miesiącu kupować bilet lotniczy do innego kraju, można kolekcjonować na FB focie lokalnych win i potraw i nie zostawiać po tych podróżach w sobie śladu, tylko biec i biec po nowe, a można mijać w drodze do pracy wciąż ten sam nieciekawy skwerek i każdego dnia zauważać na nim nową kroplę, nowy liść, nowy wzór na korze drzew. Bo czego jest w naszym życiu więcej? Rzymów, Paryżów, Aten – czy takich chwil jak ta? W drodze do pracy, po pracy, na zakupy? Może to miał na myśli Lulek? A jeśli to działało i w przypadku widywanego codziennie człowieka? Lulek taki niby znany, że aż nudny, a dzisiaj co?

Tosia na moment zboczyła z drogi i rozmyślając, usiadła na ławeczce skweru przylegającego do kościoła Mariackiego. Cień, było tu mnóstwo pożądanego cienia. W cieniu widać szczegóły.

Przy skrzyżowaniu, nie zważając na gwar pojazdów i ludzki pośpiech, wyrastał na przykład imponujących rozmiarów jesion. Tosia dawno nie widziała tak zdrowego i wielkiego okazu. Jak mu się to udało w tak betonowych okolicznościach, trudno zrozumieć. Tak sobie rósł, przebiegał rozcapierzonymi palcami, męźniał i ten, kto mieszkał w kamienicy na wysokości jego korony, miał

zapewniony wgląd w zielone. Fajnie. Drzewa były mistrzami obracania trudności na swoją korzyść.

Tosia wykorzystała ten kwadrans nie tylko na rozmyślania, ale i na odpoczynek, i po kilku minutach mogła ruszyć dalej – na ulicy Wodnej mijała ciemne, stłoczone kamienice, ale nawet one, wstrzymujące oddech od wielu lat, jeśli przyjrzeć się im z bliska, potrafiły czymś zaskoczyć. Potem poszła nad Rawę, następnie minęła czerwony budynek CiNiB-y (Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej) i weszła w zupełnie inną przestrzeń.

Otwartą, przyjazną, bardziej oczywistą.

Naukową.

Tu zaczynał się teren uniwersytetu zatłoczony budynkami uczelni, które przypominały trochę rozsypane na dywanie pudełka. Same w sobie może i nie były najpiękniejsze, ale fakt, że w ogóle jest dywan, że można na nim budować, układać, odkrywać i mieć przy tym frajdę...

Tosia bardzo lubiła to miejsce, to było jej miejsce.

I miejsce kilku innych osób, których drogi krzyżowały się...

W księgarni Liber.

Księgarenka mieściła się w budynku Wydziału Nauk Społecznych, naprzeciwko rektoratu, przy ulicy Bankowej jedenaście, w samym sercu uczelni, i dla Tosi takim bijącym literacko sercem była. Stanowiła dla bywalców swojego rodzaju klub i był tu mile widziany każdy, kto czytał albo nie czytał, bo właściciele (Paweł i Jacek), którzy prowadzili księgarnię od kilkudziesięciu lat, to byli bardzo mili ludzie – znajomi jej ojca od czasów zamierzchłych.

Kiedy Tosia zaczęła studia, znajomość zamieniła się w przyjaźń, a kiedy do towarzystwa dołączył Lulek, w zasadzie nie było dnia, żeby któreś z nich tu nie zajrzało. Zdarzało się, że sobie coś z Lulkim przekazywali przez „chłopaków” (tak mówiło o nich pół uczelni) albo po prostu wpadali, żeby się przywitać. Nie mówiąc o książkach, bo zarówno Tosia, jak i Lulek byli książkoholikami, a tak się składało, że właściciele również. Pomimo wykonywanego zawodu. Tu nie działała zasada, że kiedy z pasji zrobi się pracę, to pasja ucieka tylnymi drzwiami. Wręcz przeciwnie. Zwłaszcza Paweł potrafił rozprawiać o książkach wiele godzin, dzielił się swoim zachwytem dla słowa pisanego, o nowościach wiedział niemal wszystko i jeśli ktoś zaczynał z nim gawędzić o książce, która właśnie się ukazała, wychodził stąd nie tylko z książką, ale z krzepiącym przeświadczeniem, że oto przydarzyła mu się ciekawa ROZMOWA.

Dlatego ludzie tu wracali.

Ekran komórki nie zastąpi człowiekowi drugiego człowieka.

Ani trzeciego, czwartego czy jakiegokolwiek innego; tylko człowiek z krwi i kości, nieprzewidywalny, jest prawdziwym wyzwaniem.

Takie magiczne miejsca powinny trwać.

I właśnie mniej więcej o tym toczyła się zażarta dyskusja, na którą Tosia trafiła, otwierając drzwi.

– Książek, jakie znamy, w takiej formie – politolog i promotor Goški, Marek Migdalski, wymachiwał egzemplarzem swojego ostatniego dzieła – niedługo już nie będzie!

– Marku, mylisz się... – perorował Paweł, który uśmiechnął się w rozkojarzeniu do Tosi na powitanie. Całą swoją uwagę kierował ku rozmówcy. – A przynajmniej mam taką nadzieję, że się mylisz.

– Ja też bym tego chciał. Ale popatrz na studentów. Oni nie czytają, siedzą w swoich laptopach, telefonach i książki mają gdzieś. I taka jest naturalna kolej rzeczy. Nie ma co w związku z tym drzeć szat. Dzisiejszą książkę zastąpi w przyszłości książka elektroniczna. Jestem tego pewien!

– Ale ten dotyk, zapach, faktura. Tego nie da ci żaden czytnik!

– I co z tego? A co mówił Marek Aureliusz? „Precz z książkami!”



- *Rozmyślenia...*

- Mówił tak, bo jego czasy to wciąż była wszechobecna tradycja ustna. Retoryka, sofiści, wiadomo. I kiedy pojawiły się książki, to było dla tradycji ustnej prawdziwe zagrożenie. Nagle ci wszyscy retorzy i nauczyciele mogli się okazać rupieciami na cmentarzysku historii.

- No tak - przytaknął Paweł, a Tosia klapnęła na kanapie naprzeciwko biurka i się zasłuchała.

- I teraz mamy to samo. Nowe czasy, nowe formy przekazu. Tego się nie da powstrzymać!

Książki miałyby kiedyś przestać istnieć?

I stać się takim samym przeżytkiem jak winyle i gramofon?

Ta myśl była zbyt ponura.

Tosia spoglądała na wnętrza księgarek z takim samym uczuciem, z jakim patrzy się na kogoś bliskiego, kto zamiast irytować - inspiruje (Lulek ją irytował!). Pomieszczenie pomalowane na intensywnie czerwony kolor wypełniały od podłogi po sufit jedynie książki. Nowiuteńkie, pachnące farbą drukarską, szeleszczące albo te stare, z pożółkłymi kartkami, noszące czasem ślady czyichś palców, za którymi stała równoległa opowieść. Księgarnia - cała czerwona, cała w pąsach i skąpana w żywym świetle - przypominała lśniące czerwone pudełeczko. Może bombonierkę, która skrywa pyszności, a każda z czekoladek, jak książka, była inna.

Z czymś innym w środku.

Z innym nadzieniem, innym przesłaniem.

Nie, książki nie znikną, nie mogą zniknąć, Tosia się na to nie zgadzała!

Profesor Migdalski skończył swój wywód i zakreślił się jeszcze przy stole z nowościami psychologicznymi, a wtedy Paweł pomógł Tosi znaleźć dla Lulka coś odpowiedniego. Przekonywał, że *Do syta* Michała Cichego powinno się panu Lulkowi spodobać. Tylko czy Lulek już tego nie miał?

Jak na zawałanie, Tosia usłyszała dzwoniący w torebce telefon.

- Wyszłaś? Szukałem cię - powiedział Lulek.

- Zjadłam, więc wyszłam. Najadłam się... Do syta. Tak *à propos* tytułu, znasz?

- *Zjadłam, więc wyszłam?* Znam raczej *Wyszłam za mąż, zaraz wracam*. Ale to chyba piosenka.

- *Do syta* czy znasz, młotku. Książka.

- Nie znam. A właśnie, i znowu nie poznałem twojego lowelasa. Co za pech.

- Możesz tak o nim nie mówić?

- LOVElas. Co, koleś nie lubi lasu? To może on jest ob... leśny?

Czy Lulek zawsze musiał się wydurniać?

- Słyszałeś, co się stało? - Nie chciała się z nim teraz kłócić, lepiej było zacząć rozmawiać o czymś innym. - Profesor Bukowiński miał znowu wypadek. Na rowerze. Upadł na krawężnik i rozciął sobie głowę.

- Tak, widziałem, przyjechała erka. Fatalnie. Nic mu nie jest?

- Wygląda na to, że mają mu założyć tylko kilka szwów. Ale czeka go jeszcze rentgen, zobaczymy. To jest prawdziwy pech! Chociaż mój promotor uważa, że to włamanie do profesora było właśnie po to, żeby mu ten rower uszkodzić. I ten rower... - Tosia opowiedziała o Marchewce, jego podejrzaniach i badaniu śladów. - Muszę go zawieźć profesorowi - dokończyła. - Nie mógł go zabrać do szpitala, a umówiłam się z Goską...

- Gośka już u mnie... U nas... Była.

- Ale kiedy? Jesteś w domu?

- Nie, ciągle w Muzycznej.

- To jak: była?

- Rano, jak poszłaś... tam gdzie poszłaś - uciął.

Tosia okazała zdziwienie.

– Rano? Ale ja się z nią umówiłam po południu. Właśnie, muszę zaraz do niej przekręcić.  
– Nie wiem, mówiła, że pomyliła godziny. Była rano. A co z tym rowerem, mam go zabrać?  
Jak to dobrze mieć takiego Lulka.

Wkurza, irytuje, ale bez niego...

– A mógłbyś?

– Pewnie, że mógłbym, czemu miałbym nie móc? Przecież tu jestem. Ciebie też skądś zgarnąć?

– Jestem w księgarni, u chłopaków. Ale rower można odebrać dopiero za godzinę.

– To wrócimy. Obiecałem ci lody.

Czy to uczucie w okolicach żołądka to się nazywa wewnętrzne rozdarcie?

Tosia za lodami wręcz przepadała, tyle że dieta...

– Poczekaj, momencik, bo ściągnęłam sobie aplikację... – Odsunęła telefon i wyszukała w programie interesujący ją produkt. Może chociaż tutaj znajdzie dobrą wiadomość. – Gałka lodów, na przykład truskawkowy sorbet, ma... Albo trzydzieści osiem kilokalorii, albo nawet sto dwadzieścia! Do dupy!

– Taki będzie finał. A sto dwadzieścia to dużo czy mało? – chciał wiedzieć Lulek, którego bawiły te wszystkie tabelki i obliczenia.

Uważał, że należy zdrowo jeść i jak najwięcej się ruszać.

Ale Tosia nie znosiła ćwiczeń!

– Sto dwadzieścia kalorii? Razy dwa – liczyła w skupieniu – bo po co mi jedna gałka... Jak już jeść, to dwie. To jest dwieście czterdzieści! – zawołała oburzona.

Żeby te wszystkie kilokalorie zmieniły się w kilowatogodziny i żeby je szlag trafił!

Lulek zarechotał, a jego rechot przypominał warczenie Bobka albo to sam Bobek rzęził gdzieś tam na boku.

– To ja mam inny pomysł – zaczął. – Tylko się nie denerwuj. Doceń koncept.

– Już się zdenerwowałam. Ale słucham, mów. Koncept...

– Gałka lodów ma sto dwadzieścia, tak? Czyli jak zjesz loda, jesteś na plusie. Ale jak komuś... zrobisz loda... Sprawdź sobie w apce. To może rachunek się wyrówna? Pomyśl, to będzie kilkaset dobrze spalonych kilokalorii. Obie strony skorzystają. A że lowelas zwiął...

I było go zachęcać?

Tosi opadły ręce.

Lulek nigdy się nie zmieni. Albo mówił rzeczy mądre, w punkt, i Tosia stała i nie mogła się nadziwić, tak jak ostatnio podsumował ją z tym łańcuchem, albo z jego ust padały oślizgłe węże i ropuchy. Tylko podobno żeby zatrzeć złe wrażenie, na jedną głupotę musi paść co najmniej pięć złotych myśli. Na jedno negatywne słowo lub zachowanie pięć, sześć dobrych.

Ciekawe, czy i ten rachunek Lulek potrafi wyrównać...



Paweł *Do syta* bardzo zachwalał, ale się okazało, że ostatnia sztuka im wyszła, książka bardzo dobrze się sprzedawała. Obiecał jednak, że swój egzemplarz Tosia dostanie w piątek, miała przyjeść do księgarni po szesnastej.

Czekając na Lulka na ławce przed rektoratem, Tosia wykręciła numer Goški. Ta odebrała dziwnie zmieszana.

– Miałam do ciebie przyjść i przysłałam, ale dopiero na miejscu się skapnęłam, że byłyśmy umówione inaczej – zaczęła przepraszająco. – Nie wiem, dzisiaj jestem jakaś taka rozkojarzona...

– Jest upał. – Tosia szybko znalazła wytłumaczenie. – I w ogóle z tą pogodą to jest huśtawka. Do południa miałam tyle energii, że chciałam przenosić góry, a teraz myślę, niech se, kurde, stoją –

z premedytacją zacytowała tekst z memu, który niedawno ją rozbawił.

– Ostatnie dni łało i łało, a dzisiaj prawie czterdzieści stopni. Głupota totalna. – Gośka zignorowała żart. Z gór przeniosła się od razu na własne podwórko. – I jeszcze Ten Mój... Już nie mam do niego sił, chyba go rzucę. W zasadzie już go rzuciłam. Mniej więcej.

Ten Mój – tak Gośka nazywała każdego swojego wielbiciela, a aktualny, jak wynikało z opowiadań, był od niej sporo starszy i do biednych nie należał. Do tego, drobiazg, posiadał żonę, z którą wcale nie zamierzał się rozwieść, i jeśli ktokolwiek tu kogokolwiek rzucał, to raczej on Goškę, a nie na odwrót.

Trafiła kosa na kamień?

– Przykro mi – bąknęła w odpowiedzi Tosia, bo co miała powiedzieć.

Nie ten, to inny?

Skoro mężczyźni mogli zmieniać kobiety jak rękawiczki, co stało na przeszkodzie, żeby kobiety robiły to samo? Co kto lubi, nic jej do cudzych wyborów. I mężów oraz ich kochanek.

Gośka raczej nie miała z tym problemu.

– A mnie wcale nie jest przykro – oznajmiła. – Dzisiaj, jak do ciebie przyszedłam... Ten twój Lulek jest całkiem niezły, powiem ci. Zamieniliśmy kilka słów i fajnie nam się rozmawiało.

Gośka i... Lulek?!

Tosia oniemiała.

Trafiła kosa na kamień i po tym kamieniu ktoś ją znowu naostrzył? Dlatego Gośka ostrzyła sobie zęby na Lulka?

– Heeej! Jesteś?

– Jestem. Jak to: zamieniliśmy kilka słów?

– Normalnie. Co miałam stać na wycieraczkę z zamkniętą gębą? Pogadaliśmy sobie jak zwykli ludzie. To znaczy do tej pory myślałam, że Lulek jest zwykły, ale on jest... Bo przecież mówiłaś, że nie jesteście razem...

Tosi zaczęło być duszno, powinna chyba znaleźć jakiś cień.

– Nie jesteście.

– No to spoko, bo już się bałam.

Czy to jednak nie Tosia zaczynała się bać?

Myśl, że Gośka będzie wachlować Lulka sztucznymi rzęsami – ta myśl była gorsza niż wizja znikających z powierzchni świata książek.

– Tosia?

– Tak?

– Nic nie mówisz. OK?

– Tak.

Postanowiła, że jeśli jeszcze raz powie TAK, odgryzie sobie język.

Na szczęście Gośka nie była dziś szczególnie rozmowna, choć zwykle zalewała Tosię morzem rozlicznych szczegółów: co dziś jadła, gdzie dziś poszła, co widziała na Insta, kto co dodał na FB, co Ten Mój powiedział, co ona odpowiedziała...

– No to OK – podsumowała i szybko zakończyła rozmowę.

OK?

Powiał silniejszy wietrzyk, zakołysał drzewami, trawą i zaprosił do hipnotycznego tańca wyrastające na klombach wybujałe żółte kwiaty, które były jak miniatury słoneczników – miały szorstkie liście, twarde łodygi i Tosia tę szorstkość i twardość poczuła na plecach.

A może to było czyjeś spojrzenie?

Odwrociła się gwałtownie, ale poza kilkoma żywymi studentami i jednym odlanym z brązu (rzeźba żaka na placu przed budynkiem rektoratu) nikogo nie zobaczyła. Czemu zatem, odkąd

wyszła z Akademii Muzycznej, czuła się jak robak pod mikroskopem? Zupełnie jakby ją ktoś z ukrycia...

Śledził?

Wcale nie było OK.



W kwestii małżeńskich i niemalżeńskich zdrad Marchewka miał od dawna wyrobione zdanie.

Słodka przyjemność, słony rachunek.

Przyjemność trwała krótko, rachunek sptało się długo.

Bo nie ma się co łudzić, że się nie wyda, zdrada zawsze się wydaje – to jak z przestępstwem.

Jeśli ktoś decydował się na poważny związek i liczył, że po pięciu, dziesięciu latach nadal będzie w wybrance widział rusałkę i ta rusałka nadal będzie go tak samo ruszała jak w dniu poznania – z takim naiwnym nastawieniem już po roku wspólnego życia można się spodziewać kłopotów. Zresztą czy podobnie nie jest na przykład choćby z pracą? Po pierwszej ekscytacji zawsze przyjdzie zawodowa codzienność i jeśli dla kogoś jest to wskazówka, że źle wybrał, to powodzenia. Pozostaje mu przez całe życie zmieniać co pół roku zawód lub partnerkę. A to z kolei najkrótsza droga do wrzodów żołądka, zawału albo wiecznej frustracji. Zdaniem Piotra Marchewki rzecz była w czym innym.

W wysiłku i zmianie sposobu patrzenia.

A przede wszystkim w wołaniu z głębi trzewi, że to, kogo się wybrało lub co się wybrało, jest właściwym wyborem, bez tego ani rusz.

Trzewia nie kłamią.

I z głębi Marchewkowych trzewi dobywało się takie wołanie każdego dnia, a jego rusałka nadal go ruszała, choć może nie tak dziko jak kilka lat temu, ale kiedy napotykał pływające w bajorkach nowe rusałki, doskonale wiedział, że pod rusałkowymi sukienkami są zawsze te same rozwleczone dresy, a pod uśmiechami te same dąsy i że tak to właśnie jest. Tyle że to Zuza wzbudzała w nim czułość i całą paletę nieznanych uczuć, które przy Zuzie same się nazywały i wyzwały w Marchewce nadludzką siłę. I to przy Zuzie Marchewka stawał się Tytanem, Posejdonem i Zeusem w jednej mikrej osobie, ale czemu tak się działo i czemu tylko za sprawą Zuzy – nie miał zielonego pojęcia. Pozostawało mu się jedynie temu poddać.

Co do nudy, ostatnio nudził się jako dwudziestolatek.

Potem...

Dojrzał?

Po prostu odkrył kóregoś szarego dnia, że najlepszym antidotum na nudę i pustkę jest zachwyty. Tak, zachwyty! I tak sobie chodził po świecie, patrzył i uczył, jak zauważać w zwykłym niezwykłe, jak doceniać to, co się ma.

Dzięki temu się o siebie nie potykał.

W tym samym czasie jego koledzy policjanci narzekali i chlali, bo codzienność i służba, czyli przemoc, bezradność plus idiotyczny system – to wszystko do kupy ich przerastało. A kiedy chlali, rozpadały im się związki i robiło się z tego tragiczne perpetuum mobile. Widział takie scenariusze już zastraszająco dużo razy. Dzięki temu nauczył się, że są rzeczy, na które ma się wpływ, i takie, które są poza Marchewką, i tymi ostatnimi postanowił się nie zajmować, bo po co.

Co do wysiłku – można czekać, aż codzienność człowieka przytłoczy, a można coś robić, żeby nie przytłoczyła. Można być Marchewką czynną albo bierną. Czynna Marchewka dokonuje różnych czynów, na przykład hoduje masę i robi rzeźbę, bierna Marchewka czeka, aż urośnie jej brzuch

i zdechnie zapał. A jaką się jest Marchewką, kiedy podjeżdża się pod własny dom, a w domu pusto i ciemno?

Jest się Marchewką zawiedziona.

Ale nawet zawiedziona Marchewka wie, że dzisiaj jest tak, a jutro będzie inaczej. Wystarczy cierpliwie poczekać. Prąd jest w sieci, nawet kiedy światło jest wyłączone. Komisarz nie tracił więc ducha, sprawdził tylko, czy iverco Zuzy stoi w garażu, a kiedy stwierdził, że nie stoi, sam zaparkował na ulicy, po czym postanowił sprawdzić, co u profesora Bukowińskiego.

Prawdą było, że w sprawie sąsiada po prostu dał ciała.

I koniecznie chciał to naprawić.

Profesor otworzył mu drzwi, trzymając przy uchu komórkę, ale wykonał w jego stronę zachęcający gest.

– Zapraszam do środka... Nie, proszę sobie nie robić dzisiaj kłopotu. Może go pani spokojnie przywieźć jutro, jutro i tak zamierzałem wziąć taksówkę. Nie, tylko pięć szwów, nic wielkiego. Czuję się normalnie, rentgen bez zmian. Nic się nie dzieje. Pani Tosia... – wyjaśnił, kiedy skończył rozmawiać.

– Sam mogłem panu ten rower podrzucić – zaczął Marchewka, ale profesor uciszył go machnięciem ręki. – Ja właśnie w związku z tym.

Wieczór na Akacjowej był o wiele ciemniejszy niż w innych częściach miasta i profesora chyba ta zapadająca ciemność cieszyła. Na tarasie, w słabym ulicznym świetle Marchewka zauważył teleskop. Opadł we wskazanym fotelu i przez moment chłonał obecność ogrodu – czuło się tu odchodzący upał, zapach ziemi i roślin, które jeszcze nie zapadły w sen, o czym świadczyła intensywna, słodkawa woń rosnącej przy murku maciejki.

– Co tam, sąsiedzie, nowego? – spytał profesor, siadając w fotelu przy teleskopie, Marchewka słuszenie jednak odgadł, że nie chodziło o garść osiedlowych plotecek. – Dopiero niedawno wróciłem. Zwykle rozciąćcie, a tkwiłem tam kilka godzin.

Komisarz chrząknął.

– Rozciąćcie pewnie zwykłe, tyle że... Zamiary tego, kto majstrował przy pana rowerze...

– Czyli jednak Nałęczki dobrze kombinował? – Profesor wyglądała na zmartwionego, ale komisarz by się założył, że nie chodziło o bezpieczeństwo, raczej o koleżeńską rywalizację.

– Ktoś celowo uszkodził system hamulcowy i nie tylko – pozbawił profesora złudzeń. – Są też poważnie uszkodzone baterie. Nasz specjalista stwierdził, że na bank wybuchłyby podczas ładowania.

Profesor westchnął, starał się jednak zachować spokój. Wystawił twarz w stronę ogrodu i chwilę tak trwał, pozwalając księżycowi łaskotać się blaskiem po brodzie.

– Dziś już nie dałem rady zmienić zamków.

– Trzeba to zrobić. Jak najszybciej. Ten ktoś się postarał. I... miał klucze. Chciałem pana prosić o listę osób, które hipotetycznie mogłyby wejść w ich posiadanie.

– Klucze mam zawsze w plecaku.

– Proszę pomyśleć, kto ma do niego dostęp. – Marchewka nie ustępował. – Kto mógłby wyjąć klucze, zrobić odcisk albo zanieść je do najbliższego punktu, gdzie się je dorabia, a potem podrzucić z powrotem.

– Pan myśli o kimś...

– Z uczelni.

To się profesorowi nie spodobało.

– Ale z której?!

– Myślę o pana obu miejscach pracy. Proszę zrobić na spokojnie taką listę. Imię, nazwisko, jakiś kontakt, jeśli się da. Albo chociaż niech znajdzie się tam informacja, kim ta osoba jest, jaką pełni na

uczelni funkcję. To nam pomoże zawęzić listę kandydatów do przesłuchania.

Profesor nie znosił, kiedy robiono wokół niego zamieszanie – to Marchewka już odkrył. Teraz na przykład na tej pociągłej, ogorzałej twarzy malował się popłoch.

– Ale sąsiedzie, po co od razu jakieś przesłuchania... – zaczął niby z lekceważeniem, ale widać było, że wizja postawienia na nogi z jego przyczyny instytucji naukowych autentycznie go przerażała.

Albo starał się coś ukryć.

– Napastnik liczył, że dojdzie do wypadku, dlatego uszkodził hamulce. Ale miał też pomysł na ewentualność, gdyby wypadek nie wypadł – uzupełnił Marchewka bezlitośnie. – Komuś zależy, żeby przytrafiło się panu coś złego. I to tak, żeby nie padły na nikogo żadne podejrzenia. Dlatego odpuścił panu w szopie, chociaż miał możliwość...

– Ale komu zależy?! – Profesor nie wytrzymał. – Co ja takiego zrobiłem?

– Tego nie wiem. To wie raczej tylko pan.

– Czy ja znam tę osobę?

– Wydaje mi się, że tak.

Przykro, że zepsuł sąsiadowi wieczór, ale musiał go poinformować o jeszcze jednej okoliczności.

– Żeby pan mógł spokojnie spać, zostawiam na ulicy swojego człowieka. Czarne volvo. Proszę nie zwracać na niego uwagi.

Marchewka też starał się nie zwracać uwagi na swojego kumpla, ale pod swoim domem natknął się na swoją żonę, która podjechała swoim autem, opuściła szybę i wrzasnęła z całego gardła na swojego męża tak, że zrobiło mu się nieswojo:

– Pietruszka! Już wszystko wiem! Ty zdrajco podły, niziołku jeden. Myślisz, że uda ci się zrobić ze mnie wariatkę?! Spotykasz się z jakąś rudą zdziurą!

Faktycznie, na tym polega akceptacja.

I dostrzeganie niezwykłego w zwykłym.

Ommm...



Lulek najchętniej by Bobkowi za ten numer z moczem wystawił pomnik.

Co za mądry pies!

Co za intuicja, co za wyczucie ludzi, a wreszcie – co za synchronizacja.

Żeby wyrazić wdzięczność, Lulek w drodze do domu zajęchał do zoologicznego i kupił obrozę z czerwonymi światełkami, bo na nocnych spacerach czarny zwierz zlewał się z tłumem, a do tego nabył dwie największe i najbardziej cuchnące kości, choć Tosia skrzywiła się na sam ich widok – faktycznie, były ohydne, ale Bobek z radości oszalał. Tosia za to niewiele mówiła i co chwilę popadała w zadumę, aż Lulek zaczął się martwić. Profesora nie zastali w domu, dopiero późnym wieczorem udało się do niego dodzwonić i z rozmowy wynikało, że rower mogą podrzucić jutro.

I pierwszorzędnie, Lulek musiał pogadać poważnie z kumplem w sprawie pewnej transakcji, choć wciąż się ociągał, w związku z czym poszedł na długi spacer z Bobkiem, na którym obaj tak się wyhasali, że aż miło. Czemu on do tej pory nie wpadł na to, żeby kupić psa, nie miał pojęcia, Bobek to był przerówny gość. Wizualnie, owszem, raczej odpychał, ale później, jak się człowiek przyzwyczaił, to można się było w tym pysku dopatrzeć swoistego piękna, choć to swoiste piękno nijak się miało do tego, że sierść leciała z Bobka jak z pięciu starych kocurów, śmierdział, a ślad węglowy ciągnął się za nim na kilkaset metrów, za to jak ten kundel świetnie grał w łapki!

Lulek siedział na krześle, Bobek warował przy nim i kiedy tylko Lulek kładł rękę na udach, Bobek przykrywał ją z uciechą swoją kudłatą łapą. Lulek przekładał rękę na łapę Bobka, Bobek się nie poddawał, jego musiało być na wierzchu, i tak to szło.

Kto się pierwszy znudzi.

– Skubany twardy jest! – zawołał Lulek z uznaniem, zerkając przy tym na Tosię, która chodziła po salonie zła jak cały rój os. Zaglądała do szafek, odsuwała pudła. Chyba nie przeżywała wciąż dzisiejszej sceny pod akademią? – Czego szukasz?

– Wagi szukam. Gdzieś ją widziałam.

– W kuchni, pod szafką z herbatami. Chcesz się zważyć?

– No raczej nie będę nią mierzyć ciśnienia.

– Zdziwiłabyś się, niedawno taką oglądałem. Ale oczywiście to nie mój model. Mojej musisz zrobić najpierw próbę olejową.

Tosia stanęła w pół kroku i spojrzała na niego tak, jakby jej kazał pisać jeszcze jeden doktorat, w dodatku z metalurgii.

– Że co, proszę? Co jej muszę zrobić najpierw?

– Próbę olejową. Najpierw musisz na niej postawić olej, tę wielką flachę, stoi przy koszu. Ma dwa przecinek sześć litra. Jak ci się mniej więcej tyle wyświetli, to znaczy, że jest dobra faza i możesz wchodzić. Bo czasem pierwsze wejście to błędny odczyt i trzeba sprawdzić.

– Żartujesz?!

– Nie – potwierdził Lulek wesoło, próbując oszukać Bobka.

Zaczął przekładać rękę coraz szybciej i szybciej, Bobek w odpowiedzi entuzjastycznie się rozszczękał, a wtedy Tosia jeszcze bardziej się rozzłościła.

Chyba ten przystojniaczek z porsche nie schodził jej ze złączy.

– Lulek, jaka flacha, jaka próba olejowa?!

– Wyciągnij wagę, postaw na niej olej...

Tosia zrozumiała, że mówił poważnie.

– Żelazko nie działa ci od kilku miesięcy – wyliczała – odkurzacz to rzęch, który nadaje się tylko do tego, żeby bawić się z tym tutaj... Bobkiem. Waga... Próba olejowa! Czy w tym mieszkaniu jest

jakikolwiek sprzęt, który działa dobrze?

Lulek mlasnął.

Uwielbiał zadarty nos Tosi – kiedy mówiła, jego czubek za każdym razem śmiesznie się poruszał. Naprawdę za każdym razem i przy każdym słowie. A wraz z nim tańczyły porozrzucane na całej twarzy piktogramy z piegów tworzące na skórze wzór nie gorszy od geoglifów z Nazca.

– Jest taki SPRZĘT – zapewnił Lulek z wielką powagą. – Działa bez zarzutu.

– Możesz mi go pokazać?

– Bardzo chętnie, przecież wiesz, że nie jestem goło... słowny... Ale dałabyś mi po pysku. Poza tym może nie wyglądam, ale się wstydzę...

No i znowu nie doceniła żartu.

Tak, już skumał, trudno było nie skumać, nie znosiła takich podtekstów. Powinien to w końcu przyjąć na klatę, ale czasem tak go korciło, tak korciło.

– A ten znowu swoje! I jeszcze ten grat, zapomniałam wymienić. Dichu maszyna!

Lulek w jednej chwili stracił humor.

To auto, jego auto, przeżyło z nim wiele trudnych i pięknych chwil i ubliżać oplotowi to jak ubliżać jemu samemu. Poza tym może i niektórzy mieli wypasione auta, ale to ich trzeba było wypasać, bo byli jak zagubione we wsi barany.

– Chcesz coś konkretnego od mojego wozu?

Na szczęście Tosia potrafiła się w odpowiedniej chwili zatrzymać, był jej za to bardzo wdzięczny. Tym bardziej więc go zdziwiło, że spojrzęła na niego krzywym okiem, fuknęła i pozwoiliła sobie na zaskakująco mało delikatny komentarz:

– Wozu! Czy ty zawsze musisz mieć wszystko rozwalone? I utyłane?

Bobek pisnął.

Lulek poczuł się, jakby go ktoś uderzył, choć były to tylko dwa słowa.

W ułamku chwili postanowił, że jeszcze dziś, pomimo późnej pory, zadzwoni do kumpla.

Kości zostały Bobkowi rzucone.



Tosia miała w głowie zupełny mętlik.

Z jednej strony wściekle tęskniła za Igozem i zastanawiała się, czy to, że nie chciał jej wczoraj pomóc z odwiezieniem roweru, znaczyło, że ich wspólne sam na sam wcale mu się nie podobało, z drugiej strony niepokoił ją Lulek.

A właściwie myśl, że jej najlepszy przyjaciel mógł dostać się w łapy Goški.

Goški, która była niby miła – fajnie było mieć na uczelni kogoś, kto pilnował przeróżnych terminów, składanych do stypendium dokumentów i tak dalej – ale ta sama Goška kochała się ludźmi wyřęcać i Tosia niekiedy miała tego dość, bo nieustannie słyszała wypowiedane słodkim głosem prośby: „Sprawdzisz mi ostatni rozdział? Ty tak świetnie piszesz. Napiszesz mi streszczenie? Podpiszesz się za mnie na liście obecności? Dasz mi swoje opracowanie na egzamin?”. Niekiedy było tego tyle, że Tosia zaczynała się zastanawiać, czy nie jest Goški sekretarką, i z tygodnia na tydzień pęczyła w niej złość, dlatego ostatnio postanowiła ograniczać z nią kontakt.

Nie zgłaszała jej swojego niezadowolenia bezpośrednio, bo... Goška była nadzwyczaj mściwa, miała znajomości, a urzędzona komuś na uczelni awantura to był dla niej pikuś, do tego uważała, że jeśli ktoś nie jest z nią, to z pewnością jest przeciwko niej. Była mistrzynią intryg, potrafiła skłócić najlepszych przyjaciół, po czym trzepotała niewinnie rzęsami i każdemu z osobna oferowała wsparcie.



Tosia w skrytości ducha trochę się Gośki bała.

I teraz ona i Lulek...

Ale że niby co, że mieliby razem...

W dodatku Lulek chyba się o coś obraził (nie mogła ustalić o co, bo do końca wieczora ją zbywał), a potem rozebrał się do slippek i zaczął kąpać Bobka. Do slippek! I Tosia mogła w końcu na własne oczy zobaczyć, że do każdej kosteczki i do każdego ścięgna Lulka są podoczepiane mięśnie, i te mięśnie w trakcie kąpeli odstawiały pod skórą dzikie harce. Pótnagi Lulek wyglądał jak żywy anatomiczny model dla studentów medycyny. Wiedziała, że chodzi na siłownię, nawet trochę z tego kpiła, ale takie coś?!

To Lulek jest mężczyzną?

Oczywiście, przecież nie był bakterią beztlenową, to wiedziała, ale co innego wiedzieć, a co innego zderzyć się w łazience z umuskularnionym kolesiem, który namydla psa, a piana ścieka mu niby z torsu, a jakby ściekała z obudzonej kobiecej wyobraźni.

Jak się do takiego czegoś ustosunkować?

I czemu cały wieczór myślała o stosunkach?

I to z kim?

Ona z Igorem, ona z Lulkiem, Lulek z Goską, Igor z...

Przecież nie z Bobkiem!

Ledwie mogła od tych wszystkich wizji zmrużyć oko, udało się jej zasnąć dopiero po pierwszej. Wstała cała połamana, a na stole nie powitał jej talerz parującej owsianki. Lulek siedział za to ze skupioną miną na balkonie i z kubkiem kawy w ręku wpatrywał się w niebo.

– Cześć, jadłeś już? – nieśmiało zagadała.

Spojrzał na nią z wnętrza swojej poroziągananej piżamy w paski à la „senior dokazuje w sanatorium” i Tosia poczuła ulgę.

Stara, dobra piżama.

– Nie chce mi się jeść – zaszczycił ją odpowiedzią, ale w powietrzu, które zaczynało się gwałtownie ocieplać pomimo wczesnej pory, zabrzmiała...

Niechęć?

Tego jeszcze nie grali. Tosia wyhamowała i usiadła na krześle obok Lulka.

Wystawiał swoją chłopięcą twarz w stronę mglistej słonecznej kuli, potem patrzył na kłęby chmur i szukał wzrokiem nurkujących w rozgrzanym powietrzu ptaków. Chyba był zadowolony, a w każdym razie nie tak najeżony jak wczoraj. Chociaż oczy miał nadal smutne.

– Co robisz?

– Chmuring – rzucił z lakonicznością godną sekretarki, która chce się pozbyć petenta, upił tyk kawy, po czym znowu wczepił się spojrzeniem w puch na nieboskłoncie.

Już go widywała takiego pogrążonego w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w błękit, ale nigdy nie przypuszczała, że to coś celowego.

– Tu i teraz?

– Ano. Różnie można medytować. Można siedzieć, a można chodzić.

To chodzenie w umyśle Tosi zabrzmiało dość obiecująco, ale stwierdziła, że nad tym zastanowi się później. Widziała u Lulka na półce książkę ZEN wędrowni i tytuł ją zaintrygował.

– Teraz medytujesz?

– Staram się.

Czyli mu przeszkadza.

– A, OK. Ja tylko chciałam cię przeprosić. Tak na wszelki wypadek. Wczoraj musiałam coś zrobić albo powiedzieć.

– Powiedziałaś o dwa niemiłe słowa za dużo...

Czyli zgadła.

I jak to dobrze, że Lulek nie należy do tych foszących się w nieskończoność facetów. Do tych, którzy udają, że wszystko jest w porządku, i nie pisną przy tym ani słówka, za to sztucznie się uśmiechają, a żale upychają po cichu do weków, z kolei szczelnie zamknięte weki wciskają do piwniczki, pod dywan. Bo co się później dzieje? Weki przy pierwszej lepszej okazji, najczęściej mało istotnej, eksplodują, a dywan – płaszczyzna porozumienia – nadaje się tylko na śmietnik.

– Ale... – zaczęła Tosia niepewnie.

– Ale właśnie o to chodzi w „tu i teraz” – wyjaśnił. – Nie ma sprawy. To było wczoraj, dzisiaj jest dzisiaj... I tak cię lubię, mimo że jesteś okropnym babsztylem. Jak tam twój post?

– Yyy...

– Mój trener zawsze powtarza, że woda pomaga chudnąć. A ty za mało pijesz – stwierdził Lulek, już nie kryjąc troski. – Swoją wagę trzeba pomnożyć przez trzydzieści mililitrów i ci wyjdzie, ile masz pić w ciągu dnia.

– Co powiedziałaś? Wagę?

Spojrzeni po sobie i parsknęli śmiechem.

Tosia tak bardzo chciała zapytać o Gośkę, ale po wczorajszym wieczorze i po tym, jak palnęła dwa niemiłe słowa (pewnie chodziło o „rozwalone i utyłane”), postanowiła, że każde słowo będzie teraz...

WAŻYĆ.



Tlen to taka oczywista oczywistość, że nikt o nim nie myśli.

Ale profesor Bukowiński myślał, wiedział, ile tlen znaczy dla zdrowia, i każdego dnia starał się być na świeżym powietrzu.

Choćby z jedną skronią rozciętą, a drugą pozszywaną.

A nawet tym bardziej – żeby się regenerować, należy wpuścić do ciała dobroczynny związek, a żeby regenerować psyche, należy pielęgnować związki z ludźmi i nie zamykać się w domu. Dlatego profesor pojechał dziś na uczelnię, chociaż nie musiał, pozałatwiał za to różne sprawy, uciął sobie miłą pogawędkę w księgarni Liber, zjadł obiad w rektoracie, po czym, z myślą o zakupie nowych zamków, skierował się do centrum.

Katowicki Rynek był od dawna rozłupany na pół torami tramwajowymi i w zasadzie podzielony na dwie części także architektonicznie, co nikomu nie przeszkadzało – ludzie umawiali się tu pod teatrem, robili zakupy, jedli, kupowali lody, kupowali kwiaty, czekali pod urzędem, chlapali się w fontannach, patrzyli w niebo, czekali na tramwaj, złościли się na upała, kradli rachitycznym drzewom cień, przeganiali gołębie, biegli za potrzebą do miejskich szaletów, zaglądali do Rawy, szukali najbliższej poczty i piekarni. Od ludzkich myśli i upału tężało wiotkie, napięte powietrze i trzeba było mieć w to lipcowe popołudnie mnóstwo samozaparca, by wytrzymać na tej rozgrzanej patelni dłużej niż kwadrans.

Tlenu było tu jak na receptę.

A może tylko się tak profesorowi wydawało, podobnie jak wydawało mu się też, że ktoś mu się z ukrycia przygląda.

Odkąd wyszedł z rektoratu i skręcił na deptak przy Rawie – a przynajmniej tak nazywano wąziutki chodnik, który biegł równą linią przy wstędze rzeki – czuł, jakby coś przyczepiło mu się do pleców, i to coś zdecydowanie miało charakter niematerialny. Nie był to rzep, ale uczucie wpijania się w plecy spojrzeniem było tak przemożne, że profesor kilka razy się za siebie oglądał. Poza kilkoma rozgadanyimi studentami nie dostrzegł jednak nikogo, mimo to przyspieszył kroku,

przeciął grzechoczącą od burczenia samochodów Szkolną i z ulgą zanurkował w Teatralną. Wyjście z cichej ulicy na rozgrzany plac Rynku przyjął niemal jak osobistą zniewagę i już szukał cienia, gdy usłyszał za sobą pospieszne kroki, a wraz z nimi odbijający się od ścian kamienic przenikliwy i nieco zasapany głos:

– Bogdaan, poczekaj!

Nie musiał się odwracać, żeby stwierdzić, z czyjego gardła się wydobywał.

Krzysztof Nałęcki.

Czy to jego spojrzenie go przyszpiloło?

Po włamaniu, po rewelacjach Marchewki dotyczących celowego uszkodzenia roweru profesor bardzo starał się nie popaść w paranoję, strach nie będzie mu dyktował warunków, ale mimo wszystko doznał ulgi. Może akademicka dyskusja w pełnym słońcu to nie było to, na co miał w tej chwili szaloną ochotę, a Nałęcki nie należał do cichych i milczących kompanów, poza tym profesor chciał znaleźć sklep z żelastwem, ale myślał, że jednak nie oszalał i ktoś faktycznie za nim szedł i mu się przyglądał i że to był po prostu kolega z pracy...

Ta myśl w tym potwornym skwarze była ożywcza.

– Krzysztof! – zawałał więc z nieco przesadzonym entuzjazmem, co na początku Nałęckiego zdziwiło, a w następnej chwili zachęciło do pogłębienia kontaktu.

Tego się obawiał.

– Tylko nie zadawaj mi pytań o wczoraj, bo nie ręczę za siebie – ostrzegł.

Nałęcki rozpułynał się w uśmiechu, a jego płowa kamizelka rozchyliła się jakby w odpowiedzi na dokazujący niespodziewanie wśród platanów wietrzyk.

– Zdębiałeś? – Kolega uznał drzewne nawiązanie do nazwiska za świetny dowcip i, choć mogło się to wydawać niemożliwe, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dla Krzysztofa Nałęckiego zasadniczo nie było rzeczy niemożliwych. – Nie muszę pytać, masz wszystko wypisane na głowie. Pięć szwów? – bardziej stwierdził, niż zapytał i lekko się do niego nachylił, co profesora Bukowińskiego od razu zirytowało.

Poświęcił rankiem kilka dobrych minut, żeby zakamufłować ślady po szcyciu, użył nawet w tym celu, o zgrozo, pianki do włosów, a teraz okazało się, że jego zabiegi były psu na budę.

– Bingo, kolego – warknął.

– I ty sobie tak chodzisz po świecie?

– A co, mam siedzieć na strychu?

– Może trzeba było wziąć L4.

– W sesji egzaminacyjnej?

– Co prawda, to prawda – zgodził się Krzysztof i wskazał głową w kierunku przystanku tramwajowego. – Jedziesz do domu? Bo ja lecę na plac Grunwaldzki, do telewizji, mam nagranie. A może pójdziesz ze mną? – Nagle się ożywił. – *Antyczna forma i treść. Czy nadal są aktualne?* Dyskusja panelowa. Żadna... lipa.

Dowcipniś z tego Nałęckiego.

Profesor najchętniej uniośby brwi, ale kiedy je unosił, pulsowała mu lewa skroń, co powodowało nieprzyjemny ból. Temat rozmowy oczywiście mu się podobał, bez dwóch zdań czy pięciu szwów. Jego myśli od razu powędrowały do *Dialogów* Platona, a od Platona jeszcze dalej, po czym wyhamowały przy greckich tragikach, przy których zaczął się zastanawiać, czy tragedia grecka jako gatunek nie ma czasem czegoś wspólnego z wymianą wszystkich zamków, po czym stwierdził, że to ostatnie może przecieć poczekać. Czas grał w tragedii greckiej istotną rolę.

– Dyskutantów zawsze bierzesz z łapanki? – rzucił niby kpiąco, ale Nałęcki nie dał się zbić z tropu.

Spojrzał wzrokiem zadowolonego kota na Rynek i zamruczał, jakby plac był kłębkim włóczki, z którego ktoś powyciągał kilka końców, a każdy z nich prowadził w inną ulicę: 3 Maja, Młyńską, Pocztową, św. Jana, Staromiejską, Warszawską, Teatralną, Korfantego, Mickiewicza...

Tak, kolega Nałęcki zdecydowanie kojarzył się profesorowi Bukowińskiemu z kotem. Czy kot z Cheshire, postać z *Przygód Alicji w Krainie Czarów*, nie uśmiechał się podobnie i nie zadawał tylu pytań?

– Z agory, mój drogi, z agory – poprawił go z rozradowaniem socjolog. – A znasz lepsze miejsce, gdzie można ich łapać?

– Dobra, już nie marudź. Idziemy.

– Redaktor prowadzący to mój stary kumpel. Im nas więcej, tym lepiej, uwierz mi. W takim razie kierunek Grunwald! – zagrmiał Nałęcki. – Znasz tę anegdotę o mędrцу, którego filozofia życiowa, za przeproszeniem, wzięła w łeb?

Rozmawiając o szczegółach czekającego ich panelu, weszli w Mickiewicza, skąd tonąc w rzece ludzi, skierowali się prosto ku galerii Supersam. I to właśnie tam, na przedpolu najbardziej ruchliwego w mieście skrzyżowania, miała miejsce mała potyczka. Obiektywnie rzecz biorąc – gdyby nie kolega Nałęcki i jego refleks, profesor Bukowiński byłby jedynym poległym...



Lulek już się niby nie gniewał, ale wciąż był nieco rozkojarzony i choć uśmiechał się po swojemu, widać było, że jego myśli wędrują w rejony dla niektórych zamknięte na sześć spustów – Tosia miała przy tym nadzieję, że po tych rejonach jej przyjaciel nie prowadzi się za rękę z Gošką.

– Chyba zaczęłam chodzić – oznajmiła, obserwując, jak Lulek przygotowuje produkty do owsianki.

– Rozumiem. Do tej pory się czołgałaś?

– Do parku zaczęłam chodzić, młotku! Medytacja, ruch. Nienawidzę ćwiczyć, te wszystkie przysiady, skłony, coś obrzydliwego. A chodzenie to jak ćwiczenie, ale nie musisz się tak pocić i wysilać, i ze sobą walczyć – tłumaczyła, a Lulek zaczął trzeć jabłko, po czym sięgnął po olej kokosowy i dodał łyżkę do garnka. – Po prostu chodzisz, a wokoło zieleń. I masz przyjemność. A jak nie robisz czegoś przyjemnego, to szybko to rzucasz... Zrobisz ortodoksyjną?

– Hę?

– Owsiankę. Bez orzechów, rodzynek i czekolady. Bo czasem robisz lewacką.

Udało się, Lulek w końcu zdobył się na zdziwiony uśmiech.

– Z czekoladą jest lewacka?

– Yhm. Wszystko do jednego gara, różnorodność. Ja nie mam nic przeciwko w życiu, ale czekolada ma mnóstwo kalorii... – Tosia już chciała sięgnąć po aplikację, ale ostatnio sięgała, chcąc rozwikłać kwestię lodów i wiadomo, jak to się skończyło. Telefon przypomniał jej, że obiecała coś profesorowi Bukowińskiemu. – Mogę włączyć laptop?

– Pewnie. À propos, zabrałaś rzeczy od rodziców?

Rzeczy od rodziców...

– Na razie nie chcę ich oglądać.

– Rzeczy? – Lulek do niej mrugnął. – Odcinanie pępownicy to nic przyjemnego. Wiem po sobie – dodał, mając na myśli własną rodzicielkę, zresztą przemiłą kobietę.

– Od takiej mamy jak twoja wcale bym się nie chciała odcinać.

– W tym rzecz. Bo i tak trzeba.

Coś w tym było.

Tosia włączyła komputer, westchnęła rozzdzierająco, a Lulek dorzucił do owsianki odrobinę masła, starte jabłko i wcisnął do niej kilka kropli cytryny.

Zaczynało pięknie pachnieć.

– Czasem, jak ktoś bardzo chce coś zmienić, to przegina w drugą stronę – mruknął Lulek niby mimochodem, ale Tosia cała zmieniła się w słuch. – A przeciwny biegun to wciąż jakby biegun, nie? Ja bym kombinował, żeby być w ogóle POZA biegunem. Żeby się do niego wcale nie odnosić, tylko żeby się odnosić do siebie.

– My wciąż rozmawiamy o rzeczach u rodziców? O moich majtkach, notatkach ze studiów...

– Taaa. Co, na złość mamusi zostawisz tam kapcie? Pani Regina przeżyje wstrząs – zakpił. – Przecież potrzebujesz swoich kapciuszków, książek, malowanek czy tych tam do makijażu... Nawet majtek, chociaż osobiście nie miałbym nic...

– Dobrze już, dobrze! Pójdę tam – zgodziła się, choć z oporem. – Niedługo. A teraz pomóż mi napisać ogłoszenie. Mam znaleźć opiekunów dla Bobka...

Bobek jak na zawołanie stanął w kuchni, a z jego pyska wydobył się rzewny, gardłowy dźwięk.

– Diabeł wcielony, jak o tej godzinie ktoś mądry powiedział!... – Tosia potarła z frustracji czoło i zaczęła myśleć. O Igorze! Ciekawe, czy już wstał i w ogóle o której wstaje każdego dnia, gdzie pracuje... Tyle jeszcze o nim nie wiedziała. – I co ja mam w tym ogłoszeniu napisać? Słodki pupilek, nie przegryzie ci grdyki, tylko ci ją od razu rozszarpie? A z pyska śmierdzi mu jak waranowi z Komodo? Może oni są spokrewnieni, to czarne, nakrapiane podniebienie... Nietoperz i wycior do karabinu w jednym. To nie są moje słowa! – zastrzegła na wszelki wypadek, bo obaj spojrzeli na nią z pretensją. – Nie będę przecież kłamać.

Lulek zmniejszył gaz, dolał do owsianki nieco mleka, po czym podszedł do stołu i położył Tosi rękę na ramieniu.

– Bobek, ty zatkaj uszy. A ty, Tosia, może na razie to zostawisz? Czy jemu tu źle? – Skinął na psa, który szczełkał i zaczął z zaangażowaniem tarzać się po dywaniku, aż sierść na pysku stanęła mu na sztorc.

– Ty go chyba lubisz? – spytała z niedowierzaniem.

– Jak go nie lubić? To wyjątkowy zwierzę.

Tak, Bobek miał w sobie coś upiornego, a ta upiorność była tak wyjątkowa, że Tosia zaczynała się do niej przyzwyczajać, choć oficjalnie ich wzajemnych stosunków nie można było nazwać ciepłymi. Po prostu udawali, że zbyt blisko się nie znają. Za to Lulka Bobek ubóstwiał i dawał mu to odczuć na każdym kroku. I co, oddać go teraz jakimś obcym ludziom?

Zaryzykować czyjaś śmierć z obrzydzenia?

Niehumanitarne.

Temat więc niejako sam się rozmył, za to owsianka ortodoksyjna wyszła Lulkowi tak smaczna, że Tosia pochłonęła swoją porcję w kilka minut, po czym zaczęła się zbierać. Profesor Nałęcki miał dziś wywiad w telewizji, obiecała mu w związku z tym dostarczyć pewną książkę, którą zostawiła w zamkniętym na klucz biurku gabinetu.

Książka była ważna, profesor nawet wystął swojej doktorantce przypominającą wiadomość, ale pod Spodkiem był tak paskudny korek, że kiedy Tosia wpadła na wydział i zajrzała do pokoju, profesora już nie było, wyszedł. Niedobrze! Oczywiście nikt by jej za to nie powiesił, a już na pewno nie profesor, ale zawód w tych zwykle wesołych oczach... Nie można było do tego dopuścić. Na szczęście Tosia wypatrzyła profesora z okna, akurat skręcał w stronę Rawy. Chwyliła zatem książkę i za nim pognała.

Nie uszedł daleko, stał przy pasach na ulicy Szkolnej, ale kiedy ruszył, Tosia zobaczyła, że z Teatralnej wychodzi Gośka, więc sama przezornie poszukała kryjówki – za mostem znajdowało się podwórko z garażami, tam się zasyła. Nie spuszczała profesora z oczu, widziała zatem bardzo

wyraźnie, że profesor na widok Goški stanął jak wryty na pasach i chyba rozważał odwrót, ale od Warszawskiej nadciągał sznur aut, nie miał zatem wyjścia. Dotarł na drugą stronę, a światło, które zaczęło bić od Goški, było tak silne, że mogłoby zasilić elektrownię. Zaczęła profesora witać pośród głośnych okrzyków, zirytowany profesor zaczął ją żegnać wśród uciekających spojrzeń – Tosia znała już jego gestykulację, nie musiała nawet słyszeć rozmowy. W dodatku to podniesienie rąk, wymachiwanie teczką... Goška jakby nie rozumiała, dreptała przez chwilę za profesorem jak porzucony na ulicy szczeniaczek i Tosia już nawet chciała wyjść z ukrycia i ją pocieszyć, ale wtedy profesor odpałił swoje turbodopalacze i zniknął za rogiem, a Goška przystanęła, przez moment się namyślała i wtedy na jej twarzy pojawiła się złość. Najwyraźniej podjęła jakąś decyzję, w końcu ruszyła energicznie z miejsca. Teraz to ona pokonała przejście dla pieszych, minęła przyczajoną za garażami Tosię i skręciła przy Rawie w stronę rektoratu.

Tosia odważyła się wyjść dopiero po kilku długich minutach, co chwilę jednak się za siebie oglądała, bo znowu jej się wydawało, że ktoś za nią idzie, a bardzo nie chciała, żeby to była jej koleżanka. Chyba nie umiałyby przemilczeć, że Goška i Lulek... Że to się nie może udać.

Kiedy dotarła pod teatr, profesor Nałęcki mając przy sobie tle ulicy Mickiewicza, szedł z kimś, kto z postury przypominał profesora Bukowińskiego, więc Tosia przyspieszyła kroku, chwilami nawet biegła i kiedy wynurzyła się z rzędu straganów miejskiego targu, licząc, że przetnie profesorem drogę, zobaczyła ich podchodzących do światła pod galerią Supersam, a potem stało się coś...

Ludzie napływali od Stawowej zwartą i spoconą masą, każdy zły, każdy rozdrażniony upałem, a na Piotra Skargi czekała ich kolejna zaporą, kolejne światła. Przymusowo więc hamowali, cmokając przy tym z irytacji, niektórzy wzdychali albo patrzyli ponuro przed siebie, jakby za pasami czekała oaza, czekał święty spokój.

Nic takiego nie miało ich spotkać.

Po chwili było jeszcze więcej oczekujących na zielone, jeszcze więcej nastrożenia malowało się na ich zmęczonych twarzach. Choć jedna z twarzy, co Tosia odnotowała ze zdumieniem, bo właśnie poczuła ściekający jej po brzuchu pot, była zakryta czarną jednorazową maseczką! Oddech pandemii już się wyrównał, już nie był urywany i świszczący, w dodatku to zapowiadane na dziś czterdzieści stopni – to się chyba ziściło... Tylko dlatego Tosia zwróciła uwagę na mężczyznę, który poza maseczką niczym szczególnym się nie wyróżniał. Nie był ani niski, ani wysoki, ani gruby, ani chudy, ani koślawy, ale...

Dotarł energicznym krokiem do światła, a potem przebił się przez tłum i...

Z impetem pchnął profesora Bukowińskiego na ulicę, wprost pod koła przejeżdżającego autobusu!

Tosia zamarła.

Zapewne skończyłoby się to tragedią, gdyby nie mocne ramię jej promotora, który stał tuż obok. Profesor Nałęcki w ostatniej chwili osadził kolegę na miejscu uściskiem swojej silnej dłoni! Zamaskowany nawet się nie obejrzał, nie próbował przeproszać, tylko przebiegł na czerwonym i od razu wpadł do Supersamu, może nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co zaszło.

Czy aby na pewno?

Wskoczyło zielone, ludzie zaczęli się przeciskać, kotłować na przejściu, jak gdyby nigdy nic, a potem Tosia zobaczyła stojącego w pepco przy szybie mężczyznę. Kręcił głową na wszystkie strony, szukał kogoś wzrokiem, złym wzrokiem...

Nie widziała jego twarzy, twarz skrywała czarna maseczka.

Wypadek, przypadek?

Tosia sięgnęła po telefon i czym prędzej wybrała numer komisarza Marchewki. W sumie mogła się zabawić w śledczą, odszukać tamtego w sklepie i ruszyć jego śladem, ale w spojrzeniu

mężczyzny było coś tak intensywnie złowieszczonego, że kiedy wyobraziła sobie, że te oczy się zatrzymują na niej, zaczęło jej brakować powietrza.



Zuza, żona Piotrka Marchewki, ani myślała zasypiać gruszek w popiele.  
Marchewek tym bardziej.

Dlatego kiedy tylko się zorientowała, że coś jej w zeznaniach męża nie pasuje, kiedy zobaczyła, że ten głupek zaczyna zapuszczać włosy i pręży się przed lustrem, że wraca z pracy o wiele za późno, zaczęła się zastanawiać. Diagnoza była oczywista.

Znalazł sobie młodszą!

Teraz pozostawało jedynie przyłapać Pietruszkę (tak z przekąsem mówiła na małżonka w chwilach wzburzenia) na gorącym uczynku. Bo ona żadną starą i zdradzaną żoną nie będzie. Przeprowadzi dochodzenie, zgromadzi dowody, a potem wynajmie adwokata i żegnaj, Gienia, świat się zmienia.

Niech sobie mikry parszywiec nie myśli!

W planach na razie naiwnie nie uwzględniła czynnika emocjonalnego – wizja życia bez Marchewki była wizją na tyle ponurą, że na tym etapie postanowiła nie wyobrażać sobie szczegółów – teraz zajmowało ją coś zupełnie innego.

Wytropić, udowodnić, złapać.

Usmażyć na wolnym ogniu?

Ale myliłby się ten, kto podejrzewałby Zuzę o czajenie się w krzakach – jak już tropić konkurencję, to z klasą. Dlatego Zuza najpierw się wyplakała, później jakiś czas poświęciła na obmyślenie adekwatnej kary, która miała trwać i trwać, po czym bez wiedzy małżonka wypożyczyła jego policyjny dron (w pakiecie z pozwoleniem, miała go przecież puszczać nad miastem – drona, nie Marchewkę) i zajęła się profesjonalną obserwacją.

Rudą zdziwić wypatrzyła od razu, to była znajoma Bukowińskiego, ich sąsiada. I na własne oczy Zuza widziała, jak na nią Marchewka łypał, jak przyglądał się jej nogom i jak się do niej... uśmiechał. Zresztą nie on jeden, to dziewczę wyjątkowo źle się prowadziło – wciąż otaczali ją mężczyźni! A to profesor, a to jego siostrzeniec, pan Igor, również z sąsiedztwa, potem jeszcze znajomy profesora – rosły, brodaty blondyn – potem dwaj księgarze, na koniec jeszcze taki jeden uśmiechnięty brunet z gaciami luźnymi w kroku. Skakali wokół niej jak kelnerzy, a najbardziej skoczny był oczywiście Marchewka! Wczoraj gościli się u Bukowińskiego w ogrodzie, proszę, proszę, a potem już tylko we dwójkę defilowali bezczelnie Akacją. Potem ruda przerzuciła się na towarzystwo pana Igora – Zuza pojechała za nimi swoim dostawczakiem aż pod Akademię Muzyczną – a potem znowu dołączył do nich kto?

Pietruszka, przebrzydły zdrajca!

I Zuza nie da sobie zamydlić oczu, że ruda podfruwajka to ważny świadek, bo Marchewka oczywiście tak próbował się bronić.

Nie, ona widziała ten wzrok.

Tak się nie patrzy na świadka, tak się patrzy na kobietę.

Że niby teraz ją poznał? A kto go tam wie. A może przed rudą była blondynka? Na przykład ta jego koleżanka z pracy, Jadźka – to przecież on nalegał, żeby przeniosła się z wydziału narkotykowego do nich. Od kilku miesięcy jej małżonek zniknął po pracy, zamiast wrócić do domu jak przyzwyczajony człowiek. Włosy zapuszczał? Zapuszczał. Kupił nowe dzinsy i kilka koszulek? Kupił. Zaczął się nawet depilować poniżej pasa i to już był szczyt. I gdyby chociaż ona miała w związku z tym szczytem swoją własną korzyść – to nie, Marchewka stracił w sypialni cały dotychczasowy

zapał (argument koronny!) i jeśli cokolwiek w alkwie zapalał, to było to wyłącznie światło. A w Zuzie dla odmiany światło zaczynało gasnąć, bo nigdy by nie przypuszczała, że taki wierny i lojalny przyjaciel, człowiek takiego formatu...

Że Marchewka ją tak zawiedzie.

Dlatego nawet nie słuchała jego kłamliwych tłumaczeń (próbował jej też wmawiać, że jeździł po pracy na siłownię), za to całą swą energię poświęciła dochodzeniu. Po wczorajszym dniu już wiedziała, że ruda siksa mieszka na osiedlu Tysiąclecia, a dziś się okazało, że pracuje na Uniwersytecie Śląskim. Zuza przezornie zaparkowała w pobliżu uczelni i kiedy zobaczyła, że tamta wybiega z budynku, dyskretnie ruszyła jej tropem, a na Teatralnej już się nie patyczkowała, puściła za nią drona.

W pracy śledczej najlepiej sprawdza się...

Polot.



Podobno marchew gotowana ma więcej kalorii niż surowa – Tosia, czekając na Marchewkę i przechadzając się przy budkach z zieleniną, poczuła taki głód, że rozważała różne opcje. Tak, miała nie podjadać, ale jeśli schrupie coś lekkiego, a przy tym przyspieszającego trawienie, jak na przykład jabłko?

Chociaż marchewka ma mniej kalorii.

W dodatku jej też wcale nie trzeba obierać, wystarczy umyć...

– Jestem! – zameldował komisarz, stając na baczność przy Tosi i Tosia miała przez moment nieodparte wrażenie, że jej myśli zyskały konkretny wymiar. – Można się ugotować w tym ukropie... – dodał w udręczeniu. – Gdzie go pani widziała, proszę mi wszystko opowiedzieć, tylko może zmienimy scenografię.

To był rozsądny pomysł.

Najbliższy cień, który obiecywał chwilę spokoju, znajdował się przy Rynku, wśród platanów, które zasadzone były niby niedawno, a już zdążyły wrosnąć w miejski krajobraz. Usiedli na ławeczce i komisarz wysłuchał relacji Tosi, ale kiedy słuchał, patrzył wszędzie dookoła – na dogorywające w słońcu palmy, na leżaki, na brodzące w fontannie dzieci – ale nie w oczy świadka.

– Panie komisarzu... – Tosia zastanawiała się właśnie, jak wyartykułować swoje obawy, i postanowiła, że wyartykułuje je bezpośrednio. – Znowu jestem o coś podejrzewana? Może według pana opowiadam zmyśloną historyjkę? Ale przecież można sprawdzić kamery, na pewno są jakieś w sklepie.

Komisarz w końcu się przełamał, spojrzął jej badawczo w twarz.

– Co pani tu robi? – zadał pytanie tak proste, że Tosia w pierwszym momencie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Jak objaśnia się Marchewce marchew?

– Składam zeznania?

– Nie. Pytam o tę dzisiejszą sytuację. Pasy, zamaskowany mężczyzna...

– W maseczce jednorazowej. Przecież mówiłam. Biegłam za profesorem Nałęckim... Zniecierpliwiony Marchewka jej przerwał.

– Jest pani wszędzie.

A to ci dopiero głęboka myśl.

– Czyli?...

– Budka na narzędzia, napad na profesora Bukowińskiego...

– Nie było mnie przy tym – odruchowo zaprotestowała.



- Ale była tam pani zaraz po zjściu. Można powiedzieć, że otarła się pani o sprawcę.

- Ja się o nikogo nie ocierałam!

- Wypadek profesora pod akademią...

- Przyjechałam tam zjeść.

- I znowu znalazła się pani w tym samym miejscu i w tym samym czasie. A teraz to. Jeśli to rzeczywiście było celowe działanie, a nie przypadek.

- Ale panie komisarzu! - Tosia się zdenerwowała. - Ten facet czaił się w sklepie, a potem z niego wyglądał, czyli wiedział, co zrobił. Na pewno wiedział!

- I to jest według pani dowód na co? Bo według mnie facetowi było głupio przeprosić, ale sumienie go ruszyło i wyrzwał.

- Ja to widziałam! On go popchnął. Z całych sił! Gdyby nie profesor Nałęcki... I ten wzrok!

Marchewka zapatrzył się w aleję Korfantego - na jej końcu srebrzył się Spodek, jego owalny kształt majaczył w rozgrzanym powietrzu, drgał, co wyglądało tak, jakby obiekt dopiero co dotknął ziemi i był jeszcze gorący od wysiłku związanego z lądowaniem.

Poza tym trwała najzwyczajniejsza środa.

Ptaki ledwo tu otwierały dzioby, słychać było tylko ich pojedyncze trele, za to samochody dary się pełną gębą, podobnie dzieci bawiące się przy fontannie, z tym że gardła dzieci wygrywały ze stalowymi gardłami samochodów. Na przystanku obok teatru czyhali pasażerowie, zbierając się przed bitwą o wolne miejsca w tramwaju, a na ławeczkach po drugiej stronie torowiska siedzieli kilku melancholijnych osobników, których mętny wzrok dobitnie wskazywał, że spożyli już odpowiednią ilość płynów i nie była to oranżada.

- Co pani tutaj robi? - Marchewka ponowił pytanie, jakby nie zadawał go Tosi, ale sobie.

- Ja tylko chciałam dogonić profesora. Swojego. Ja tu tylko... Płaczę się w zeznaniach - dodała Tosia pod nosem, coraz bardziej zła.

- Pani Tosiu, po prostu wyciągam wnioski, szukam punktów wspólnych. A na razie punktem wspólnym ostatnich wydarzeń jest tylko jedna osoba. Pani.

I co niby miała na to powiedzieć?

Tak się składało, i tyle.

Znała profesora Bukowińskiego, znała profesora Nałęckiego, więc siłą rzeczy poruszała się w ich otoczeniu. Doktorat, pomoc przy ogrodzie, Igor, uczelnia...

- Co ja mam teraz udowadniać, że nie mam związku z UFO? - rzuciła, nie kryjąc frustracji. - Nie mam pojęcia, czemu jestem punktem wspólnym. I nie ja tu jestem ważna, ważne jest, żeby profesor Bukowiński był bezpieczny.

- To już moje zadanie. Tylko że...

- Tylko niech pan nie mówi, że policja nie ma środków.

Marchewka potarł nos, a był to nos przypominający mały ziemniaczek, z którego właśnie zaczęła schodzić skórka.

To jej wystarczyło za odpowiedź.

- I gdzie ja żyję? - zapytała w nagłym zniechęceniu i sama sobie odpowiedziała: - Wiadomo. W Polsce.

- Może nie tragizujemy.

- A to nie tragedia? Trzy wypadki w ciągu trzech dni? A policja ma to w...

- No, no, no... - Komisarz powstrzymał Tosię, którą siła artystycznego wyrazu już dławiła. Dotknął przy okazji uspokajając jej ręki. - Nie dostanę ludzi do ochrony profesora, to pewne, za dużo poszlak. Ale nie jest tak źle, na Akacjowej mamy jedno auto.

- Jedno auto? - powtórzyła za Marchewką. - Trzy wypadki?

- Spokojnie, proszę oddychać... A teraz proponuję, żeby pani wysiliła pamięć. Ten mężczyzna w maseczce, jak wyglądał?

Tu już Tosia poczuła się pewniej.

Chwilowo.

- Ani wysoki, ani niski. Ani chudy, ani gruby. Parchaty też nie był...

- I nie miał wodogłowia - uzupełnił z przekąsem komisarz, znowu zahaczając wzrokiem o sztuczną Rawę.

Woda w fontannie miała imitować prawdziwą rzekę, która biegła pod kamiennymi płytami, a jej mokry ogon można było obejrzeć, stając na mostku za przystankiem.

- Przykro mi, ale ten facet wyglądał boleśnie nijako - wyznała przepraszająco Tosia. - Nawet nie wiem, jaki miał kolor włosów, bo zakrywała je czapka z daszkiem. Czarna. I chyba był ubrany na szaro, zlewał się z tłumem. Oczy też nijakie. Był za daleko, nie umiem określić, czy były czarne, czy niebieskie, ale raczej ciemne...

- Taaak - podsumował filozoficznie Marchewka. - No nic. Na razie może nie mówmy profesorowi o tym, co widziała pani na pasach, dobrze? Nie chcę go bardziej denerwować. Zwłaszcza po tym, co wynikło z oględzin roweru...

- A co wynikło? - Tosia bardzo chciała się dowiedzieć i komisarz, choć niechętnie, ale podzielił się z nią opinią specjalisty, po czym wstał i zaczął się żegnać.

- Na Akacjowej czuwamy, ja też będę miał na mojego sąsiada oko. A zaraz sprawdzę kamery w Supersamie i miejski monitoring. Może to coś da. A widziała pani, jak ten mężczyzna wychodził ze sklepu?

- Nie. Cały czas stałam przy budkach z warzywami i patrzyłam dyskretnie, ale z tej strony nie wyszedł. Może wymknął się z drugiej strony.

- Może tak.

Nagle Tosię tknęła pewna myśl.

- Panie komisarzu, chciałam zgłosić coś jeszcze. Może to głupie i pewnie znowu mnie pan wciągnie na czarną listę podejrzanych o Bóg wie co... Ale wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Nawet teraz mam wrażenie, jakby ktoś na mnie patrzył. Z góry. Zupełne wariactwo, nie?...



Przypadki chodzą po ludziach, a czasem nawet po samochodach - jeśli przyjąć, że świat to chaos i nic nie jest tu celowe. Jeśli jednak patrzeć na świat tak jak Lulek, trzeba uznać, że w świecie, który przypomina wielkie pudło puzzli o niepoliczalnej liczbie elementów, wszystkie zdarzenia do siebie pasują, nikt nie jest sam i wspólnie tworzymy obrazek, który w dodatku może się w trakcie układania zmieniać.

Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że kumpel Lulka, młody i zdolny przedsiębiorca, właściciel sieci salonów barberskich, miał na sprzedaż ten sam model porsche, którym jeździł gogus z Akacjowej? Tylko kolor wozu był inny, co akurat Lulka niezmiernie bawiło, auto było...

Białe!

Biel - czerń, dobro - zło.

To się nazywa strzał w dziesiątkę!

Oczywiście Lulek nie uważał się za aniołka, Boże broń, ale pewne analogie same się przy tym zestawieniu barw nasuwały. Kumpel z wczorajszego telefonu w środku nocy szczerze się ucieszył, bo nigdzie się nie ogłaszał, myśl o sprzedaży samochodu dopiero w nim kiełkowała, z czego zwierzył się Lulkowi niecały tydzień temu. A wiadomo, że jak sprzedawać auto, z którym wiążą się wspólne chwile, wspólne wycieczki i uniesienia, to komuś, kto je doceni i uszanuje.

Szczerze mówiąc, Lulek wydał się znajomemu kupcem wymarzonemu, czego ten nie krył i ustalił cenę, która zadowoliła ich obu. Lulek poczekał zatem, aż Tosia wyruszy na uczelnię (znowu nie chciała podwózki, pewnie przyzwyczajała go do nowych zwyczajów), po czym sam udał się do Gliwic dogadać szczegóły. Wycieczka zakończyła się nie tylko dobieciem targu, ale... Kumpel po wszystkim siłą oddał go w ręce swojego najlepszego barbera i po godzinie najrozmaitszych zabiegów Lulek sam siebie nie poznał!

Kłaki za uszami czochrane w chwilach intensywnych rozmyślań, zarost wchodzący z szyi na klatę... To wszystko zniknęło. Z lustra spoglądał modnie obcięty facet z bródką, może nawet odrobinę niebezpieczny, może tajemniczy, ale na pewno facet przez duże i atrakcyjne F.

– Teraz tylko gajerek, stary, koszula, nowe buty i wymiatasz! – ocenił znajomy, ale Lulek nie znosił gajerków, nie znosił koszul, a najbardziej nie znosił sznurowanych pantofelków, natomiast sam pomysł, żeby ten nowy look miał teraz nową oprawę...

To miało sens.

Podrzucił zatem Bobka swojej rodzicielce (na szczęście oboje przypadli sobie od razu do gustu), a sam podjechał do Silesia City Center. Tam poprosił o fachową pomoc w sklepie z odzieżą, który od razu mu się spodobał, bo ubrania wyglądały nowoczesnie, ale nie miały w sobie nadęcia, po czym zrobił największe zakupy ubraniowe w swoim życiu. Gdyby grał w hokeja, z pewnością wyszedłby stamtąd zaopatrzony w tematyczne kalesony, choć cenowo tragedia, wydał fortunę.

Ale czy on na łożu śmierci będzie wspominał masło kupione w biedronie? Albo dębowe panele, które zamówił w Barlinku? Czy nawet skarpetki wybrane w Armanim? Nie, kupując to wszystko, można mieć co najwyżej przeżywkę, i to tylko przez jakiś czas.

Przeżywał to on będzie natomiast coś zupełnie innego.

A żył będzie pełną piersią, a nie piersią kurczaka.

Zatem srał pies kasę, pieniądze są po to, żeby je wydawać, nie po to, by się nimi zadrećcać – swoją drogą zadrećcać się nimi można, czy się je posiada, czy nie. Ale skoro się zapracowało na wędkę, to lepiej cieszyć się z jedzenia ryb niż się tą wędką chłostać.

Ciekawa była natomiast reakcja Gośki na tę jego metamorfozę.

Kiedy przybył na umówione miejsce, Gośka najpierw go nie poznała, a potem...

– Jezus, Lulek! – zawołała, kiedy zrozumiała, kto się właśnie przed nią teatralnie ukłonił.

– Ale ja dzisiaj jestem sam, bez Jezusa – bąknął.

– To ty?! Ale o co kaman w ogóle?! Boże, jak ty wyglądasz! – Gośka zakryła usta wypielęgowaną dłonią o tak długich paznokciach, że Lulek zaczął się zastanawiać, czy przy tym ułożeniu ręki biedactwo nie przebijie sobie bębenka w uchu, ale nie przebiła. Zaczęła się tą ręką wachlować. – To jest pełen szok!

Czy dotąd wyglądał aż tak źle?

– No ja myślę, że pełen. Nie przywitasz się ze mną?

Miał raczej na myśli to, żeby już zeszli z tego mało wdzięcznego tematu, ale najwyraźniej Gośka chciała na niego dopiero wejść – rzuciła mu się na szyję, zaczęła go ścisnąć, śmiać się w głos, obejmować go z tak widoczną ulgą, jakby spodziewała się zobaczyć żuła, który wygrzebał w śmietniku używany czajnik, a stanął przed nią...

Olivier Janiak?

– Nigdy bym nie... Co za niespodzianka, no wiesz! Lulek, ty jesteś teraz niesamowite ciacho.

– Ciachem to byłem chyba zawsze, tylko takim Nielukrowanym – próbował żartować, ale czuł się dość nieswojo. Może musiał się przyzwyczaić, ale jeśli ten nowy Lulek miał wzbudzać zainteresowanie tylko dlatego, że ktoś naszył mu na bluzkę metkę Lacoste albo dlatego, że ktoś go ogolił i ostrzygł... Chyba nie do końca mu się to podobało. – To znaczy zawsze czułem w sobie ten drzemiący cukierniczy potencjał.

- Cukierniczy?

- Ciacho...

- Tak, ciacho. I to jakie ciachooo! – ekscytowała się Gośka. – Boże, nie wierzę! Ale czemu ty się do tej pory ukrywałeś?

On się ukrywał?

- Wiesz, te roje rzucających się na mnie kobiet... – puścił wodze fantazji, a tak naprawdę zaczynał się chyba lekko nudzić, i to już na początku spotkania! Postanowił zatem rozluźnić atmosferę szczyptą dowcipu i autoironii. – To takie krępujące. Musiałem się jakoś oszpecać. Ten podziw... Ta ciągle skupiona na tobie uwaga...

Gośka wygładziła na piersiach bluzkę.

- Na mnie?

Nie, dowcip i autoironia jako koło ratunkowe odpadają, Lulek od razu się poddał i doszedł do wniosku, że kino będzie najlepszym rozwiązaniem. Na parkingu rozegrał się tymczasem drugi akt komedii – Gośka na widok porsche przeskoczyła z poziomu asfaltu na poziom wzniosłości i niemal orbitowała. Teraz już w ogóle się od Lulka nie chciała odkleić, całą drogę do kina wisiła mu na ramieniu. W kinie komedia skończyła się jak nożem uciętą, zaczęła się za to tragedia. Kupili bilety, ale wybrany film okazał się cikliwym romansidłem i Gośkę zdecydowanie porwał klimat – zaczęła się domagać pocałunków, a kiedy Lulek nie reagował na jej sugestie manualne (mizianie za uchem)...

Zaczęła go lizać po szyi.

Lubił lizanie po szyi.

I im dłużej Gośka wiała się na fotelu, a potem na nim, tym myśl o Tosi stawała się w Lulku bledsza i bledsza... Przeważyla myśl o pajacu przy jej boku i do końca filmu spędzili z Gośką nawet miło czas.

Tyle że Gośka nabrała ochoty na więcej.

I tu już pojawił się problem, bo Lulek lubił wyzwania i jeśli czegoś sobie nie zdobył, nie zapracował, nie wydrapał pazurami i się nie natrudził, to miał idiotyczne poczucie, że dostał coś za darmo, i czar pryskał.

Gośka na narożniku w mieszkaniu zachowywała się inaczej, ta odrobina pikantnego dystansu zaostrzała apetyt i obiecywała ucztę, ale kiedy odległość gwałtownie się skróciła, kiedy Lulek miał wszystko podane na tacy i taca sama podjeżdżała mu pod nos...

- Jedziemy do ciebie czy do mnie? – Jego towarzyszka zażądała konkretów, kiedy tylko wyszli z kina, i Lulek zwątpił.

Napięcie jak podczas tygodnia szwedzkiego w lidlu.

- Jedziemy do profesora Bukowińskiego – odparł, bo taka odpowiedź była najbardziej dyplomatyczna i przy okazji zgodna z prawdą. – Muszę mu podrzucić rower, ten z tyłu... Przy okazji odbierzemy Tosię.

Zawód w oczach Gośki był tak monstrualnych rozmiarów, że chyba nawet rozważała, czy się nie obrazić.

- Tosię?!

- Tosię Biczak, twoją przyjaciółkę. Tak przynajmniej o niej do tej pory mówiłaś.

- Wiadomo, że przyjaciółkę... Ale czemu akurat teraz musisz odwozić jakiś rower?

- Obiecałem. Mogę cię odwieźć do domu, jeśli masz inne plany.

Gośka zmieniła nagle zdanie i wsiadła do samochodu, ale zachwycona nie była, co manifestowało się w skrzywieniu nadąsanego dzióbka.

- Dobrze, skoro obiecałeś... W sumie to mam do Tosi sprawę.

Na tym stanęło.

W czasie jazdy za wiele ze sobą nie rozmawiali, uraza wisiała w powietrzu, ale Lulek wyszedł z założenia, że takie duże dziewczynki potrafią sobie radzić psychicznie z czymś tak małym jak zmiana planów, i urazy nie brał do siebie. I rzeczywiście, kiedy dotarli na Akacjową, która o tej porze tonęła w różowawym zmierzchu, i ten zmierzch musnął różem najpierw maskę białego porsche, później maskę czarnego porsche, bo tak się szczęśliwie złożyło, że kiedy podjechali, pan goguś właśnie też parkował...

Gośka zapomniała o pretensjach.

Znowu cała się rozświetliła i to sprawiło, że zmierzch zyskał konkurencję. Urody nie można jej było odmówić.

– Tosia?! – Na widok wysiadającej z samochodu przyjaciółki na chwilę zrzedła jej mina, ale ze wszystkich sił starała się tego po sobie nie pokazać. – Nie mów! Kto to jest? – wycelowała pytanie w Bogu winnego Lulka.

– Ten figo-fago za kierownicą? Do tej pory mi się nie przedstawił.

– Co ona tu robi? I kim jest ten facet?! – gorączkowała się Gośka, ale radości ze szczęścia przyjaciółki raczej nie można było w tym wyczytać.

A Tosia, niestety, wyglądała na szczęśliwą.

– Zapytamy? – podchwycił i też wysiadł, bo inaczej zaczęłyby gryźć tapicerkę.

Nad ich głowami latały dość nerwowo chmury jerzyków, jakieś ptactwo gruchało w ogrodzie profesora, też jakby zirytowane, i Lulkowi zaczynało się udzielać napięcie, ale właśnie czy nie tego chciał? Zajechać nową, IDENTYCZNĄ bryką przed bryką tamtego, zagrać mu na nosie i obserwować, jak wykańcza go jego własne ego?

W tym scenariuszu nie uwzględnił natomiast jednej rzeczy...

Tosia była szczęśliwa – tłukła mu się po głowie natrętna myśl i kiedy patrzył z boku na iskiereki w jej oczach, wiedział, że właśnie został znokautowany. Bo jeśli ona jest szczęśliwa, to w zasadzie nie miał więcej pytań.

Chciał, żeby była szczęśliwa.

Nawet z kimś innym.

Na szczęście uwaga tamtej dwójki była skoncentrowana na Goście – ta zaczęła się wylewnie witać i gruchać niemal w tym samym tonie co ptaszka na podwórku profesora.

Słodko, ale z nutą goryczy.

– Tosia, a ty tu skąd?! Jak pięknie wyglądasz... A ten pan to kto? Czemu nas nie przedstawisz, no proszę cię! W ogóle to jakaś masakra. Takie spotkanie... Jak miło was widzieć!

Ten sztuczny szczebiot dał Lulkowi chwilę; mógł ochłonąć. Dopiero kiedy wyrównał oddech, podszedł do tamtych i z całą swobodą, na jaką go było stać, rzucił na powitanie:

– Hejka! Ja z rowerem... I z Goską – dodał.

Oczy Tosi na dźwięk jego głosu...

Ona też go nie poznała!

W jej oczach nie było już skrzących się iskierki. Pojawiły się za to kolejno: konsternacja, ośnienie, zdumienie, wstrząs, niedowierzanie, szok. A na koniec...

Złość.

Tosia była wściekła.

Za to goguś, kiedy już do niego dotarło, że rzeczywistość może być heterogeniczną formą subiektywnej fikcji, otworzył cacaną gębusię tak szeroko, że wszystkie jerzyki z Akacjowej mogłyby tam uwić gniazdo i wyżywić z resztek między zębami młode, po czym zdobył się na wysublimowany komentarz:

– To znowu ten fiut?!

I nie da się ukryć, Lulek poczuł się ciut chujowo.

Nie z powodu tego pustego dzbana.

Z powodu Tosi.



Buciki na obcasach, sukienunia i wyłożenie ze skóry tylko po to, żeby się spodobać mężczyźnie – Tosia rozmówiła się ze sobą po powrocie do domu i wyszło jej, że nie ma na podobne bzdury więcej ochoty. Co innego gdyby sama miała z tego radochę. Ale zamiast radości czuła napiętą do wytrzymałości żyłkę w tyłku, a od takiej napiętej żyłki łatwo się nabawić hemoroidów, więc postanowiła spasować.

Ubrała się na spotkanie z Igozem w zwykłe krótkie spodenki, kulę dziczy na głowie przewiązała fantazyjną opaską z kokardą, na nogi włożyła trampki, i gotowe. Jeśli nie podoba się Igorowi taka, jak jest na co dzień, swobodna i trochę niedbała, to niech to się w końcu rozstrzygnie. Bo można się stroić dla faceta dzień, dwa, trzy, można się przeobrażać z poczwarki w motyla, stawać się z brzydkiego kaczątka łabędziem, ale na Boga, nie kiedy na zewnątrz jest czterdzieści stopni w cieniu! Od gorąca topił się Tosi mózg, topił się jej podkład, topiły się w niej pokłady cierpliwości i na żadne wystąpienia aktorskie w pełnym słońcu nie miała siły. Nie mówiąc o tym, że jak człowiek pilnuje wizerunku, to traci się gdzieś autentyczność.

Ale pomyśl, żeby spacer zastąpił ćwiczenia, pierwsza klasa!

Tu nie musiała ze sobą walczyć na każdym kroku, jak z postem, przy każdym kroku było jej miło, mogła zostawić za sobą rozważania o matce, rozważania o Goście i Lulku, rozważania o Igorze – nie, to ostatnie sprawiło jej najwięcej kłopotu, ale jeśli medytacja polega na tym, żeby choć na chwilę wyłączyć w głowie radiowęzeł, jeśli to taki clean wash dla umysłu (zerknęła dziś do książki Lulka o zen), to proszę bardzo. Weszła do Parku Śląskiego od strony hali Kapeluszy i zaczęła patrzeć wokół, chłonąc zielone, chłonąc niebieskie, a wtedy zaczęły się dziać czary.

Zupełnie jakby ktoś otworzył przed nią krainę z napisem PIĘKNO.

I nagle zobaczyła, że każdy liść to inna opowieść i że liście mogą mieć sukienkę w ząbki albo w falbanki albo że korony drzew przypominają krynolinę – liście migoczą na zewnątrz, gałęzie podtrzymują konstrukcję od wewnątrz. Pod wpływem wiatru krynoliny się nadymały, szeleściły, a wydawany przy tym dźwięk szeptał, że jest coś większego, że tego nigdy nie można poznać i tak jest dobrze. Albo trawa – tyle zielonych szpikulców, które jednak świetnie nadawały się do tego, żeby chodzić po nich boso, i Tosia, nie myśląc zbyt wiele, rzuciła na trawę plecak, trampki i niniejszym zabawiła się w fakira. Przez kwadrans brodziła w trawie, która na początku była ciepła, ale potem od ziemi szedł tak błogi chłodek...

Na progu Igora Antonina Biczak stanęła niniejszym doładowana i chyba wciąż biła z niej dobra energia, bo Igor na jej widok się najpierw zawiesił, a potem rzucił wymowne:

– Ooo... Inaczej dziś wyglądasz.

I była w tym zawarta duża porcja podziwu.

Oraz zdziwienia.

To zdziwienie Tosię ubodło, ale nie zdążyła tego przeanalizować, Igor od razu porwał ją do sypialni, w której nie zajmowali się analizowaniem. Ale znowu pośpiech zdecydował o wyniku – Igor był wniebowzięty, Tosia pozostała... uziemiona. Co jednak było dla niej w tym seksualnym ewencie zastanawiające, to fakt, że jej wybranek zdawał się tej różnicy w ogóle nie dostrzegać! Mało tego, oczekiwali, że Tosia potwierdzi, że wniebowstąpienie było obustronne. A przecież wystarczyło się rozejrzeć i zerknąć na chmurkę obok... Żeby jednak Igorowi nie sprawiać przykrości (sobie można?), Tosia przytaknęła i odbijało się jej to czkawką niemal do końca dnia. Brzydziła się kłamstwem, a co właśnie zrobiła?

Bo będzie mu przykro...

Bo stwierdzi, że jest beznadziejna w łóżku.

Bo dojdzie do wniosku, że to on jest do dupy, i się zniechęci.

I to by było na tyle w kwestii udawanych orgazmów. Rozmowa? To jakby zwoływać międzynarodową konferencję najwyższych władz państwowych w sprawie rzuconego dwa razy na chodnik papierka. Bardzo ryzykowne. Może lepiej poczekać, aż śmieci nas zawałą? A stosunki międzynarodowe okrzepną...

Żeby już o tym nie myśleć, Tosia opowiedziała Igorowi, co widziała dziś na przejściu w centrum, i dopiero wtedy przypomniawszy sobie, że Marchewka prosił o dyskrecję.

– Tylko nie mów o tym wujowi. Komisarz mnie zobowiązał, że mam nie kłapać gębą.

Prośba wydała się Igorowi idiotyczna.

– Gliniarz prosi, żeby nie mówić, że doszło do przestępstwa?! I co jeszcze!

– Właśnie nie wiadomo, czy ten w maseczce pchnął wuja celowo. Marchewka nie chce profesora straszyc.

– Pewnie! Bo musiałyby coś w związku z tym zrobić. To jakieś przedszkole! Nie mów wujowi...

Może i przedszkole, ale skoro komuś się coś obiecało i nawaliło...

– Dobrze, że mi powiedziałaś. – Igor cmoknął ją w ramię, jakby tym samym chciał rozwiać jej wątpliwości. – Mieszkam obok wuja, będę go doglądał. Poza tym mam pozwolenie na broń, tak że sobie poradzimy, nie martw się. A, przygotowałem dla ciebie niespodziankę!

I od tego momentu wieczór przybrał zupełnie inny obrót.

Najpierw Igor, zapalony myśliwy, zademonstrował jej kolekcję swojej broni: strzelby, sztucery, dubeltówki, fuzje, czego w niej nie było, potem zaprosił ją na strzelnicę w parku, która, jak się okazało, była jego własnością!

I dopiero w tym miejscu Tosia całkowicie straciła kontrolę.

Alż strzelanie to był inny poziom wtajemniczenia!

Ciężkość broni, huk, mierzenie do celu, ta siła, ten odrzut – to wszystko było tak inne od świata, który Tosia do tej pory znała... Oczywiście nigdy nie strzeliłaby do żadnego zwierzęcia (nawet do Bobka), o człowieku nie wspominając, ale strzelectwo sportowe?! Toż to było jak nieodkryty ląd! Strzelanie tak bardzo przypadło Tosi do gustu, że przyłapała się na tym, że zachowuje się jak Gośka. Czekając na swoją kolej, podskakiwała, piszczała...

I miała cela!

Udało się jej trafiać nie tylko w tarczę, ale w niewralgiczne punkty sylwetki na rysunku i nawet Igor przyznał, że ma do tego talent. Cóż to były za upojne godziny. W dodatku na strzelnicę znajdował się sklep, można było kupić broń i Tosia aż zadrżała na myśl, że któregoś dnia...

Że któregoś dnia kupi sobie własną giwerę.

Późnym wieczorem wracali więc na Akacjonową w wyśmienitych humorach i głodni jak sto diabłów i właśnie wtedy na tę cichą i ustronną uliczkę, bez żadnego uprzedzenia i nie wiadomo skąd, spadła niczym bomba atomowa...

Gośka.

I dobrą atmosferę szlag trafił.

Tosia przyłapała się na tym, że chyba jest do Gośki uprzedzona, bo nagle zaczęto ją w koleżance irytować wszystko, zupełnie wszystko (nawet jej sztucznie młodzieżowy język), a to niemożliwe, żeby człowiek składał się tylko z wad, każdy ma w sobie coś dobrego. I taka irytacja to sygnał. Jasne, czasem ludzie są jak lustra i jeśli nas coś irytuje, to właśnie temu warto się przyjrzeć, odbicie w lustrze może pokazywać nas samych, paskudnych. Ale czasem taka irytacja to po prostu znak, że coś wcale dobre nie jest. I że ktoś regularnie wchodzi z kopytami tam, gdzie nie powinien.

Tylko która irytacja jest taka, a która owaka?

- Tosia, a ty tu skąd?! Jak pięknie wyglądasz... A ten pan to kto? Czemu nas nie przedstawisz, no proszę cię! W ogóle to jakaś masakra. Takie spotkanie... Jak miło was widzieć!

Tosia dała Goście na starcie znajomości sto punktów, teraz była na etapie permanentnego odejmowania, to na pewno. Ale czemu ta cholerna Gośka tak STRZELAŁA oczami do Igora, a Igor, jak ten ludzik na tarczy, podjeżdżał po strzelaniu coraz bliżej i bliżej?

I co to za koleś, który jej towarzyszył?

Wysoki, ładnie zbudowany brunet, starannie przystrzyżony, bródka niby wypielęgowana, ale ręce nonszalancko zawieszono w kieszeniach, jakby nic go nie obchodziło, a przecież typał w kierunku Tosi! Pomimo modnego ubioru biło z niego jakieś magnetyczne nieokiełznanie, dzicz jakaś przemożna i pociągająca, jakby nie był mężczyzną, ale łakomym niedźwiedziem i ten niedźwiedź obiecywał, że ją zaraz pożre i że z nim to tylko w Bieszczady i tam, na szlaku, wejdą na niejednego zalesionego wzgórek...

Tosię ze zdumienia aż ścisnęło w żołądku.

Sposób, w jaki facet wpatrywał się w zawieszono nad ulicą chmury...

- Hejka! Ja z rowerem... I z Gośką.

Czy ona jest na Akacjowej, czy wciąż na strzelnicy, bo chyba coś jej się pomyliło, to nie mógł być...

Lulek?!

ALEŻ TO BYŁ LULEK.

Nowy Lulek, inny Lulek, Lulek...

Obcy.

I czemu on tak wygląda, co on ze sobą zrobił, jak mógł, jak mógł jej zabrać...

Przyjaciela?

Kogoś tak swojskiego, miłego, znanego, kogoś, do kogo mogła przyjść zapłakana nawet o drugiej w nocy i wiedziała, że Lulek bez słowa wyrzutu zwlecze się z łóżka i robi jej kakao.

Gdzie on jest?

I co teraz będzie?

Do tej pory, kiedy szła z nim ulicą, czuła się trochę jak wolontariuszka z fundacji, która wyprowadzała na spacer podopiecznego, tak Lulek wyglądał niechlujnie, swobodnie i, jak by to ująć, oryginalnie. Wcale jej to nie przeszkadzało, już się przyzwyczaiała, a jeśli ktoś chciał oceniać Lulka po wyglądzie, jego sprawa.

Ona wiedziała, z kim się przyjaźni.

Ale czy w takim razie sama go teraz nie oceniała po wyglądzie, tylko jakby na odwrót? I czy Lulek nadal był Lulkiem czy podjaranym własnymi mokasynami koleśkiem i co to w ogóle było za auto, przecież wyglądało dokładnie tak samo jak auto Igora, tyle że było białe.

Jak kość.

Ta biel, ten samochód stanął Igorowi kością w gardle, to było widać i słyszać.

- To znów ten fiut?! - padło z ust Igora i padło też coś Tosi w środku.

Bateria?

Jeszcze przed chwilą zalewała ją potężna fala wściekłości, teraz wygrała lojalność. I Tosia już nie zamierzała dłużej milczeć, zamierzała powiedzieć Igorowi to i owo, bo jak śmiał tak się wyrażać o jej przyjacielu?

Jak się jednak zaraz okazało, Lulek nie potrzebował niczyjej pomocy.

Jednym susem znalazł się przy Igorze i podstawił mu pod nos szczelnie zwiniętą pięść, po czym wycedził:

- A co, spojrzaleś właśnie w boczne lustro?



Z pewnością doszłoby do mordobicia, gdyby w tej samej chwili nie zdarzyły się dwie rzeczy: przerażona Gośka zaczęła nagle wykrzykiwać, że ma sprawę do Tosi – to akurat obaj nastroszeni panowie zamierzali zignorować i dokończyć rozmowę na boku – a przed bramę wyszedł profesor Bukowiński, który, o dziwo, od razu Lulka rozpoznał, wesoło się z nim przywitał i spytał o rower.

Obecność profesora podziała na towarzystwo otrzeźwiająco.

Choć Igor nadal zachowywał się, jakby był pijany. Zobaczywszy, że Tosia patrzy na niego jak na pajaka w nowo zakupionej wannie, zaczął w natchnieniu z wujem żartować:

– Wuju, to ty jeszcze żyjesz?

Profesor Bukowiński poprawił włosy, a jego zawadiackie spojrzenie, którym objął kręcącego się w miejscu siostrzeńca i wciąż rozemocjonowanego Lulka, mówiło, że jeszcze jakiś czas zamierza spędzić wśród żywych.

– „Bezmyślnym życiem żyć człowiekowi nie warto”. Platon. Za Sokratesem.

– Aha. Bo tutaj koleżanka mi przekazała kolejną niewesołą nowinę. Dzisiaj podobno był na wuja zamach na świątłach w centrum.

Profesor poprosił Igora, żeby rozwinął myśl, a Tosia nie wiedziała przez moment, co ją dotknęło bardziej. Słowo „koleżanka” czy to, że ktoś poproszony o przysługę zrobił rzecz dokładnie przeciwną. Koleżanka czy zawiedzione zaufanie, koleżanka...

Tak, nie była mu w stanie darować tej koleżanki.

Nie było takiej opcji we wszechświecie.

Te wszystkie „nie”, kiedy chciała powiedzieć „tak” i to dzisiejsze „tak”, kiedy należało odważnie powiedzieć „nie” – partykuły ją pokonały.

– Taką jestem dobrą KOLEŻANKĄ, że przekazuję nowiny, które ktoś podaje dalej, choć nie powinien – oznajmiła, żeby niektórzy wiedzieli, o co ma żal, po czym spojrzała na Lulka, spojrzała na Gośkę i wyciągnęła telefon. Zamierzała zamówić taksówkę, ale Lulek jej na to nie pozwolił.

– Chyba nie dzwonisz po taksę? Daj spokój, przecież jedziemy w tym samym kierunku.

– Ja już nie wiem, jaki jest twój kierunek – rzuciła, posłusznie usadowiła się jednak na tylnym siedzeniu.

Z przodu usiadła Gośka!

Lulek wyjął z bagażnika rower i przekazał go właścicielowi, a Igor stał z nabzdyczoną miną koło swojego domu, nawet nie próbował Tosi zatrzymywać.

Gośka nie spuszczała za to z niego swojego błękitnego oka.

– To twój facet? – spytała dość obojętnie, ale aż dziw, że nie złapał jej kręcz szyi, tak nią operowała.

– A wygląda na takiego? – odburknęła Tosia, było jej wszystko jedno.

– Faktycznie, nie wygląda.

Godna pochwały szczerość.

– To masz odpowiedź.

– Tosia, przecież ja cię chciałam o coś prosić! – W jednej chwili Gośka przestała się zajmować przystojniakiem za szybą, a całą swoją uwagę skupiła na osobie koleżanki. – Nie chciałam wcześniej zapeszać i nic nie mówiłam, ale... NAPISAŁAM KSIĄŻKĘ!

Jeśli spodziewała się, że w odpowiedzi rozbrzmi w porsche śpiew aniołów, dźwięk trąb czy chóralna pieśń, mogła spokojnie czekać dalej. I to opisać. Z brzucha Tosi dobyło się jedynie przenikliwe burknięcie.

– Kucharską? *Na dnie gara?* – mruknęła niezbyt głośno.

– No mówię ci, książkę. Prawdziwą! Ja! Masz pojęcie?

I proszę, jeśli ktoś chce zabłysnąć, już nie musi się tarzać w brokacie, wystarczy debiut pisarski.

– Nie mam pojęcia.

- I wiesz, już ją skończyłam i będę teraz wysyłać do wydawnictw, ale... Może byś do niej zajrzała? Trochę poprawiła, wygładziła... Nie ma błędów, przecież wiesz, że mam lekkie pióro. I już mi nawet twój promotor obiecał polecijkę!

- Co ci mój promotor obiecał?!

- To jest powieść taka niby miłosna, wiesz, ale, *hello*, pisać tylko o miłości? To by było płytkie! Taki trochę klimacik społeczny się tam pałęta czy coś...

Tosia myślała, że śni.

Czy otaczają ją ludzie, którzy nagle stają się kimś zupełnie innym?

Igor staje się zdrajcą, Gośka pisarką, a Lulek...

Już w ogóle nie wiadomo kim.

- No polecijkę. Takie reklamowe pitu-pitu z tyłu, na okładce. Że to zarąbista książka, że głęboka treść...

- A profesor Nałęcki już to czytał?

Entuzjazm w Goście zaczął nagle jakby opadać, ale tylko jakby. Po chwili przyszła pisarka i autorka bestsellerów nabrała powietrza i z wiarą we własny geniusz znowu parła do przodu.

- Właśnie o to chodzi, że powiedział, że bez czytania to nie bardzo. Mniej więcej dokładnie tak. I jakbyś na niego wpłynęła... On cię bardzo lubi. Jak ty mu powiesz, że to książka przyjaciółki, że to jest świetne...

- Czyli mam ci zredagować książkę i jeszcze przekonać profesora Nałęckiego...

- Mogłabyś?! - zagruchała.

Tosi nie chciało się wierzyć, ale może należało uwierzyć i przestać zawsze, ale to zawsze być tak gadzio uprzejmą i w końcu zamiast brwi podnieść głos? A co, jeśli niektórzy na jej uprzejmość zwyczajnie nie zasługują, a uzasadniona, wyrażona żość przynajmniej nie zostanie we flakach i nie będzie tych flaków kąsać, skoro kąsanie należy się komu innemu? I jeśli jest coś takiego jak nieuprzejmość obronna? A w każdym razie powinno być...

- Nachyliš się? - poprosiła, a kiedy Gośka z wdziękiem poprawiła anielskie włosie i nadstawiła ucha, Tosia zrobiła głęboki wdech i z całych sił, naprawdę z całych sił, wrzasnęła:

- Neeee. Nie mogłaaabym!

Tak. Ta ciemna i ciasna nora pod zbutwiałym drzewem - Tosia w końcu ją znalazła i wyciągnęła siebie stamtąd ledwie żywą: wymemłaną, upapraną ziemią i mchem, z liśćmi we włosach, ale wciąż w jednym kawałku.

„Nie” to pełne zdanie.

Jak wspaniale było je wreszcie wypowiedzieć!

Goście natomiast od tego wrzasku oczy stanęły w ślup, a potem na wszelki wypadek wyprysnęła z samochodu, omal nie wpadając przy tym Lulkowi pod nogi.

- Co wy tam... - Lulek nie zdążył spytać, bo biedactwo uderzyło w spóźniony lament.

- To wariatka! Słyszałaś, jak się na mnie wydarła? I za co? Ja tam nie wsiądę! Ona jest niebezpieczna! Może ma jakiś atak... Ja nic nie powiedziałam. Wariatka totalna i koniec.

Lulek zbłądł, profesor, który obserwował zajście zza bramy, uśmiechnął się do Tosi półgębkiem, po czym zaproponował:

- To może Igor panią podwiezie? Jemu się tak w życiu nudzi...



Nie można powiedzieć, Piotrek Marchewka walczył ze sobą, żeby wrócić po pracy od razu do domu, ale siłownia pozwalała mu stanąć głową na nogi, już nie wyobrażał sobie, że mógłby bez

tego funkcjonować. Ciało pracowało, myśli gdzieś ulatywały, pot ściekał mu po plecach i pojawiało się w Marchewce kojące przeświadczenie, że wszystko jest na swoim miejscu.

I nawet jak jest źle, to jest dobrze.

Tyle że tego dobrego na razie nie widać.

Kiedy po siłowni komisarz zajechał na Akacjową i miał do wyboru: własny, pusty dom czy dom profesora Bukowińskiego – oba domy łączyło to, że małżonki gospodarzy były nieobecne – Marchewka wybrał dom profesora.

Profesor otworzył mu cały zgrzany i czerwony na twarzy.

– Proszę wchodzić, właśnie ćwiczyłem – wyjaśnił na powitanie i zaprowadził Marchewkę na znany mu taras.

– Przepraszam, że znowu pana nachodzę, w dodatku tak późno... – próbował się tłumaczyć komisarz, ale profesor mu przerwał.

– A nie ma sprawy, nawet świetnie się składa, bo coś się dziś wydarzyło i myślałem już, że mam paranoję, ale chyba jednak nie – podsumował z uśmiechem, stawiając przed Marchewką piwo. – Podobno był dziś na mnie zamach na przejściu dla pieszych?

Marchewka za piwo grzecznie podziękował.

Brał pewien specyfik na przyrost mięśni i w ulotce było wyraźnie napisane, żeby nie łączyć go z alkoholem.

– A skąd... pan wie, że był zamach? Ja wcale tak nie twierdzę! – zastrzegł od razu.

– Igor mi powiedział, a jemu powiedziała pani Tosia.

– Rozumiem. Tak, to właśnie hipoteza pani Tosi, ona uważa, że ten człowiek pana specjalnie popchnął.

Profesor już sięgał do skroni, żeby dotknąć szwów, ale zamiast tego podrapał się po wydatnym nosie. Marchewka nie trzymał go dłużej w niepewności i przekazał wszystko to, czego się dowiedział.

Widać było, że informacje wywarły na profesorze spore wrażenie.

– Powiem panu... – zaczął, ważąc każde słowo – że myślę dokładnie tak samo jak pani Tosia. Ten facet mnie mocno popchnął, a sam ruszył jakby bokiem. To było naprawdę dziwne. Oczywiście musiałem to sobie poukładać, na miejscu... Wszystko działa się bardzo szybko. Mój kolega... Profesor Nałęczki uratował mi życie. To były ułamki sekund.

– Domyślam się. Dobrze, że to tylko tak się skończyło. – Marchewka westchnął. – Sprawdziłem od razu wszystkie możliwe nagrania z kamer w galerii, a do tego utknąłem na pół dnia u kumpla w Centrum Zarządzania Kryzysowego. Przedrzeć się przez te wszystkie godziny nagrań...

– Miejski monitoring?

– Tak jest. System niby inteligentny, bla, bla, ale i tak pewne rzeczy trzeba zrobić ręcznie. Gdyby nie kumpel...

Profesor się ożywił.

– I udało się?

Marchewka wyciągnął z kieszeni wydruk.

– Można to powiększyć? – chciał wiedzieć zawiedziony sąsiad.

Sylwetka człowieka na zdjęciu była rozmazana i niewyraźna.

– To już jest powiększone. Rozpoznaje go pan? – zapytał z obowiązku komisarz, ale nie spodziewał się rewelacji.

– Nic mi to zdjęcie nie mówi. Żadnych skojarzeń – stwierdził bez wahania Bukowiński.

– Uchwyciły go dwie kamery, w centrum handlowym. Ale czapka plus maseczka... Nic nam to nie daje. Natomiast miejski monitoring... Tam zupełna porażka.

– Nie ma go na żadnym nagraniu?

- Na żadnym.

- Ale przecież w centrum Katowic, o ile wiem, jest mnóstwo kamer! - zdziwił się profesor. Marchewka też był tym zdziwiony.

Do głowy przychodziły mu tylko trzy wytłumaczenia.

- Albo facet przebrał się w łazienkę, albo szedł tak, żeby unikać kamer.

- Ale to by oznaczało, że wiedział, gdzie są!

Komisarz musiał się z tym zgodzić, tyle że znowu to zbyt wiele nie zmieniało.

- Tak, ale wykaz i rozmieszczenie kamer w centrum każdy może sobie ściągnąć z Internetu, wystarczy zajrzeć do Biuletynu Informacji Publicznej urzędu miasta.

- W porządku. Tyle że sam fakt, że łobuz unika kamer, jest znaczący.

- Niby tak - przytaknął Marchewka, choć rzadko miał w swojej pracy do czynienia z przestępcami rodem ze skandynawskich kryminałów: inteligentnymi i wyrachowanymi. Polscy przestępcy rzadko potrafili wymyślić w swojej dziedzinie proch, poprzestawali raczej na proszku do pieczenia. - Chyba że facet miał rzeczywiście szczęście, wmieszał się w tłum, wyszedł ze sklepu, a potem wsiadł do autobusu i pojechał, nie wiem, choćby do Czeladzi. Pod galerią jest centrum przesiadkowe. Wtedy możemy przeglądać monitoring w całych Katowicach i nic nam z tego nie przyjdzie. I to obstawiam.

Przejście z poziomu wyrafinowanego i zaplanowanego przestępstwa na poziom domysłów i scenariuszy science fiction sprowadziło profesora na ziemię. Odchylił się na krześle i spojrzał w błęde kropki na niebie zastępujące gwiazdy.

- Jak się nie obrócisz, z tyłu... Wiadomo co. A Gwiazda Polarna z przodu.

- Można i tak powiedzieć - zgodził się komisarz, który pomyślał właśnie, że powiedzonko bardzo dobrze obrazuje jego obecną sytuację prywatną.

Jak by się przed Zuzą nie tłumaczył, jakich by nie używał słów i argumentów, odpowiedź wciąż pozostawała ta sama.

Dupa.

Znalazł sobie dupę.

A Zuzą wciąż była dla niego gwiazdą wskazującą kierunek.

- Czyli nadal nic nie wiadomo? - podsumował smętnie profesor.

- Moi ludzie przelecieli się po najbliższych punktach dorabiania kluczy - poinformował Marchewka, który zdjęcie kluczy sąsiada zrobił wczoraj. - Ale też nic z tego nie wynikło. A właśnie, zmienił pan zamki?

Profesor pokazał na skrzynkę, z której wystawał sporych rozmiarów młotek.

- Cały wieczór się z tym bawiłem.

- Bardzo dobrze. A lista? - dopytywał Marchewka nieugięcie. - Prosiłem, żeby pan zrobił listę osób, które teoretycznie mają na obu uczelniach dostęp do pana plecaka...

- Dziś był zwirowany dzień, nie zdążyłem - wyjaśnił profesor, ale umknął wzrokiem i Marchewka musiał to odnotować.

Oby chodziło o niechęć profesora do burzenia spokoju w miejscu pracy.

Ale co znaczył spokój w miejscu pracy w porównaniu ze spokojem w domu?

Profesor to szczęściarz. Siedzi sobie na tarasie, patrzy w gwiazdy i nie musi się zastanawiać, co PRZESKROBAŁ. A Marchewka nie zawinił, a nieustannie to ostatnio wałkował.

Dlatego pał licha ulotki!

Przecież jedno małe piwo chyba go nie zabije?



Gośka się uparła i choć Lulek zapewniał, że bez problemu może zrobić dwa kursy, nie chciała o tym słyszeć. Wyszło idiotycznie – była na randce z nim, a będzie wracać...

Z pacanem z Akacyjowej!

Ale Lulek o wiele bardziej przejmował się Tosią niż swoją męską dumą, poza tym Gośka była dorosła i choć jej decyzja nie była mu w smak – odpuścił. Pożegnał się, obiecał, że zadzwoni jutro, i ruszył z Tosią do domu.

Awantura zaczęła się już w aucie.

– Co to ma być? – rzuciła naburmuszona Tosia, której dziś chyba też coś nie wyszło.

– Które?

– Auto na przykład. Gdzie dichy maszyna?

– W garażu, a gdzie ma być?

– A to? Porsche?! Serio?!

– Co chcesz? To jest działający sprzęt – odpowiedział, starając się, żeby w jego głosie nie zabrzmiała ironia. – Mówiłaś, że mam same rzęchy, więc kupiłem coś, co nie jest rzęchem. Powinno ci się podobać.

– Aha.

– Nie podoba ci się?

– Podoba. Tylko do tej pory miałeś gdzieś szastanie kasą...

– Nie szastam kasą.

– ...szpanowanie...

– Nie szpanuj!

– Nie, a te buciki, fryzurka, bródka? Aż dziw, że nie założyłeś sygnetu. Albo nie dokleiłeś sobie złotego ząbka.

– Co tak zjadliwie zdrabniasz... „Rozwalone i utyłane!” Już nie jestem utyłany i nie mam wszystkiego rozwalonego... To też źle?!

Tosia nie odpowiedziała, odwróciła głowę, nie widział jej twarzy. I w ogóle za nią nie nadązał. Najpierw żale, pretensje, potem iskierki w oczach na widok tamtego, wściekłość, jakby jej Lulek zatłukł chomika fortepianem, a teraz znowu co?

– O co ci chodzi, kobieto? – spytał już całkiem zdezorientowany.

– Koleżanka, kobieta... Pięknie, coraz piękniej!

– A kobieta to coś obraźliwego? – Najpierw zgłupiał, a potem przypomniał sobie scenę przed bramą. – Tobie chodzi o tę koleżankę, co ci nią tamten dureń przyłożył? I teraz się na mnie wyżywasz?

Nie obruszyła się na „durnia”, czyli zgadł.

– Przepraszam, Lulek... – padło niespodziewanie od strony szyby, po czym Lulek usłyszała...

Chlipnięcie?

Zjechał na pierwszy lepszy kawałek ulicy, gdzie mógł zaparkować.

– Na rączki do tatusia? – spytał zachęcająco, kiedy silnik już zgasł. A zgasł błyskawicznie, bez rżenia i pokastywania. – Albo na kolanka?

Tosia się odwróciła i z kolanek nie skorzystała, ale z rączek tak jakby – pozwoliła się objąć.

– I czemu wyjesz? – spytał, kiedy skończyła pociągać nosem, co trwało kilka sympatycznych minut.

– Koleżanka?!

Czy musiała tego gamonia wciąż przeżywać? Naprawdę musiała?

– Weź złóż zlecenie na zabójstwo – burknął, naraz bardzo zmęczony. – Albo ja to zrobię. Że słodkie słówka, tui, tui, a tu cię od koleżanek wyzywa?

Nie musiała nic mówić.

Lulek westchnął.

Co on jej ma doradzić, przecież sytuacja jest daremna. Tosia wzdycha do innego, on chciałby, żeby wzdychała do niego, i ma jej doradzać wzdychanie do tamtego?

- Albo to mnie zabij.

- Czemu ciebie? A może właśnie ciebie! Co ty ze sobą, Luluś, zrobieś, gdzie jest mój Lulek?

Dobrze, już lepiej, dużo lepiej.

- Głupia, co ty myślisz, że Lulka zmienią mokasyny ze skóry wielbłąda albo jakieś porsche? - rzucił kpiąco. - Nie ma mowy!

- Z wielbłąda?!

- Żaaarcik.

- I jeszcze go poprosiłam, żeby nie mówił profesorowi Bukowińskiemu... - Tosi znowu zaczęła drzeć dolną wargę, a nos odstawił taki taniec przy pociąganiu, że Lulek zaczął szukać w popłochu chusteczek.

- Ten jakiś zamach?

- Tak, na światłach, na Piotra Skargi. Znaczący zamach był na profesora Bukowińskiego. Najprawdopodobniej. Znaczący najprawdopodobniej zamach, ale Marchewka ma wątpliwości... Ktoś Bukowińskiego popchnął pod autobus, ale mój promotor go w ostatniej chwili złapał. I Marchewka nie chciał profesora denerwować, poprosił, żeby mu o tych podejrzeniach nie mówić.

- A ty powiedziałaś Igorowi, a on nadał do wujka? No to niezły z niego kabel - spointował Lulek.

- Jak ktoś nie umie zapanować nad jęzorem w takiej sprawie, to kiepsko to widzę. Podkabluję cię też w większej.

Tosia aż się zapowietrzyła, a potem szybko zmieniła temat.

- A ty z tą Gośką co znowu wymyśliłaś? Wy tak na poważnie? Ty i Gośka?!

- Ile pytań...

- Mogę nie pytać.

- Pytaj, pytaj.

Tak naprawdę to Lulkowi pod wpływem tych pytań zaczynało być miło. Tosia się nim interesowała, a nawet, ho, ho, może była o niego ciut zazdrosna, więc może ten wieczór z Gośką to nie był zmarnowany czas?

- Ty i Gośka... Coś was łączy?

- Coś nas łączy? - powtórzył z udawanym namysłem. - Zdaje się, że zamiłowanie do samochodów. Nie, Tosia. Gośka i ja... Ale rzesy ma fajne, musisz sama przyznać. W marcecie mogłaby na nich wynosić orzechy na wagę i nikt by się nie zorientował, a w sześć na dziewięć wyszorowałyby tymi rzesami...

- Lulek!

Gdyby nie siedział na miejscu kierowcy, stanąłby na baczność.

- Nie. Gośka i ja nie - zaprzeczył z wielką gorliwością. - Zdecydowane i kategoryczne nie. A... ty i ten... Jak mu tam...

- Igor.

- A ty i Igor? - W napięciu czekał na odpowiedź.

Ale odpowiedź była inna, niż oczekiwał, a oczekiwał chyba podobnej deklaracji, tym większe poczuł więc rozczarowanie.

- Nie wiem, Lulek. Nie wiem... Po dzisiejszym dniu już nic nie wiem... Bo skoro mnie dotknęła „koleżanka”, to chyba on nie jest dla mnie tylko kolegą?



Metamorfoza Lulka Tosią do głębi wstrząsnęła.

Całkowicie wybiło ją to z równowagi, bo Lulek był jej portem, opoką – mogło się wszystko walić, a Luluś przy niej trwał, był zawsze, czasem gadał głupoty i wkurzał, ale czasem mówił do rzeczy i Tosia mogła coś z tego wyciągnąć dla siebie. Jeśli stał przed wyborem, czy ma być wobec niej szczerzy, czy uprzejmy, zawsze stawiał na szczerłość, za co mu była wdzięczna, choć czasem miała go za to ochotę ugryźć.

Z Lulkciem...

Nigdy nie zdarzyło im się coś takiego jak *small talk*

Ich rozmowy zawsze i od razu toczyły się na którymś z głębszych poziomów, jakby od Tosi do Lulka biegła styczna, niczym nieprzecinana, do której nie trzeba się przez pół dnia dokopywać szpadlem jak do kabli na budowie.

Dwa umysły, dwa serca i bezpośredni dostęp.

Dwa serca?!

Jakie dwa serca, czemu pomyślała o sercach?!

Tak bardzo nie chciała, żeby Lulek się zmienił i stał zwykłym „konsumentem”, jak nazywała swoich rówieśników – chciała, żeby co rano nadal patrzył na chmury, żeby parzył frędzlowatą herbatę w tych swoich skorupach, żeby głądził o tu i teraz. Przecież jak Lulek zacznie stosować krem do twarzy, to ona się zabije! Czy facet ma być bardziej zadbany niż kobieta? Może ona teraz przy Lulku i Igorze jest pełnotłustym kotлетem, który stworzył w życiu tylko jedną rzecz i nie był to sos pomidorowy, ale doktorat, który przeczyta tylko jej promotor i ewentualnie jakiś szaleniak z komisji doktorskiej, bo że cała kilkunastoosobowa szanowna komisja zapozna się z rozprawą, Tosia się nie łudziła.

No dobrze, jej doktorat przeczytał też Lulek.

Trzy osoby i dzieło życia, pocieszające, doprawdy...

Trochę sobie z tego powodu i z innych powodów popłakała w drodze do domu, a w domu, w którym dziś wyjątkowo nie było Bobka, Tosią dopadła samotność. I dziwna pustka. Ale nie chciała wisieć Lulkowi na głowie, pardon – na modnie przystrzyżonej głowie! Zamknęła się w swoim pokoju, trochę poczytała o wędrownym zen i się położyła. A potem upłynęła jedna godzina, zaczęła upływać druga, Lulek już dawno posapywał przez sen, a Tosia wciąż walczyła z poduszką i biła się z myślami.

Nie, nie będą jej własne myśli zapędzać w kozi róg.

Wstała i stwierdziła, że właśnie minęła północ, a że jej rodzice chodzili spać zwykle około pierwszej, można było do nich na chwilę wpaść i zabrać kilka rzeczy. Zamiast robić z siebie ofiarę i przez pół nocy szlochać, Tosia ubrała się po omacku i wymknęła cichcem na korytarz, a potem zeszła schodami i przebiegła chyłkiem ulicę Tysiąclecia – do niedzieli mieszkała w bloku naprzeciwko, miała więc tam rzut beretem.

Złość na matkę trochę jej przeszła, więc kiedy Tosia otworzyła drzwi, weszła po cichu do przedpokoju i usłyszała jej skrzeczący głos dobiegający z łazienki, wyjątkowo nie podziałało to na nią jak płachta na byka.

– Na każdej ławce?! Przecież tam jest ich z dziesięć! – wołała obruszona matka, a ojciec, spokojnie, jak to on, tłumaczył:

– Reginka, dziesięć. To teraz pomyśl, jakbyś „projekt ławeczka” chciała zrobić w parku.

– Śląskim?!

– A w jakim? Tak że nie jest źle. Nasz osiedlowy skwerek daje radę. Weź się z tym pogódź – dokończył cytatem z ulubionego kabaretu i zaczęli we dwojkę zgodnie chichotać. – Tylko dziesięć!

– Ale przecież nie wszystkie naraz!

– Ty mnie chyba z kimś mylisz...

- Faktycznie. I po ciemku.

- Po widnu też, nie zapominaj, że twój mąż jest wzrokowcem.

- Mój mąż jest przede wszystkim ślepy. Wzrokowiec! Krótkowzrokowiec chyba. Minus osiem dioptrii!

- Oj tam. Na początek możemy zrobić próbę generalną.

Czego dotyczyła debata, w dodatku toczona w środku nocy, Tosia wolała nie wiedzieć, ale trudno było nie słyszeć pęczniejącego w ich głosach obłędnego porozumienia.

Czemu nie można składać zamówień na wymarzonych rodziców?

Tyle że ona też nie była raczej wymarzoną córką, przynajmniej dla mamy, która miała gumowe ucho i od razu wyłowiła w dźwiękach dobiegających z mieszkania coś podejrzanego.

- Kto tam?! Ktoś wszedł?

- To ja, przyszedłam zabrać trochę ubrań – zawiadomiła, nie chcąc nikogo straszyc.

- Proszę, córeczka przyszedła do domu! – fuknęła matka do ojca. – O pierwszej w nocy.

- Jest dwadzieścia po dwunastej – uściślił ojciec i po chwili Tosia zobaczyła jego jajowatą głowę w drzwiach pokoju.

Ucieszył się na jej widok.

- Cześć, córcia...

- Cześć, tato. Jak się macie?

- W miarę. Trochę nam tu ciebie brakuje – wyznał nieśmiało i smutno się uśmiechnął.

- Komu brakuje, temu brakuje! – dobiegło ich krakanie z łazienki. – Powiedz jej, żeby się zabezpieczała! Bo ja wnuka nie będę bawić! Za młoda jestem na babcię.

Tosia bardzo starała się opanować.

Trzy dni bez docinków matki, bez jej aluzji, prowokacji, bez rozkazów, bez złotych myśli – te trzy dni były jak pobyt na Hawajach bez animatora kultury. Raj. Zajrzała tu zaledwie na kilka minut, a już chciała uciekać! Ale te jakieś teksty o zabezpieczeniach...

Skąd matka wiedziała, że w jej życiu ktoś się pojawił?!

- Że co, proszę? – rzuciła w stronę przedpokoju, o wiele ostrzejszym tonem, niż zamierzała, ale właśnie zaczynała ją zalewać krew.

Ojciec dawał jej po cichu znaki, ale już było za późno.

- Niech się zabezpieczają! – wrzeszczała matka, nie kryjąc satysfakcji.

- Kto się ma, do pieprzonej cholery, zabezpieczać?!

- Ciszej... – mitygował ojciec.

- Powiedz córce, że ma dobre skojarzenia. Bo że Lulkowi wszystko się kojarzy z jednym, to już wszyscy wiedzą...

- Musicie tak krzyczeć do siebie przez ścianę? Regina, możesz tu przyjść?

- Daj mi spokój. Ja się oliwuję. I to nie ja się wyprowadzałam. Niech ona tu przyjdzie, jak ma chęć.

- Lulkowi? – Tosia powtórzyła w zdumieniu. – Wy myślicie, że ja z Lulkim?!

Ojciec położył palec na ustach i wyszeptał:

- Pogódźcie się. Matka ciągle płacze...

Tosia zestawiała sobie w myślach obrazek płaczącej matki z tym, na którym matka naciera się oliwką i wrzeszczy do niej przez ścianę z pustaków pełne głębi słowa, i stwierdziła, że jakoś te wizje nie chcą ze sobą współgrać.

- Płacze? – Nie uwierzyła. – Chyba ze śmiechu.

- Ciii... Może zajrzesz do mnie na uczelnię, to sobie na spokojnie pogadamy? – poprosił ojciec i Tosia skinęła głową.



Nie mogła zasnąć, zanim tu przyszła, a teraz chyba będzie musiała wsypać w siebie pół opakowania tabletek na uspokojenie.

– Mnie z Lulką nic nie łączy! – oznajmiła bardzo głośno, pozbierała kilka najpotrzebniejszych drobiazgów, zabrała kilka książek, laptop, kilka sztuk odważniejszej bielizny (na wszelki wypadek), trochę ubrań, zapakowała to wszystko do torby podróżnej, cmoknęła ojca w policzek, po czym pomaszerowała do przedpokoju i zatrzasnęła za sobą energicznie drzwi.

I ten dźwięk uzmysłowił jej, że naprawdę klamka zapadła.

Tylko kiedy skończy się ten parszywy stan przejściowy?

Bo na dobrą sprawę jeszcze nie czuła się u Lulki całkiem jak u siebie, a już wiedziała, że nie wróci do rodziców. Nie była do końca ani tam, ani tu – zupełnie jakby ktoś zawiązał między dwoma blokami długi sznurek i rozwiesił na nim pranie, jej pranie. Tylko gdzie schować te ciuchy, kiedy wyschną? Tam czy tu? Może to po prostu przeczekać, a potem to wszystko, łącznie ze sznurkiem, samo się rozwiąże...

– Ani tam, ani tu – powtarzała, otwierając cichutko drzwi mieszkania Lulki i już od samego progu uderzył ją w nozdrza tak intensywny zapach, że aż ją zemdleło.

Gaz!

– Lulek! – zakrzyknęła pełna złych przeczuć, ale Lulek nie odpowiedział.

I omal nie włączyła przy tym odruchowo światła!

Wystarczyłyby mały pstryk...

W sekundzie poczuła, że wszystkie włosy stają jej dęba jak Bobkowi sierść podczas tarzania się na dywaniku. Nie myśląc wiele, Tosia dopadła kuchenki. Wszystkie kurki były poodkręcane i to nie była żadna pomyłka, ktoś to zrobił celowo. Zakręciła je trzęsącymi się rękami, otworzyła na oścież balkon, a potem dopadła Lulka. Lulka, który przez jeden straszny moment przypominał szmacianą lalkę. I już nieważne, czy ten wariat był ostrzyżony, czy zarośnięty, w butach z wielbłąda czy z samochodowych opon, ważne, żeby w końcu otworzył te ślepie, ważne, żeby nie spał, żeby się obudził!

– Lulek, proszę cię... Lulek!!!

Z rozpaczyc zaczęła nim potrząsać, lzy zaczęły jej płynąć z oczu jak woda z nieszczelnego kranu, a kiedy już rozważała, czy Lulkowi nie przywalić z liścia...

Lulek zaczął coś niewyraźnie bełkotać.

– Ho... ho mi hobisz...

– Luluś, popatrz na mnie, słyszysz? Popatrz! Musisz się obudzić, Lulek!

Trochę to potrwało, ale Lulek w końcu otrzeźwiał i zaczął domagać się wyjaśnień.

Tosia najchętniej też by ich zażądała, nie było jednak nikogo, kto by ją oświecił, co tu właściwie zaszło.

A może ktoś taki był?

– Lulek, musimy zadzwonić po Marchewkę. Bo przecież to nie ty odkręciłeś gaz? – zapytała Tosia ostrożnie i zobaczyła obruszenie na twarzy Lulka, które było najlepszą odpowiedzią.

– Ja?! Jeszcze na skraj samobójstwa mnie nie doprowadziłaś, ale kto wie...

– W takim razie muszę się bardziej postarać – rzuciła z przekąsem, licząc, że uda się jej zmienić nastrój na ciut bardziej optymistyczny.

– Marchewka? – powtórzył nieprzekonany Lulek.

– Ktoś tu wszedł i odkręcił gaz. Nie mówiłam ci, ale od dwóch dni mam wrażenie, jakby ktoś za mną chodził... – wyznała. – A jeśli ten gaz... To z mojego powodu?

Lulek spoważniał.

– Ktoś za tobą łązi, a ty nic nie mówisz?! Tosia!

– Nie wiem, czy łązi, nikogo nie zauważyłam – zaczęła się bronić. – Mówiłam Marchewce.

- I co?

- Na razie nic. Powiedziała mu dopiero wczoraj, po tym, co się przydarzyło profesorowi na pasach. Ale oni nie mają ludzi.

- Nie podoba mi się to... - ocenił Lulek i od razu zaczął myśleć o krokach zaradczych. - Będę teraz twoim taksówkarzem i nie waz się protestować. W porządku, dzwoniemy po Marchewkę. Może powinni zabezpieczyć odciski palców.

- Ja tam wszystko macałam. - Tosia poczuła się winna. - Chciałam to jak najszybciej wyłączyć. W takich chwilach się nie myśli, że ślady...

- Wiadomo. Ale i tak trzeba wezwać komisarza. Tylko czemu, do jasnej ciasnej, ktoś chciałby ci zrobić krzywdę?!

Do Tosi dopiero teraz zaczęło docierać, że coś tu jest bardzo nie tak.

Może coś widziała, słyszała, a może znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze... Może to ten zamaseczkowany ją zauważył i teraz chce się jej pozbyć?

- Ubrałam się po ciemku, spałeś i nie chciałam włączać światła, żeby cię nie budzić - analizowała na głos. - Po cichu wyszłam na korytarz, zostawiłam otwarte drzwi, bo zamek hałasuje, a ja zamierzałam tylko na chwilę skoczyć do rodziców... Żeby te bieguny, no wiesz...

- Wiem. Czyli po prostu się wymknęłaś?

- Tak. Jeśli tu się ktoś czał, to pewnie nawet nie słyszał, że wychodzę.

Lulek zerwał się z łóżka i najostrożniej, jak potrafił, przekręcił klucz w zamku, po czym podał Tosi komórkę.

- Masz, zawiadamiaj organy ścigania.

Organ ścigania odebrał przy trzecim podejściu i bardzo zasnym głosem oznajmił, że zaraz będzie, po czym zjawił się dopiero po godzinie. Wyglądał, jakby się całą drogę czołgał, był pognieciony, biedaczek, w dodatku czuć było od niego przetrawiony alkohol.

Komisarz Marchewka wysłuchał zeznań Tosi, wydał krótkie polecenia dwóm równie zaspanym technikom, z którymi się pojawił i którzy zaczęli bez przekonania rozsypywać proszek w różnych kątach mieszkania, po czym centralnie i oficjalnie...

Urwał mu się na łóżku Lulka film.



Budzić komisarza, kiedy tak smacznie pochrapuje?

Tego za żadne skarby świata czynić nie wolno!

Lulek zarzucił na Marchewkę koc, po czym już rozważał, czy zalegnąć na dywaniku łażeniowym Bobka w kuchni, czy wybrać narożnik w dużym pokoju, kiedy Tosia... Powiedziała, że mogą spać razem, tylko żeby Lulek nie próbował żadnych numerów.

Tym bardziej numerków.

On?!

Mógłby spać nawet pod jej szafą, byle była blisko i byle mógł nad nią czuwać, spanie z Tosią w jednym łóżku, choćby na skraju, to było jak otwarcie nieba bram. Bał się jej dotknąć nawet palcem, żeby tylko nie naruszyć tej rajskiej homeostazy, ale po nocnych wydarzeniach oboje byli tak zmęczeni, że zasnęli niemal natychmiast. O numerkach nie mogło być mowy. Jak zatem doszło do tego, że o poranku pod kołdrą obudziły się dwa splecione ze sobą ciała, Lulek nie potrafił wytłumaczyć, ale przez kwadrans leżał bez ruchu, radując się niemal do upojenia tą rozkoszną chwilą.

Ruch jednak ma to do siebie, że niektóre członki ruszają się zwłaszcza wtedy, kiedy nie powinny, wynikł w związku z tym pewien problem, więc Lulek, chcąc nie chcąc, musiał wstać.

Tosia otworzyła jedno śliczne, zielone oko.

– Żyjesz? – wymamrotała.

– Nadal i wciąż.

– Ja też?

– Ty też. Nadal i wciąż. Nie ugotuję ci owsianki, bo nie wiem, czy mogę. Wszystko pomalowane na czarno. Proszek do zbierania odcisków...

– Nie szkodzi.

– Chcesz owoce z jogurtem czy płatki z zimnym mlekiem? – spytał.

Tosia otworzyła drugie oko.

– No przecież kiełbasę!

Lulek zarechotał, oczywista oczywistość.

Tosia na stres zwykle reagowała tak samo: pochłaniała tony jedzenia, a wczorajsza noc nie należała do najspokojniejszych. Nic więc nie powiedział, tylko zakasał rękawy. Na szczęście na ekspresie nie znajdował się choćby pyłek proszku, śniadanie bez kawy się nie liczyło.

– Czemu ja nie umiem niczego dokończyć?! – Tosia stanęła w kuchni rozczochrana i zaspana. – Mam kłopot z tym irytującym postem. I czemu nie ma tej gadziny?

– Komisarz jeszcze śpi – ocenił po odgłosach Lulek. – Co chwilę mu dzwoni telefon, ale Marchewka się nie poddaje. Chrapie aż miło.

– Nie mówię o Marchewce, tylko o Bobku. Dziwnie tu bez niego...

– Prawda?! – podchwycił Lulek z entuzjazmem. – Zjemy i po niego pójdę.

– To ja z tobą. Ty będziesz miał chmuring, a ja przy okazji spacering.

Lulka ucieszył plan, przed południem musiał się jednak dostać na drugi koniec miasta. W Piotrowicach, na Akademii Górnośląskiej, w budynku C, jego przyjaciel Leon prowadził legendarny bufet i tam do niedawna miał lokal również on sam (budynek A), ale wykończyła go pandemia i musiał zwinąć interes. Zamierzał jednak wrócić na stare śmieci i w południe umówił się w związku z tym na spotkanie u rektora. Kiedy poinformował o zamiarach Tosię, ta zadeklarowała, że zabierze się z nim, chciała porozmawiać z ojcem.

– Z tym dokańczaniem... – nawiązał Lulek w skupieniu. – To ja tu widzę dwie sprawy. Pierwsza to taka, że ty się zmuszasz do wielu rzeczy tak, jak zmuszała cię mama. To się nazywa MUSIZM. Muszę to, muszę tamto... Jakbym słyszał panią Reginę. I tak cały czas, jakby się w ogóle nie liczyło, czego sama chcesz. Ty, Tosia Biczak. I dlaczego.

– Ale...

– Pytania prosimy zadawać później. Najpierw proponuję wysłuchać wykładu... – przerwał jej z udawaną kurtuazją. – Smagasz się takim biczkiem, docień aluzję do nazwiska, smagasz się nie wiadomo po co. Ona cię tresowała i teraz ty sama siebie tresujesz, wymagasz od siebie Bóg wie czego. Muszę! Jak pisałaś doktorat, słowo „muszę” padało sto razy dziennie w najróżniejszych konfiguracjach. I tonacjach.

Tosia upiła kawy i widać było, że bardzo stara się nie przerywać, ale ledwie daje radę.

– I jeśli kiedyś rozważałem samobójstwo, to tak, to był tamten moment...

– Lu...

– Nie przerywaj, bo mam natchnienie, pewnie przez kiełbasę – dodał, puszczając do niej oko. – Druga sprawa jest taka, że masz ideę fiks i łubu-dubu! Stawiasz na nogi cały świat. I ta zmiana jest tak wielka, gwałtowna, spektakularna, a potem mija pierwsza ekscytacja i co zostaje? Właśnie... Nasz mózg boi się zmian.

– Co ty nie powiesz... Czyli też go posiadasz? W sumie meduzy żyją bez mózgu już sześćset pięćdziesiąt lat.

Lulek się skrzywił.

- Złośliwe babsko. Kaizen, nie ja to wymyśliłem - wrócił do przerwanych rozważań. - Sztuka stawiania małych kroków. I warto słuchać mądrzejszych... - Nie miał na myśli siebie, ale Tosia już zaczęła kręcić swoim nakrapianym nosem. - O Japończykach mówię. Jak stawiasz mały krok, to twoja łepetyna nie zdąży się przestraszyć. Takie małe oszustwo.

- Sam masz łepetynę.

- Ostrzyżoną! U barbera, tak że ten... O czym to ja...

- O barberze.

- Spłycasz, moja droga, spłycasz. Ale skoro wielka zmiana ci nie wychodzi, może spróbuj małej? Organizm też nie przestawi się na ten twój post w ciągu paru chwil, trzeba mu dać czas. I na pewno warto odłożyć biczyk. Milsza bądź dla siebie, milsza bądź dla Jerzego Zendera...

- Japoński terapeuta za dychę się znalazł! ZEN! Ten samochód, ciuchy, o barberze nie wspomnę, bo przed chwilą wspominałam. Mała zmiana, co?

Lulek wyszczerzył zęby w udawanym uśmiechu i przyjrzał się swojemu odbiciu w cukiernicy, a potem ostentacyjnie poprawił małym paluszkiem brew.

- A czy ja na swoją dużą zmianę narzekam? To ty się skarżysz, że niczego nie umiesz dokończyć, chociaż uważam, że to nieprawda. Napisałaś doktorat, skończyłaś z tym pacanem z Akacyjowej...

Jak na zawołanie do Tosi przyszła wraz z cichym piknięciem wiadomość. A z pokoju wychynął nieprzytomny Marchewka z komórką przy uchu. I oboje w tym samym czasie wykrzyknęli, tyle że każde co innego:

- Co za facet! - zawołała Tosia, omal nie wpadając na komisarza, który odskoczył od niej jak oparzony.

- W pracy! - zawołał bojowo komisarz.

A potem ta bojowość zaczęła z niego schodzić jak powietrze z przebitej na płocie piłki. Jąkał się, stękał, dukał, aż żal było na niego patrzeć:

- Tak, u pani... Yyy... Antoniny Biczak, mówiłem ci, że jest ważnym świadkiewiczem, ale nie chciałaś... Yyy... To było nie do mnie, Zuza!... Nie wiem, do kogo. Yyy... Mogę ci dać do telefonu panią Tosię... A jak mam mówić, każdy tak do niej mówi. Do ciebie ktoś mówi „Zuzanno”?! Dobrze, przepraszam, nie denerwuj się, do nikogo cię nie porównuję. Tylko wyjaśniam... To jest przypadek, Zuza. Eee... Zasiedziałem się u profesora, a potem musiałem przyjechać tutaj i... Yyy... Zasnąłem! Tak, popełniłem wielkie przestępstwo! Zdarzyło mi się raz na dziesięć lat zasnąć gdzie indziej niż we własnym domu, zresztą we własnym domu... Nie, nie napisałem, miałem do ciebie podobno nie dzwonić, nie pisać i w ogóle się nie odzywać, poza tym masz ciągle wyłączonego komórkę. Jaka złośliwość?! Zuza! Zuza!

W cielej kruchej musiał być jakiś sekretny składnik, bo kiedy Lulek ukroił kawałek i położył go przed Marchewką, ten wpakował go sobie do ust i poprosił o jeszcze, a potem o kolejne jeszcze, a potem Lulek po prostu wręczył mu pół pętka. Po skończonym posiłku Marchewka odzyskał koloryt, popatrzył na nich jak na odnalezionych po latach członków rodziny i oznajmił:

- Niebo w gębie. Chociaż tyle...

Widać, że nie tylko Tosia zajadała problemy.



Kiedy następuje ta chwila, że młoda żona staje się starą żoną?

Tak szybko, że młoda żona nie jest w stanie tego zauważyć, i to się nazywa małżeńska tragedia, albo tak wolno, że stara żona już niedowidzi, więc to się nazywa wspólna starość.

Zuza – wciąż młoda, drobna, wiecznie naburmuszona niebieskooka brunetka o ustach przypominających kształtem pulchne serce – przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze ze łzami w oczach, cicho załkała i przerwała rozmowę telefoniczną z mężczyzną, który okazał się największym wegetariańskim rozczarowaniem jej życia.

A miało być tak pięknie.

Wspólny jogging, chodzenie z kijkami.

Wspólna starość, chodzenie z kulami...

Ledwie jednak Zuza siadła za kółkiem swojego potężnego iveco, które kochała najbardziej na świecie zaraz po Marchewce (wielkie samochody zawsze ją poruszały), ledwie usłyszała muzykę dobywającą się z silnika i poczuła jego moc, ochłonęła, otarła mokre od łez policzki, a jej rozpacz, jak to u niej, bardzo szybko zamieniła się w furję. Od łzawego rozmęśniania zdecydowanie bardziej wolała wojskowy dryl.

Gnała jak szalona, byle jak najszybciej przyłapać tego małego kłamcę na gorącym uczynku, w efekcie czego prawie dostała mandat (prawie, bo udało się jej dogadać z... policjantem!) i na ulicę Tysiąclecia dotarła więc o wiele później, niż to sobie zamierzyła.

– Kurduplu, pokaż się. Wyłaż!

Marchewka jednak jakby zapadł się pod ziemię.

Minęło pół godziny, minęła godzina i wtedy do Zuzy dotarło, że osiedle Nowe Tysiąclecie posiada dwa wjazdy i parking przy lidlu to nie był najlepszy punkt obserwacyjny. W ogóle przy takim układzie ulic trzeba by być w dwóch miejscach naraz albo przycząć za śmietnikiem i gnać do auta dopiero wtedy, kiedy Marchewka znalazłby się w polu widzenia, żeby mieć pewność, że się jej nie wymknie.

Niezadowolona, zła i zniechęcona Zuza wjechała na rondo, skręciła w ulicę Tysiąclecia i na kolejnym rondzie już miała zawracać, kiedy zobaczyła, że wjeżdża na nie piękne białe auto, a w nim rozpięta się obok kierowcy...

Ruda małpa!

Czy kierowcą był zdrajca Pietruszka, z tej odległości trudno ocenić, ale na wszelki wypadek Zuza ruszyła śladem porsche i tak dotarła na ulicę Armii Krajowej i choć okazało się, że rudej towarzyszy jedynie brzydki, czarny kundel i młody, ładny brunet... Czy to nie ten sam, który wachlował się w kroku rozwleczonymi gaciami? Pal lichu bruneta i jego krok.

Nie było z nimi Pietruszki!

Ruda kątem oka jednak tak intensywnie przyglądała się odmienionemu młodzieńcowi, że Zuza postanowiła sobie to zjawisko zbadać. Czyli że do kogo ona w końcu czuje miętę przez rumianek? Do Marchewki, Igora, do profesora Bukowińskiego czy do tego tutaj? I że mężczyzna może przejść taką metamorfozę, nie do wiary! W Marchewce na przykład wciąż tkwiła ta sama marchwianość i wyglądała na to, że nie zamierzała z niego wyjść. Jakby w niego wrosła.

W porządku.

Zmienił się.

Ociupitkę.

Zapusił włosy, kupił kilka koszulek, wszystkie i tak na jedno kopyto, i może trochę przytył. Ale żadnego splendoru, żadnego efektu wow w tej mikrozmianie nie było, poza tym Marchewka robił z siebie tymi zapuszczonymi kłakami kretyna. Z grywą wyglądał jak jednorożec, a już przedzięk pośrodku czaszki doprowadzał Zużę do szału. Bruzda, jakby pociągnąć motyką po zorany polu. Podobają się jej u mężczyzn dłuższe włosy, trudno zaprzeczyć, ale dłuższe włosy Pietruszce w ogóle nie pasowały, o wiele bardziej wolała jego dawną szczecinę, można ją było czochrać...

Zagłębiając w rozmyśleniach Zuza odnotowała naraz, że okoliczności na zewnątrz iveco uległy zmianie. Siedziała sobie, myślała o Marchewce, tymczasem ruda weszła do jednego z budynków,

a brunet został i kotłował się z jakimiś papierzyskami, które miał wciśnięte do bagażnika. Zamiast wyjąć całość, wygrzebywał stamtąd po jednej kartce, a potem szedł po kolejną. Właśnie znowu wydobył jakieś papierzysko, wsiadł do auta i już miał z niego wychodzić, kiedy zza rogu...

Wypadł facet w stroju motocyklisty i podbiegł do porsche, jakby chciał o coś zapytać. Chłopak z bródką wyrzwał zza szyby, pies rozszczękał się na całą ulicę, a potem motocyklista wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot i wykonał tak sugestywny ruch...

Zuza, jak przystało na małżonkę policjanta, zadziałała niemal odruchowo – wyciągnęła błyskawicznie telefon, włączyła kamerę i zaczęła nagrywać. A kiedy motocyklista zmienił zdanie, odskoczył i zaczął biec z powrotem, Zuza sobie powoli wycofała i nie wyłączając komórki, podjechała kawałek za nim.

Na tyłach uczelni miał zaparkowany motor!

Być może w celach popularnonaukowych albo krajoznawczych, trudno stwierdzić, Zuza nie wiedziała, po co to robi, ale coś kazało jej zanotować numery rejestracyjne motocykla, więc zanotowała, a potem cyknęła tamtemu serię portretów w ruchu. Lewa rączka do przodu, pupa wypięta, prawa nóżka w ohydny czarnym żołnierskim bucie, głowa w kasku pochylona, głowa odchylona, skórzana kurtka, stójka, szyjka...

Wyszło pięknie.

Aparat miała bardzo dobry, tak dobry, że przy zbliżeniu na zdjęciach było nawet widać, że motocyklista miał na szyi wytatuowaną kotwicę z literką W.

W jak wyprowadzka.

Tak, Zuza postanowiła, że skoro Pietruszka zaczął już nie wracać do domu na noc, czas wystawić mu przed ten dom walizkę.



„Wczoraj byłaś niesamowita”.

Nadawcą wiadomości był nie kto inny jak Igor Dziedzic i kiedy Tosia ją przeczytała, najpierw nie wiedziała, co o tym myśleć, potem jej błysnęło, że może „kolega” pomylił kobiety, a jeszcze później Igor zaczął do niej wydzwaniać i wydzwaniać, i było tego szesnaście połączeń z rzędu, więc trudno mówić o pomyłce.

Po szesnastym odrzuconym połączeniu Tosi znowu zamajaczyła nora pod spróchniałym drzewem, ale skoro zdecydowała, że już nigdy więcej tam siebie nie wciśnie, to po co ta dziecinna ostentacja? Nie lepiej po prostu do kolegi oddzwonić, kulturalnie go pozdrowić i skończyć znajomość?

Bądźmy dorośli.

Marchewka zapychała się kiełbasą, Lulek okupował łązienkę, Tosia skorzystała zatem z chwili spokoju i sięgnęła po telefon.

– Tosia, dziękuję, że oddzwaniaasz! – W głosie Igora było tyle radości, tyle nadziei... – Dostałaś mojego SMS-a?

– Tego omyłkowego? Byłaś wczoraj, bla, bla, niesamowita?

Po drugiej stronie zapadła cisza pełna niewypowiedzianej urazy.

– Napisałem szczerą prawdę – padło suche oświadczenie i choć Tosia nie chciała się poczuć winna, coś jej w środku zdradziecko piknęło, w dodatku przed oczami stało jej kilka szczegółów, pikantnych szczegółów, i serce znowu zaczęło jej bić szybciej. – Zachowałem się głupio, zwłaszcza z wujem, miałem nie mówić... Wymysknęło mi się, sorry. Ale ty mi za to pokazałaś, którądy biegnie granica. To było naprawdę niesamowite. Taką Tosię lubię.

Czyli SMS był jednak do niej.

Zaraz, „taką Tosię lubię”?

Czyli wynika z tego, że Igor jakiejś Tosi nie lubi. Czyli może u pana Dziedzica trzeba sobie na sympatię ZASŁUŻYĆ?

- Ja lubię każdą Tosię – zaznaczyła bardzo dobitnie i dopiero wtedy dotarło do niej, co powiedziała.

Mijało się to nieco z prawdą i wyrażało raczej pobożne życzenie, kierunek, ale brzmiało...

Miło.

Miała być dla siebie miła!

- Oczywiście, ja też lubię każdą Tosię – zapewnił od razu Igor. – Ta koleżanka... Po prostu to się dzieje szybko. Jeszcze się nie przyzwyczaiałem. To było zwykłe przejęzyczenie.

Bardzo chciała w to wierzyć, bardzo chciała! A może to się jeszcze wyjaśni, jakoś sensownie się rozwinie, dziś upływają raptem cztery dni od ich pierwszego spotkania.

- Przejęzyczenie... W porządku – dodała na koniec trochę drżącym głosem.

- Tak. Przejęzyczenie. I ja bym jeszcze raz chętnie ci to wszystko wytłumaczył. Na żywo. Właśnie językiem... – dokończył bardzo mrymaśnie i bardzo dwuznacznie, aż Tosię przeszły ciarki.

- Zajrzysz do mnie wieczorem? Późnym.

- Jak bardzo późnym?

- Dwudziesta pierwsza?

- To może teraz? – Czekanie do wieczora wydało się nagle Tosi niepotrzebną torturą. – Mam dziś wolne, tylko najpierw muszę pojechać z Lulkiem do Piotrowic, ale o pierwszej już powinienem być w domu.

- Teraz jedziesz z Lulkiem?

- Zaraz wychodzimy. Podrżuci mnie na Akademię Górnośląską, czeka tam na mnie ojciec.

- Na Akademii Górnośląskiej? Ja ze swoim umawiam się w dużym pokoju – roześmiał się Igor. – Co ty tak ciągle ten Lulek i Lulek...

W jego głosie zabrzmiała mała nuta zazdrości.

- Chyba że ty będziesz moim kierowcą – zasugerowała inne rozwiązanie, ale Igor był już myślami gdzie indziej.

- Nie mogę, robota czeka – wyjaśnił. – Mam kilka ważnych spraw do załatwienia za miastem, zaraz wsiadam w samochód. Maks dwudziesta druga powinienem wrócić. To co, jesteście umówieni?

- Jesteśmy.

- Gdyby mnie nie było, jak przyjdiesz, to zapasowy klucz trzymam zawsze w tym samym miejscu. Pod krzakiem przy furtce. Tam jest taki większy kamień, trzeba go odsunąć... Człowieku, nie pchaj się na mnie! To nie do ciebie, w sklepie jestem... Na wieczór może być szampan?

Czyli jednak intuicja jej nie zawiodła, ta zabrana z domu czerwona hałeczka i podwiązki... Nieoczekiwane odbicie się z dna piekieł i wzniesienie wysoko w górę pozbawiło Tosię niemal tchu, nawet nie zdążyła spytać, jak wczoraj rozwiązała się sytuacja z Goską, bo Igor podszedł do kasy i się rozłączył. Czy odwiózł ją do domu, czy Gośka nie próbowała go kokietować...

I ta biegnąca granica, o której wspomniał.

Radość z rozmowy z Igorem przyćmiła nieprzyjemna myśl, że wczoraj zachowała się wobec koleżanki raczej mało elegancko: zamiast wytyczyć granicę, postawiła między nimi gruby, zbrojony mur.

Granica – mur.

Różnica we wznoszonych budowlach była diametralna. Ale wczoraj to były wielkie emocje, wielkie cegły. I chyba dlatego dzisiaj Tosia od rana rzuciła się na jedzenie – próbowała te rozbuchane emocje zajadać i zajadać, aż ją zemdliło.

Dobrze, zatem spróbuje małymi kęsami, czy tam krokami.

Kiedy znowu odezwie się w niej przemożna chęć, żeby wrzucać do żołądka wszystko, co popadnie, i to w dużych ilościach, najpierw upewni się, czy aby na pewno chodzi o głód. Bo może jest po prostu bardzo nieszczęśliwa albo zła, albo zdenerwowana, albo samotna, albo poszli do lasu i zgwałcili leśniczego. Wniosek z tego był taki, że zamiast zapychać brzuch, powinna czasem odetkać...

Głowę?

Serce?

Jak zwał, tak zwał – zamiast zamiatania pod dywan i wciskania weków do piwniczki, zamiast zajadania powinna ustalić, co się w niej kotłuje. Tylko raz, niech się jej uda tylko raz. Potem pomyśli o innych porcjach. To znaczy razach... I dzisiaj ostatni posiłek zje sobie o dwudziestej, a potem czternaście godzin postu, do dziesiątej rano. Żeby wytrzymać, będzie piła. Niech organizm zje te wszystkie bakterie, stany zapalne i inne ohydztwa, które się w niej kotłują, oprócz uczuć. A jeśli się nie uda i coś po ustalonej godzinie jednak przekąsi, żadnego chłostania Antoniny Biczak... biczykiem. I wyzywania się od kotletów.

Trzy kroki do przodu, krok albo dwa do tyłu.

Kto powiedział, że zmiana to galop tylko w jednym kierunku?

Byle się nie zniechęcać.

Tosia, uradowana rozmową z Igozem i podjętymi ustaleniami, pożegnała się z najedzonym do wypęku Marchewką, po czym pognąła z Lulkiem po Bobka, a potem we trójkę wsiedli do samochodu i przebili się przez miasto w kierunku Piotrowic.

Akademia Górnośląska, Tosia przychodziła tu do ojca od kilkunastu lat.

Gdyby porównywać gmachy katowickich uczelni do klocków, to o ile kompleks Uniwersytetu Śląskiego przy ulicy Bankowej przypominał zwykłe klocki komunistyczne, dwa stojące naprzeciwko siebie budynki Akademii Górnośląskiej przy ulicy Harcerzy Września nasuwały skojarzenie z wczesnym Lego.

Ich ułożenie zapewne nie sprawiłoby nikomu specjalnej trudności.

Budynki były symetryczne i połączone zawieszonym w powietrzu korytarzem – dwa moduły ze spadzistym dachem po trzy części każdy i łącznik. Prosta konstrukcja, niewielka paleta barw: beżowy, brązowy, czerwony, niebieski i zielony, ale co za radość przy układaniu! Podobnego zdania musiał być także znajomy ojca Tosi, pan Janusz – stworzył makietę uczelni, którą można było obejrzeć w holu budynku A i Tosia za każdym razem, kiedy tu ostatnio przychodziła, stała sobie przy niej i podziwiała cierpliwość budowniczego.

Czy nie lepiej coś budować zamiast zdobywać literki przed nazwiskiem? Może powinna była zostać architektem albo informatykiem jak ojciec? Projektowałyby czyże wymarzone domy albo tworzyłyby sieci informatyczne w postaci skomplikowanych programów...

I miała minus osiem dioptrii jak pan doktor Biczak.

Z sali wykładowej wybiegło stadko roześmianych studentów i Tosia pomyślała, że to pewnie ojciec ich czymś rozbawił. Zauważyła, że wystarczyło tylko, żeby wyszedł z domu, a zmieniał się tak, jakby wskakiwał w cudzą skórę: rósł, szedł swobodnym krokiem, nawet jakby więcej widział, bo przestawał wszystko zrzucić i wpadać na różne sprzęty. A przede wszystkim: zaczynał żartować.

– Tak szybko? Cześć, córcia, myślałem, że...

– Że odwiedzę cię tuż przed emeryturą – weszła mu w słowo Tosia i otarła się poufale o jego ramię. – Lulek mnie podrzucił.

– Miło, miło... To może sobie u Janusza siądziemy, on gdzieś wyszedł, a ma dobrą kawę. Wybach, ale przeprowadzam zaraz kolejny egzamin, zostało mi piętnaście minut. Gdybyś zadzwoniła...



- Do emerytury zdążymy się umówić znowu.

Kawa rzeczywiście smakowała wybornie.

Tosia piła łyk. Ze względu na to, że nie mieli zbyt wiele czasu i bali się, że za chwilę ktoś im przerwie, ojciec od razu przeszedł do konkretów.

- Tosiu, porozmawiaj z mamą, proszę... Ja wiem, że z tą wyprawką chodzi o nią, ale ona jest zawzięta i pierwsza ręki nie wyciągnie. Stało się w ogóle coś? - zapytał po dłuższej chwili. - Czemu nas zostawiłaś tak... nagle?

Zabrzmiało to mniej więcej tak, jakby wystawiła do zimnej piwnicy dwa nowo narodzone kotki.

- Ogólnie nic się nie stało, a szczególnie to mi się wszystko złożyło do kupy. A ty byś, tato, naprawdę chciał, żeby dziecko mieszkało z tobą do tej emerytury czy jak...? - zapytała jednocześnie bezradnie i dość bezpośrednio.

Miała słabość do ojca i mu współczuła, czasem była jednak na niego zła, bo najchętniej zabrałyby go ze sobą i schowała u Lulka w szafie. A to on powinien zadbać nie tylko o nią, ale i o siebie samego, a nie pozwalać matce rządzić. Tyle że wymagać od ojca stanowczości oznaczało mniej więcej tyle samo, co oczekiwać od matki, żeby była jak... nowo narodzony kotek. Jak w ogóle mogło ze sobą żyć dwoje tak dramatycznie różnych od siebie ludzi?

Tosia nigdy tego nie pojmowała.

Aż któregoś razu zaczęła się uważnie wsłuchiwać w opowiadania ojca o jego mamie, czyli jej babci, i wtedy wszystko stało się jasne.

- A komu by to przeszkadzało? - Tata poweselał. - We Włoszech dzieci mieszkają z rodzicami, jak długo im się podoba.

- Tato...

- Tosiu, ja wiem, że dzieci chcą, żeby rodzice kochali je tak, jak dzieci chcą, żeby je kochać. Ale czasem ważne, że rodzice w ogóle kochają. Nieważne jak. Po swojemu, pokracznie, czasem źle, ale kochają. A mama nigdy nie będzie inna.

A może gdyby jej tak spokojnie i szczerze pewne rzeczy wytłumaczyć...

- Nie będzie inna - powtórzył ojciec, jakby słyszał te wszystkie trybiki, które nagle zaczęły się obracać w głowie Tosi na przyspieszonych obrotach. - Rozumiem, że chcesz być od niej daleko, ale może całkiem nie znikaj?... Są ludzie, którzy potrafią się zmienić, a są tacy, którzy się tego tak boją, że...

- Jak ty w ogóle możesz z nią wytrzymać? - wyrwało się Tosi, choć nie powinno, wiedziała, że nie powinno.

- LOVE krowę. Pisał byk. - Ojciec obrócił wyznanie w żart, ale Tosia zrozumiała.

- Pomyślę nad tym wszystkim - obiecała wzruszona i szybko sięgnęła po filiżankę. - Tylko teraz naprawdę nie mam siły. Ona mnie wykańcza.

- Bardzo tę twoją wyprawkę przeżywa, tylko duma nie pozwala jej tego pokazać.

Ojciec z pewnością nie kłamał.

- Nie wiem. Może i uda nam się jakoś wrócić do poprawnych, grzecznych... Az boję się użyć słowa „relacji”. Ona mi wyśle na WhatsAppie obrazek „Pysznej kawusi i słodkiego wtorku” i będzie myślała, że podtrzymuje ze mną głęboką więź... A ja się porzygam i wyślę jej w odpowiedzi kwiatuśka.

W pomniejszych przez szkła oczach ojca widać było pomniejszony smutek.

- Może inaczej nie umie? I może kiedyś będzie ci tych obrazeków brakować?

Czy własny ojciec musi do niej strzelać z bliska z pistoletu?

- Może. Teraz mi nie wysyła, wiadomo, kara musi być. Tato, ja już nie wrócę do domu... - zakończyła Tosia cicho, ale zabrzmiało w tym niespodziewana stanowczość i widać było, że ojciec w końcu to przyjął.

Na do widzenia jednak pociągnął ją jak zwykle za nos.

– Pamiętaj, córca. Nieważne jak. Ważne, że w ogóle.

Tosia wychodziła z uczelni nieco roztrzęsiona, rozmowy z ojcem-informatykiem czasem potrafiły rozwalić jej system, ale niepokoił ją Bobek – jeszcze chwilę temu ujadał tak głośno, że słysząc go było nawet w środku, a teraz raptownie zamilkł. I kiedy Tosia dotarła do auta, zrozumiała, co znaczy naprawdę się trząść, bo Lulek...

Krwawił!

Usiłował wyrównać oddech, koszulę miał rozciętą, wzrok rozbiegany, a z rany na ramieniu widać było sączącą się krew. Zakrwawionymi rękami z całych sił przyciskał do siebie Bobka, jakby ten kudłaty paskud był ósmym cudem świata. Bobek ledwo od tego ściskania zipał, piszczał, skomlał...

Tosia omal na ten widok nie zemdląca.

– Krew, Lulek, czemu tu jest krew?!

– Już, Bobuś, już... Jakiś wariat zaatakował mnie nożem! – wykrzyczał Lulek. – Bobek mnie zaskonił.

Tosia nie wiedziała, kogo w pierwszej kolejności ratować, i ta niepewność była paraliżująca.

– Nożem?! Tutaj?

– Podbiegł do mnie, myślałem, że chce o coś spytać. Odsunąłem szybko... Nic mi nie jest – uspokoił ją czym prędzej i poprosił, żeby wyciągnęła z bagażnika koc. – Tylko mnie drasnął. Jakiś świr! Z nim jest gorzej. – Wskazał na kulkę czarnej sierści. – Musimy do weterynarza! Koc, zawiń go w koc. Bobek, draniu, wytrzymaj... Bobuś...

Tosia nie myślała, że do tego dojdzie, ale zawięta lecącego jej przez ręce Bobka w koc, przyciągnęła zawiątko do siebie, po czym ucałowała psa za kudłatymi uszami, z których sterczała posiwiała sierść. Bobek odwdzieczył się jej spojrzeniem, po czym zamknął oczy, zapisał bezbronnie i się do niej przytulił.

Nie tylko ojciec potrafił jej rozwalić system.



Tryb limbiczny.

Piotrek Marchewka uczył się o tym na szkoleniach.

Kiedy mózg dostaje informację, że zbliża się poważne niebezpieczeństwo (urojone czy nie, to nie ma znaczenia), przechodzi w tryb limbiczny, czyli w tryb działania nazywany też reakcją typu „walcz albo uciekaj”. Można do tego jeszcze dodać: „udawaj padlinę”. Następuje odłączenie kory nowej, czyli części mózgu odpowiedzialnej za myślenie racjonalne, i można kobiecie tłumaczyć, wywnętrzać się godzinami, można używać najbardziej logicznych argumentów, podawać adekwatne przykłady...

Próżny trud.

Ze strony kobiety padają za to absurdalne oskarżenia, obelgi, groźby, docinki, sprawnie działają też kończyny dolne i górne, kobieta może uciekać, walić na odlew po męskiej gębie lub udawać obojętną albo martwą.

Komisarz Piotrek Marchewka teorię miał w małym palcu i cały czas starał się pamiętać, żeby i jemu się coś nie odłączyło, ale nie był przecież robotem. Po tym jednym piwku doznał takiej błogości, że choć obudził się dziś w obcym domu i przez chwilę w ogóle nie wiedział, co się dzieje, a potem odparł telefoniczny atak wścieklej Zuzy, to wcale tego nie żałował.

Zuzie zależało.

Inaczej nie dzwoniłaby z awanturą.

Teraz tylko tę burzę hormonów trzeba przeczekać, Zuza poudaje martwą, czyli niewzruszoną, potem się uspokoi, w końcu zacznie racjonalnie myśleć i wszystko będzie jak dawniej. Uspokojony tą wizją komisarz pojechał do domu się odświeżyć, coś zjadł i zajął się poszukiwaniami drona, którego na gwałt potrzebował na jutrzejszy poranek, a za cholere nie pamiętał, gdzie go wcisnął. Nawet poprosił o pomoc kumpla, który pełnił dyżur przed domem Bukowińskiego – najpierw upewnili się, czy u sąsiada wszystko w porządku, a potem przez dwie godziny przerzucali wspólnie strych, garaż i piwnicę, ale drona jak nie było, tak nie było, wzięli i przepadł. Telefon zadzwonił, kiedy kumpel wrócił na posterunek, a komisarz zastanawiał się, co powiedzieć szefowi i skąd skołować zastępczy sprzęt.

Znowu pani Tosia!

Przez moment Marchewka nawet rozważał, czy nie odrzucić połączenia, ale nie będzie się przecież ukrywać przed własnym świadkiem. I dobrze zrobił, że odebrał, tym razem alarm był poważny. Ktoś zaatakował nożem pana Lulka! Na szczęście nic strasznego się nie stało, sprawcy przeszkodził pies, tyle że oczywiście pani Tosia prawie przy tym była, jakżeby inaczej...

Co ją z tymi wszystkimi zdarzeniami łączyło?

Komisarz już kolejny raz próbował analizować każdy szczegół, ale albo miał za mało danych, albo ta grupka znajomych coś przed nim ukrywała. Niemożliwe, żeby sprawca ich nie znał, za dużo było między towarzystwem rozmaitych zależności. Informacja, którą Marchewka otrzymał dosłownie przed chwilą, właśnie go w tych rozważaniach utwierdziła.

W końcu coś konkretnego!

– Dzień dobry jeszcze raz. – Ukłonił się, kiedy znowu zawitał w mieszkaniu, w którym nie tak dawno spożył obfite śniadanie.

Tosia i Lulek siedzieli na wielkim zielonym narożniku, a pośrodku nich leżał czarny, znajomy kundel. Psina wyglądała dziś na wyjątkowo apatyczną, nie ziała ogniem, nie wydawała ostrzegających dźwięków, co tłumaczył spory plaster tuż za jej szyją.

– I jak? – zagadał, widząc, że ci dwoje są naprawdę zmartwieni. – Jak się ma nasz bohater?

– Dwie rany cięte – odparł Lulek. – Na szczęście niezbyt głębokie, lekarz założył szwy i dał mu antybiotyk.

– A pan?

Lulek wzruszył ramionami i spojrzał na Tosię, która miała zaczerwieniony, pewnie od płaczu, nos.

– Mnie nic nie jest. Musnął mnie tylko tym szczyrykiem.

– Szczyrykiem? To był szczyryk? – podłapał komisarz. Przesłuchani na miejscu pracownicy uczelni niczego nie widzieli, niektórzy słyszeli tylko szczekanie psa, ale Marchewka i tak miał szczerą nadzieję na przełom. I albo ta dwójka mu coś powie... Albo on ich oświeci. – To ważne, proszę się skupić.

Przystrzyżony Jerzy Zender poprawił przystrzyżoną brodę i zapatrzył się w okno. Antonina Biczak zapatrzyła się w Jerzego Zendera.

– To nie był szczyryk, tak tylko powiedziałem. To był spory nóż. Zakrzywiony. I widziałem, że ta rękojeść... – Na chwilę się zawahał. – Połyskiwała. Była czarna, ale tam błyskały jakieś refleksy.

– Masa perłowa? – odpowiedziała Tosia.

– Tak, chyba tak, nie znam się. Jakies takie mleczne wzory.

Marchewka pospiesznie wyciągnął z kieszeni notes.

– Umiałby pan określić długość ostrza?

– Dwadzieścia centymetrów?

– Dwadzieścia centymetrów. Dobrze... A teraz może przejdźmy do wyglądu napastnika – zasugerował, starając się, żeby jego głos brzmiał neutralnie. – Oczy, włosy... Może w twarzy było

coś znajomego?

Od razu się domyślili.

– My go znamy?!

– Kto to jest?!

To Marchewka był tu od zadawania pytań, należało to tej skądinąd sympatycznej parze uświadomić.

– Po kolei. Proszę opisać, jak wyglądał – powtórzył tonem referenta.

Lulek zeznał to samo, co przekazała telefonicznie Tosia.

– Był w kasku, nie widziałem jego twarzy. Kurtka, spodnie...

Widać było, że bardzo chce pomóc, ale nie wie jak. Nie był Karlem Lagerfeldem, podobnie jak komisarz. Nuanse typu: rodzaj materiału, kształt kieszeni czy guziczków – kto by to ogarnął. Spodnie to spodnie, kurtka to kurtka, wiadomo.

– Czy? Może w takim razie widział pan jego oczy? – podpowiadał w napięciu Marchewka. – Ręka, cokolwiek charakterystycznego...

– Kask miał czarną szybkę, nic nie było widać. Ręk też nie widziałem, miał rękawiczki. Co z tymi oczami, pan coś wie?

– Yyy... – Marchewka się zająknął, ale nie było sensu trzymać ich dłużej w niepewności. – Mamy zdjęcie i numer motocykla, którym napastnik się poruszał. Uchwyciła go jedna z kamer ulicznych. To jest motocykl zarejestrowany na... pana Igora Dziedzica – wypalił i położył przed nimi rozmyte zdjęcia.

Jedno motocyklisty z dziś, drugie zamaskowanego mężczyzny ze sklepu z wczoraj.

Lulek i Tosia aż podskoczyli, ale pies zaczął skomleć, więc się opanowali i zaczęli coś do niego czule szeptać. A potem znowu zalali Marchewkę falą pytań, które na razie postanowił zignorować. Choć głównie pytała Tosia, Lulek mełw w ustach wiązanki egzotycznych przekleństw. I to do niego zwrócił się Marchewka po tym, jak największe emocje już z nich opadły:

– Czy ten człowiek, który pana zaatakował, to był Igor Dziedzic?

Lulek znowu zapatrzył się w okno, z którego doleciał ich podmuch wiatru, pierwszy tego popołudnia. Nadzieje na deszcz były jednak raczej płonne. W pokoju unosił się taki sam nieznośny zaduch jak na zewnątrz.

– Chciałbym, żeby to był on, skubany, bo gościa nie trawię, ale nie wydaje mi się, żeby to był on – wyznał spokojnie Lulek. – Nie widziałem jego gęby, ale poruszał się jakby inaczej. Mówię o mowie ciała.

– Jest pan pewien?

– Niczego nie jestem pewien. Tak mi się wydawało. Poza tym dlaczego miałby to robić? Nie przepadamy za sobą, ale żeby mnie od razu dźgać nożem?!

– I nic nie powiedział? – upewnił się niepokieszony komisarz.

– Nic. Ani słowa. Co ten goguś ma z tym wszystkim wspólnego? – Zniecierpliwiony Lulek domagał się wyjaśnień i spoglądał zdeorientowany to na komisarza, to na zmieszaną Tosię, która z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej czerwona, aż w końcu z siebie wyrzuciła:

– Igor tego nie zrobił. On nie jest bandytą!

Marchewka chciałyby w to wierzyć.

– Mam nadzieję, że sytuacja niedługo się wyklaruje. – Westchnął, znużony nie tylko prąjącym słońcem, nie tylko awanturami z Zuzą, ale i sprawami zawodowymi, które nie układały się ostatnio tak, jak by tego chciał. – Tylko na razie pan Igor jest nieuchwytny. Przepadł jak kamień w wodę... Nie ma go w domu, nie ma na strzelnicy, nie można się do niego dodzwonić. Profesor Bukowiński go dzisiaj nie widział. Pani Tosiu, może pani coś wie?

Tosia zaprzeczyła i spuściła wzrok, a potem zaczęła poprawiać psu plaster.

Tryb limbiczny.

„Walcz albo uciekaj” – nie, to nie było to.

Ale „udawaj martwą” albo obojętną to już tak...

Tosia przed nim coś ewidentnie zataiła.



Marchewka w ogóle nie dał jej czasu na zastanowienie.

A Tosia musiała sobie pewne kwestie przetrwać.

Myśl, że Igor może mieć coś wspólnego z napadem na Lulka, była tak absurdalna... Ale jednak motor należał do niego! Co prawda wczoraj po wspólnym strzelaniu Igor zaczął coś przebąkiwać, że takie mieszkanie z przyjacielem to trochę dla niego dziwne i że on wolałby, żeby Tosia pomyślała o własnym lokum, ale nawet zakładając, że coś mu odbiło i chciał się Lulka pozbyć – to przecież musiałyby być naprawdę niespełna rozumu, żeby przyjechać na miejsce zbrodni własnym motorem! I na pewno by coś do Lulka powiedział, nie zdzierżyłby, działali na siebie jak płachta na byka. Nie, Tosia w taki naciągany scenariusz w ogóle nie wierzyła. To na pewno nie był Igor.

Musiałoby być jakieś inne wyjaśnienie.

I jeszcze miałyby ją z tego powodu ominąć nocna randka?!

Gdyby powiedziała Marchewce, że Igor wyjechał za miasto i że się umówili na wieczór, to czerwona haleczka, szampan, wspólny wieczór... – to wszystko, na co tak czekała, z pewnością diabli by wzięli. Igora by zaraz zaczęli przesłuchiwać, maglować, a tak fajowo mruczał przez telefon, jego głos tyle obiecywał... I Tosia sobie z nim ten motor wyjaśni, owszem, a jutro Igor sam porozmawia z Marchewką.

Będzie wilk syty i owca... zaspokojona.

Może tym razem.

I jak to cudnie mieć się z kim całować, a nie być wciśniętą za szafę jak niepotrzebny rupieć.

– Coś mi się kojarzy, jak patrzę na te zdjęcia – zaczął Lulek niepewnie, kiedy zjedli skromny obiad, czyli pierogi zakupione w garmażerze na osiedlu.

Bobek spał, Tosia siedziała z Lulkiem na balkonie i tak jak on wpatrywała się w przestrzeń między blokami – dla wszystkich dostępną i nieopodatkowaną. Poranny chmuring nie doszedł do skutku, popołudniowy również, a teraz na sinej płachcie nieba przypominającej brzuch zdechłej ryby nie majaczyła nawet jedna chmurka. Za to gdzieś w oddali można było zobaczyć przez krótki moment pojedynczą błyskawicę – zadrgała jak porozgałęziana komórka nerwowa, przez którą przepłynął nagły impuls elektryczny.

Zapachniało wypalaną trawą.

– W sensie?

– Żebym to ja wiedział.

Lulek był do połowy pogrążony w cieniu, który przy każdym ruchu głową pisał w zakamarkach jego twarzy i uwypuklał podbródek. Bardzo kształtny podbródek. Słońce odbijające się od bloku naprzeciwko muskało go po lewym policzku i prześwieślało jego oko. Demoniczny zrobił się Lulek po tej zmianie. Niby wiadomo, że to on, a Tosia widziała go jakby inaczej i kiedy nie patrzył w jej stronę, uważnie mu się przyglądała.

– Ale co? Kojarzy ci się, czyli coś wiesz.

– Żebym to ja wiedział, co ja wiem – odpowiedział rozbijająco niefrasobliwie. – Gapiłem się na te zdjęcia dziesięć minut. I niby coś mi w mózgowicy kołacze, ale co... A ty umiesz powiedzieć, czy ten zamaskowany koleś z pasów i ten świr z dzisiaj to była jedna i ta sama osoba?

– Świra nie widziałam, a na zdjęciu... To może być każdy. Ale też uważam, że to nie Igor.

- A może ja powinienem zeznać Marchewce, że to jednak ten pustak? - Nagle go natchnęło, ale Tosia wiedziała, że to blef.

Lulek nikomu nie podłożyłby świadomie świni.

- Czemu ty o nim tak źle mówisz? Nie rozmawiałeś z nim ani razu.

- Pod akademią jakiś dialog się między nami wywiązał - zaprotestował z zawadiackim uśmiechem. - O, znowu! - Pokazał na park, gdzie błysnęło i błyskawicznie zgasło. - Chyba będzie burza.

- Gośka mówiła coś swojego czasu o parapetowie i nawet myślałam, że zaproszę Igora i może w końcu się do siebie przekonacie. Ale teraz...

- Może się do siebie nie przekonamy. À propos Gośki, napisała do mnie bardzo rozbudowaną wiadomość - oznajmił Lulek z dość obojętną miną, a Tosia poczuła nagle coś jakby ukłucie komara.

- Tak?

- Cytował może nie będę, tajemnica korespondencji.

Tosia się zachnęła.

- Zapewniam cię, że Gośka czyta to każdemu, kto chce słuchać...

- Widzisz, ty też mówisz o kimś źle. Wracając... - zaczął, bo już mu chciała wyjaśnić, na czym polega różnica między mówieniem o kimś, kogo się nie zna, a mówieniem o kimś, kogo zna się doskonale. - Nasz wielki romans właśnie się zakończył - oświadczył uroczyście i nie bez satysfakcji. - Niestety. Przyczyna jest banalna. Twoja koleżanka jednak woli mężczyzn w swoim wieku, jak mnie właśnie poinformowała, zapewniając, że jestem... Tu padło całe mnóstwo komplementów...

Znowu się wygłupiał.

I bardzo dobrze, po dzisiejszym ciachaniu nożem Tosia nieco się obawiała, że zostanie mu jakaś trauma, uraz czy coś równie paskudnego. Ale Lulek stanął na nogi już u weterynarza, bardziej przejmował się Bobkiem niż sobą. W lecznicy zaprezentował przy okazji swoje skaleczenia, a kiedy weterynarz uznał, że nie trzeba ich szyc, i gratisowo je opatrzył, Lulek przeszedł nad zdarzeniem do porządku dziennego.

- Taki SMS to prawie jak cały rozdział. Ty się ciesz, że Gośka już tę książkę skończyła pisać.

- Jaką książkę?!

- Nie mówiłam ci? Miałaś randkę z pisarką...

Lulek okazał umiarkowane zainteresowanie.

- Jakiś chory umysłowo jestem. Preferuję jednak model kobiety naukowca. Skoncentrowana, neurotyczna, wiecznie napięta, nierozładowane bóle mięśniowe, błędząca myślami nie wiadomo gdzie, a jak człowiek próbuje rozmawiać...

Czy ona powinna walnąć go w żebro teraz czy za chwilę?

- Najpierw ostrzegam. Dopiero potem morduję, więc uważaj, co mówisz.

Lulek się zaśmiał, a potem ni stąd, ni zowąd wrócił do Igora.

- Ty widziałaś u niego motor?

- Ma dwa garaże. Ale garaże mnie nie interesują, nie widziałam.

- A strzelnica? Marchewka coś mówił o strzelnicy.

- Ma strzelnicę u nas w parku.

- To jego? - zdziwił się Lulek.

- Jego.

- Pistołecikami się bawi chłopak?

Tosia starała się zignorować przytyk, ale jej nie wyszło.

- Pistooleciki to jest akurat bardzo fajna sprawa, polecam - rzuciła niby lekko, zastanawiając się, co powie Lulkowi wieczorem. Że gdzie się wybiera? Lulek chciał ją teraz wszędzie podwozić. - Fajniejsza niż gary. Niektórzy zarabiają na pistoleticach, a niektórzy wołają pichcić zakupki...

Lulek zmarszczył czoło.

- Hę?

- Sam zacząłeś. Ciągłe mu dogryzasz.

- Tosia... - zaczęła ostrzegawczo i wiedziała, że czas zmienić kierunek rozmowy.

Swoją drogą to fascynujące, że taki spokojny i swojski Luluś potrafi się w jednej chwili zamienić w obcego zwierza - który nagle wcale nie chce się... Zwierzać. Miała wielką ochotę wsadzić patyczek za kratki i trochę go podrażnić, ale się opanowała.

- Ty lepiej pomyśl, nie żartuj, o co tu chodzi... - poprosił, jakby teraz to on ją przed czymś ostrzegwał.

- Gdzie?!

Lulek spojrzął na dach netto, który skrzył się w słońcu.

- Profesor Bukowiński, ostatnio dużo się wokół niego dzieje. Wypadki, wepchnięcie pod autobus... U nas wczoraj gaz, dzisiaj akcja z nożem i ten twój Igor... - wymieniał, zły, że nic z tego nie rozumie. - Tylko czemu ty?! I ja? To jest ze sobą wszystko jakoś powiązane, tylko za cholere nie wiem jak. A może ktoś temu dzbanowi motor po prostu ukradł? Ale taki przypadek?! Niemożliwe! Chyba że my komuś podpadliśmy i o tym nie wiemy?

Tosia zadawała sobie w duchu te same pytania, ale tak jak Lulek, nie znajdowała odpowiedzi.

Znowu zagrzmiało.

- Jaki znowu dzban? Nie mów tak o nim.

Lulek w tym czasie zdążył przeskoczyć myślami do innego tematu.

Bardzo niewygodnego tematu.

- Tosia, obiecaj mi coś. Dopóki ta cała historia się nie wyjaśni... Obiecaj mi, że sama nigdzie się nie ruszysz. Nigdzie beze mnie, OK? Chodzi o twoje bezpieczeństwo.

Co miała robić.

Obiecała, ale za plecami skrzyżowała palce.

Ten jeden raz coś wymyśli.



Marchewka wracał do domu pełen dobrych chęci i starał się nie myśleć, że jest nimi wybrukowane piekło.

Dopóki nie zobaczył wystawionej przez Zuzę na ulicę walizki.

Wtedy tak, wtedy faktycznie jakby zajął na samo jego dno i ze zdumieniem stwierdził, że nie ma tam ani jednego diabła, ani jednej kadzi ze smołą, nikt nie smaży grzeszników na wolnym ogniu, nie słycać płaczu i zgrzytania zębów, nikt też nie obdziera nikogo ze skóry.

Za to na samym dnie piekiel siedzi przyczajona...

Samotność.

Walizka stała tuż przed podjazdem i była doskonale widoczna z volvo, w którym siedział jego kumpel, ale to się już nie liczyło. Teraz liczył się fakt, że pomiędzy nim a Zuzą powstało pęknięcie i on już zupełnie nie miał pomysłu, jak je naprawić. Oczywiście mógł dzwonić, dobijać się do własnych drzwi, wejść przez balkon, komin, przez piwnicę czy przez jakąkolwiek inną dziurę.

Mógł, ale nie chciał.

Jeśli jego żona mu naprawdę nie wierzy, to może...

Nie warto?

Starając się nie myśleć, że coś w nim bardzo po cichu i powoli umiera, bo przecież zawsze może się później bardzo po cichu i powoli od nowa narodzić, Marchewka zapakował walizkę do bagażnika, wyciągnął z niego dwa tysiące, zadzwonił kontrolnie do drzwi Dziedzica, znowu go nie zastał, po czym, pogrząskując butelkami, pomaszerował prosto do sąsiada, profesora Bukowińskiego. W sumie mógł tym samym zwolnić kumpla z posterunku, ale nie zwolnił, chociaż nie wiedział czemu.

Później sobie tego pogratulował.

– Panie sąsiedzie! – zawołała na jego widok ucieszony profesor i Marchewce zrobiło się lżej na sercu. – Zapraszam na taras, zaraz będzie lato. Posiedzimy sobie, popatrzymy i pogadamy o starych rowerach.

I rzeczywiście, posiedzieli, pogadali, a nawet udało im się wspólnie pomilczeć.

A potem nastąpiło oberwanie chmury.

Jakim cudem wśród potoków wody lejących się z czarnego nieba Marchewka usłyszał dźwięk, który go zastanowił, nie wiadomo. Ale nie byłby policjantem, gdyby tego nie sprawdził. Ubrany w sztormiak profesora obszedł dookoła jego dom, bez specjalnych rezultatów, zajrzał do budki z narzędziami, z takim samym rezultatem, a potem zobaczył, że w bocznym oknie domu Dziedzica jest włączone światło.

W następnej chwili poczuł wibrację komórki.

– Piotruś, jakieś pół godziny temu do domu weszła Biczak – zawiadamiał kumpel. – Nie wiem, czy to ważne, ale zgłaszam jakby co...

– Dzięki. A Dziedzic?

– Dziedzica nie widziałem. Sama weszła, miała klucz.

To wydało się Marchewce arcyciekawe.

Uprowadził profesora, a potem skorzystał z bocznej furtki i wkroczył na sąsiednią posiadłość. Deszcz chłostał go strugami wody, buty miał już całkiem przemoczone, mimo że wyszedł na zewnątrz raptem tylko kilka minut temu. Raz za razem płachtę nieba rozrywały piekielne błyskawice, co chwilę robiło się obłędnie jasno, w uszach komisarza aż dzwoniło od grzmotów, woda zaczynała też przesiąkać przez sztormiak, koszulkę, bojówki...

Dziedzic miał dwa garaże: jeden znajdował się w domu, drugi, murowany budynek z drewnianymi opuszczanymi drzwiami, stał kilka metrów dalej, tuż obok stawu. Przechodząc obok, Marchewka znowu nadstawił uszu – jakby ktoś uderzał o coś metalicznego. Nie namyślając się wiele, uniósł powoli wahadłowe drzwi i szybko poszukał włącznika, bo ze środka buchnął znany, cierpkawy zapach.

Taki zapach miała tylko zakrzepła krew.

W niewielkim pomieszczeniu stały błyszczące nowością dwa harleye, a obok przylegającej do ściany metalowej skrzyni leżał Dziedzic i resztkami sił rozpaczliwie w nią kopał. Był trupio biały, drżał, poruszał ciałem jak w jakimś amoku, chyba nawet nie zauważył, że Marchewka wszedł i włączył światło. Rany postrzałowe było widać od razu – udo Dziedzica jednak już nie krwawiło, stanowiło strzęp żywego mięsa, miał też roztrzaskany bark, musiał stracić sporo krwi.

Marchewka ledwie ogarnął wzrokiem sytuację i już nie tracił czasu na zadawanie pytań, zresztą Dziedzic właśnie chyba zemdlał – ułożył jego ciało w bezpiecznej pozycji, a potem chwycił za telefon. Kumpel z volvo dotarł tu w kilka minut, a wtedy Marchewka zrobił rzecz dość idiotyczną.

Podszedł do domu i zadzwonił grzecznie do drzwi.

Ku jego zdumieniu niedługo potem mu otworzono.

W progu, w czerwonej, przezroczyściej haleczce, stanęła ożywiona Antonina Biczak z pistoletem w jednym ręku i purpurową miotłką w drugim. Przed jej „ubioru” wieńczył przewiązany wokół



talii mikroskopijny fartuszek obszyty frywolną koronką. Na widok Marchewki doznała potężnego zawodu.

– Nie wierzę! – wyrwało się Marchewce z policyjnej piersi, a wtedy pierś pani Biczak, obfita i jędrna, nieco oklapła. – Znowu pani?!

– Ale że co? Panie komisarzu, ja tu tylko... Ja tu tylko sprzątam...

Dobre sobie!

A może...

Ja tu tylko zabijam?



Co znaczy nocą jeden mały komar w zamkniętym pomieszczeniu, profesor Nałęcki wiedział aż nadto dobrze, ale kiedy w ciągu tygodnia natknął się po raz trzeci na tę samą kobietę na otwartej przestrzeni, zrozumiał, jak bardzo zaciekle potrafią być małe, natrętne stworzenia.

Kiedyś takie żyjątka rozgniatał palcem.

Dziś zamiast palca używał umysłu – ktoś mógłby mu zarzucić, że w ten sposób się nad rozmówcami znęca, i może była w tym jakaś część prawdy, ale to, co profesora przede wszystkim fascynowało, to interakcja i jeśli ktoś się tej interakcji na własne życzenie domagał, cóż było robić.

– Krzysiu, hej! Znowu na ciebie wpadłam! – zakrzyknęła blondyna, którą tym razem zobaczył na przejściu dla pieszych pod kinem Rialto.

„Zakrzyknęła” właściwie oddawało sytuację. Profesor znajdował się po drugiej stronie ulicy i po zakrapianym procentami spotkaniu z przyjacielem, który posiadał ekskluzywny sklep z alkoholami na ulicy Plebiscytowej, właśnie obrał kurs na dom. Ulicą jechały raz za razem auta spuszczone ze świateł przed wiaduktem, powietrze miało ołowiany posmak, zachodzące słońce oślepiało, tak samo jak oślepiała biżuteria kobiety – od jednego spojrzenia na jej obciążony łańcuszkami dekolot można było dostać w oczach mroczków. Blondyna ogłuszała też akustycznie, jej piskliwy głos wygrał konkurencję z przejeżdżającym górą pociągiem.

*Mater Dei!*

Profesor resztkami uprzejmości pokiwał kobiecie ręką w geście wodza witającego defiladę żołnierzy i już chciał czmychnąć pod most, ale po chwili okazało się, że blondynka jest nad wyraz szybka i nie wiezieć kiedy, a już miał u boku... adiutantkę.

– Ty mnie chyba nie unikasz? – spytała, nie kryjąc nagany.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe – stwierdził cierpko, przyspieszając kroku.

Alicja, Aśka, Adrianna?

Jakżeż jej było na imię?

I w jakich okolicznościach się poznali?

– Krzysiu, zastanowiłeś się?

– Nad czym?!

– Czy przeczytasz moją książkę, proszę...

Wczoraj, zanim spotkał Bogdana, przerabiany był ten sam leitmotiv, też go o to nagabywała i też na ulicy, ale wczoraj gnał na debatę, nie miał chwili, żeby pomyśleć, potem ten facet na pasach, który omal nie wpakował Bukowińskiego pod autobus, nagrania, spotkania, życie rodzinne...

Noc. Komar. Zamknięty pokój.

– Ale nie ma się nad czym zastanawiać – odburknął.

Rzeczywiście, ile by się nie zastanawiał, wciąż będzie słyszeć to nieznośne bzyczenie. Spotka ją zapewne jutro, pojutrze, popojutrze, w Wielkanoc... Miał tylko nadzieję, że do Grecji za nim nie

poleci. I ciągle ta sama bezimienna twarz.

Beata? Barbara? Bożena?

Czy nie lepiej zatem będzie mieć to już po prostu za sobą?

Może dlatego tak się do niego przykleiła, bo chce przysługi, a jak przejrzy to jej arcydzieło, zostawi go w końcu w spokoju. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, że słowo pisane było dla profesora sprawą życia lub śmierci – zarówno zawodowo, jak i prywatnie – i ten wiszący nad jego głową tekst zaczynał go zmyczajnie ciekawić.

Bo przecież nie Czesława!

– Ale jak to... Może chociaż zajrzysz? – zapiszczała żałośnie. – Zabrałam ją ze sobą. Twoje zdanie dużo dla mnie znaczy. Krzysiu...

– Niczego nie mogę obiecać.

– To znaczy, że się zgadzasz? – Nabrała nadziei. – Nie mów!

Może będzie tego żałował, może nawet już żałował, ale postanowił zawrócić.

– Tam jest knajpa. – Pokazał na Wojewódzką tonącą w upragnionym cieniu.

Nadąsane nad szpiczastymi dachami niebo drasnęła właśnie błyskawica, w tunelu ulicy zadrgał w ślad za nią maleńki poblask, od którego ściany kamienic nagle załśniły niczym kolorowe podświetlone szkło, a nad miastem zaczęło coś gniewnie pohukiwać.

– Jak się cieszę, Krzysiu! Jesteś wspaniały, bardzo ci dziękuję.

– Tytuł. Jak brzmi tytuł? – mruknął.

– *W pogoni za miłością*.

– No tak. To ma sens. Bo przecież *W pogoni za rozumem* było już zajęte...

Dżesika?

Gombrowicz by tę scenkę przetworzył, więc może z tym żałowaniem to nie tak do końca... Co jest tkanką literatury, pratworzywem, jeśli nie takie Dżesiki, pospieszny do Wrocławia i kufel z tanka ozdobiony pianką.

TANKAtlantyk.

To by dopiero był tytuł.

Wieczór zdecydowanie tonął w oparach groteski – profesor Nałęcki wytrzymał równo godzinę słowotoków i słowopisków produkowanych niez mordowanie przez autorkę tylko dlatego, że stosownie do sytuacji zatankował kufelek i dopiero po upływie tego czasu znów mógł powrócić cudem na rodziny łożo, ale powracał z wydrukiem w ręku. Mistrz! Przecież wycpociny pokaże swojej małżonce, która z pewnością nie będzie miała nic przeciwko, żeby zapoznać się z debiutem katowickiej pisarki, w swojej pracy podejmowała się nie takich wyzwań.

Małgorzata.

Nareszcie padło imię, ale jak się poznali i kiedy, wciąż pozostawało zagadką, profesor bał się spytać. Za to w drodze powrotnej błądził myślami wśród symboli w prozie rosyjskiej w tak przyjemnym odrętwnieniu, że zamiast wybrać skrót przez dworzec, odruchowo ruszył szlakiem katowickiej moderny – lubił snuć się po południowej części miasta. I tak przyglądając się śniętym i pochowanym po bramach mieszkańcom, kotom przemykającym się chyłkiem wzdłuż obsikanych ścian, tańczącym po ceglach chybotliwym cieniem, doznał przez moment wrażenia, jakby sam śnił, a może uderzyło mu do głowy zatankowane do żołądka piwo.

Czy ktoś za nim szedł?



Okłamała Lulka.

Pierwszy raz w życiu.

Nie było to miłe doświadczenie i szczerze mówiąc, Tosia poczuła do siebie wstręt, ale na pytanie, dokąd się wybiera, powiedziała, że musi skoczyć na chwilę do stokrotki po zimną pepsi. Czekając na taksówkę, rzeczywiście odwiedziła sklep – nie żeby kupić napój, szukała truskawek do szampana, ale wyszła stamtąd z gazetką, do której był dołączony mikroskopijny fartuszek i niewielka czerwona miotełka. Tandetne to było okrutnie, ale liczyła, że Igor doceni nie tyle jakość produktów, co dowcip. Kiedy się poznali, wziął ją przecież za sprzątaczkę. A za chwilę otworzy mu drzwi z miotełką w rękę i namiętnie szepnie do ucha, że...

To i owo jest mu gotowa odkurzyć.

Kiedy przyjechała na miejsce, Igora na szczęście jeszcze nie było. Mogła się więc przedzierzgnąć z dziewczyny w trampkach w ponętną pomoc domową i napisać do Lulka, który pewnie się martwił, że jednak spontanicznie zmieniła plany i właśnie jest na Akacjowej. W oczekiwaniu na odpowiedź pokręciła się przez chwilę w pustym domu, ale Lulek milczał jak zakłęty, i wtedy nogi same poniosły Tosię do pokoju myśliwskiego.

Już w progu zobaczyła, że jeden z pistoletów leży niedbale rzucony na witrynę, i coś ją do niego pociągnęło. To był jedyny pistolet w kolekcji zaopatrzony w tłumik! I kiedy Tosia wzięła go do ręki, poczuła chłód i przyjemny ciężar, a kiedy dotknęła żłobionych rowków, pomyślała, że powitanie upragnionego mężczyzny tylko nędzną miotełką – nie, to będzie mało efektowne.

A co, jeśli będzie sprzątaczką... wystrzałową?

I chyba wczuła się w rolę, bo witrynę szpeciły odciski palców, wyglądało to brzydko, nie mogła tego tak zostawić – po randce na strzelnicy broń nabrała dla niej nowego znaczenia. Skoczyła zatem do kuchni po środki czystości i wkrótce w lśniącej szybie można się było przejrzeć. A nawet zobaczyć odbicie błyskawic, gdyż na zewnątrz w ciągu paru sekund rozpętała się potężna burza. Dom zaczęły bombardować strugi deszczu, narastał szum, błyskało, dudniło, trzaskało, aż Tosi zrobiło się niewyraźnie. Z tym większą radością przyjęła dzwonek do drzwi. Chwyciła z fantazją za pistolet, chwyciła za miotełkę, poprawiła fartuszek...

Jakie było jej zdziwienie, kiedy zamiast szczupłego i przystojnego szatyna o regularnych rysach twarzy zobaczyła przed sobą naburmuszonego krasnala w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym, któremu kapało z nosa, kapało z grzywy pod przekrzywionym kapturem...

W dodatku krasnal przemówił głosem komisarza Marchewki i insynuował jakieś nie wiadomo co:

– Nie wierzę! Znowu pani?!

Marchewka, to był Marchewka.

Tosia spojrzała na komisarza, spojrzała na swój fartuszek, na podwiązki, haleczkę... I bardzo chciała to wytłumaczyć, ale jak można pewne rzeczy wytłumaczyć, nie robiąc przy tym z siebie idiotki?

– Ale że co? Panie komisarzu, ja tu tylko... Ja tu tylko sprzątam... – palnęła i oczywiście zdobyła puchar.

Słodka idiotka roku.

Tyle że potem Marchewka zaczął mówić bardzo dziwne rzeczy i rzeczywiście pomyślała, że musiała zwariować. Igor postrzelony? Gdzie, kiedy? W jakim garażu? Przecież ona tu była i nie słyszała żadnego strzału.

– Proszę to oddać! – doleciało do niej jakby z daleka, choć komisarz stał tuż obok i domagał się zwrotu pistoletu, który wciąż trzymała kurczowo przyciśnięty do piersi. Przed chwilą przekazała mu z wahaniem miotełkę, ale miotełka najwyraźniej przedstawiciela prawa nie zadowolili.

Marchewka zdążył już zdjąć płaszcz, patrzył na nią teraz wyczekującym wzrokiem, a tymczasem do domu zaczęli napływać faceci w mundurach. Z ulicy dobiegały migające światła samochodów, przez okna wpadały błyski, Tosię zaczęła nagle paskudnie boleć głowa.

– Może ja się pójdę przebrać – wymamrotała pod nosem, ale komisarz był czujny.

– Pani Tosiu, odzież... Yyy... Bielizna. Musimy ją zabrać. I ten pistolet...

Oddała mu broń, wciąż jednak usiłowała pojąć, co się dzieje i jaką odgrywa w tym przedstawieniu rolę.

Przecież nie wystrzałowej sprzątaczkii?

– Bieliznę? Po co?

– Musimy zbadać, czy nie ma na niej prochu. Odzież wierzchnią również poproszę.

Ale co, ma zostać goła?! Goła i podejrzana. Po prostu randka idealna.

A jej chłopak...

– Ale czy on na pewno żyje? – spytała już chyba po raz setny, bo Marchewka, mimo jej usilnych próśb, nie pozwolił jej pobiec do garażu.

– Żyje.

– Ale może pan mnie chce tylko uspokoić...

– Nie chcę. Proszę się w coś przebrać, pożyczyc na zmianę ubrania pana Igora. Koleżanka z panią pójdzie i zanotuje, co pani wzięła. – Pokazała na funkcjonariuszkę stojącą na baczność w korytarzu.

– W sypialni jest szafa – wydukała Tosia i poprowadziła tamtą schodami na górę.

I właśnie wtedy, kiedy wzrok policjantki przeniósł się z pośladek Tosi na jej ręce i kiedy w ręce Tosi przekładającej ubrania w szafie wpadły łańcuszek z serduszkiem i pierścioneł wciśnięte razem do jednej z szuflad, wtedy Tosia zrozumiała, że to nie miała być randka idealna, ale idealna MISTYFIKACJA.

Bizuteria w szufladzie z koszulkami Igora należała bez wątpienia do Goški.

SMS, który dziś Tosia dostała, był bez wątpienia przeznaczony dla Goški.

Dla tej samej Goški, która dziś napisała do Lulka, że woli rówieśników, a przecież było wiadomo, że woli starszych...

Antonina Biczak, idiotka roku.



Po burzy wszyscy odetchnęli.

Świat nareszcie wyglądał jak pudełko kredek świecowych, ale NIE roztopionych w słońcu. Nawet Tosia, która kochała lato, zaczęła marzyć o chłodnych jesiennych wieczorach – co innego zieleń i słończeczko, a co innego skwar i znikoma ilość tlenu w powietrzu. Po nocnej burzy poranek znowu przypominał białą kartkę, można było na niej szkicować zieloną kredką, niebieską, żółtą, a każda barwa była czysta i wyraźna. Ptaki wychwalały pod niebiosa Stwórcę swoimi trelami, posrywały beztrósko na kartkę, owady bzyczały.

I nareszcie było czym oddychać!

Tyle że akurat Tosi nie chciało się oddychać, w ogóle nie chciało się jej żyć i kiedy patrzyła na chmury pęczniące na niebie niczym porcje bitej śmietany ułożone na niebiesciutkim talerzu i na ponure zygzaki we własnych flakach, to rozważała, czy po skoku z ósmego piętra zabije się ostatecznie, czy tylko połowicznie.

Usiadła więc na balkonie z kawą i patrzyła, jak kapią do niej łzy.

Lulek się do niej nie odzywał.

A Igor okrutnie z niej zadrwił i nie wiadomo, co bolało bardziej.

Jak można było kłamać i wymyślać te wszystkie skomplikowane historie o wytyczaniu granic, jak można było kajać się za wuja i rzuconą do niej „koleżankę” – znalezienie dobrej odpowiedzi Tosię przerastało. Skoro Igorowi przydarzyła się Goška i skoro już między nimi do czegoś doszło

i Gośka w tym dochodzeniu była niesamowita, w porządku. Igor wysłał do Tosi przez pomyłkę wiadomość, zdarza się, mógł to zostawić, a nie przeciągać znajomość i robić jej wodę z mózgu jedynie z powodu ego. Pomyślałaby, że Lulek się co do niego nie mylił, i koniec pieśni.

Tyle że męskie ego jest bardziej kruche niż wafle.

Lepiej kobietę ogłupić niż pozwolić, żeby o nim źle myślała – bo o co innego mogło chodzić? Fartuszek i miotełka, co za potworność... I jeszcze paradowała w tym stroju przed Marchewką!

Tosia wróciła do domu po dwudziestej czwartej i nie była w stanie opowiedzieć Lulkowi, co się wydarzyło, zresztą on wcale nie chciał słuchać. Natknął się na nią w przedpokoju, omiótł spojrzaniem koszulę i spodnie Igora, w których przyszła, i bardzo kategorycznie oznajmił:

– Okłamałaś mnie. Tak się nie robi. Obiecałaś.

Wiedziała, że tak się nie robi, i nie zamierzała robić, zrobiła tylko raz, jeden jedyny, ale Lulek równie kategorycznie oznajmił, że doskonale wie, że go z tym wyjściem oszukała, i że jest na nią zły.

– I bardzo cię proszę, nie gadaj do mnie przez jakiś czas. Muszę ochłonać.

Zatem nie gadała.

Ale z tym niegadaniem było jej fatalnie.

Tak naprawdę tylko z Lulkiem mogła porozmawiać o wszystkim, nawet o niezbyt wspaniałych rzeczach, których dokonała, a Lulek zawsze chciał słuchać i nigdy nie powiedział jej, że jest taka czy owaka. Ale przecież nie będzie mu płakać w koszulę, że facet, do którego się wymknęła, okazał się świniakiem. Bo Lulek dokładnie coś takiego jej sugerował. Skąd wiedział? I czemu ona dała się nabrać na gładkie słówka i jak można być tak brzydkim człowiekiem, będąc jednocześnie tak pięknym?

Właśnie, gładkie słówka...

Przecież między nią a Igorem nie zdarzyła się ani jedna głęboka rozmowa, ciągle tylko *small talk* i *small talk*, a z Lulkiem zawsze mają do siebie dostęp od razu, choć czasem nie pada nawet jedno słowo.

I teraz ma do niego nie gadać.

Na śniadanie czekała na nią mimo wszystko owsianka z jabłkiem, i to było malutkie pocieszenie. Nie pochłonęła trzech porcji, nie wkroiła do owsianki kielbasy, i to było drugie pocieszenie, i postawiony mały krok. Bobek polizał ją w policzek, skończyła się między nimi niewypowiedziana wojna, i to było trzecie pocieszenie. Czwartego pocieszenia nie było – po śniadaniu do drzwi zadzwonił Marchewka, Lulek go wpuścił, a komisarz już od progu zaczął wymachiwać...

Miotełką!

– Co to za czerwone gówno? O, sorry. – Lulek się opamiętał i tytnął na Tosię podejrzliwym okiem, po czym szybko przeniósł to oko na komisarza.

– A to własność pani Tosi – oświadczył beztrząsco policjant. – Przyjechałem oddać i porozmawiać na spokojnie o tym, co zaszło. Są też wyniki badań... Między innymi te dotyczące odkręcenia gazu. Śladów innych niż państwa odciski palców brak.

– Pan komisarz z tymi badaniami ma urwanie głowy jak pielęgniarzka w laboratorium – zażądał Lulek, wyjmując z szafki filizankę. – Tak myślałem, że nie będzie żadnych śladów. Jeśli to ten sam koleś, który włamał się do profesora. Kawka?

– A bardzo chętnie. Profesorowi się skończyła i jeszcze dziś nie piłem.

Tosia chwyciła za miotełkę i zawiniątko z bielizną, ukryła wszystko za plecami, ale za plecami zdążył się już zmaterializować Bobek, z którego znowu tryskała zwykła energia. Od rana usiłował rozprawić się z plastrem, bez powodzenia, na miotełkę zareagował więc nad wyraz żywiołowo.

Wyrwał ją Tosi z rąk.

– Profesorowi? – zdziwił się Lulek, Marchewka też się zdziwił, że się wygadał, bo odpowiedź nie chciała mu za bardzo przejść przez gardło.

– Zatrzymałem się... Hm... Na jakiś czas... U pana... – Zakaszła. – Bukowińskiego.

– O, to teraz profesor może się czuć bezpieczny.

Ekspres zaczął szumieć, Marchewka zaczęła się jękać.

– Tak, byłoby dobrze... Po tym, jak tuż obok jego domu postrzelono siostrzeńca... Hm... To nie wiem, czy się czuje... Chyba niekoniecznie...

Lulek nie rozumiał.

– Jakiego siostrzeńca? To oni tam całymi hordami mieszkają? Chciałem powiedzieć: rodzinami...

– Miałem na myśli Igora Dziedzica – uściślił komisarz.

– Dzban przestrzelony?! Jak to?!

Teraz usiłował zrozumieć Marchewka.

– Dzban?

– Dzban... Dziedzic przecież! Ale kiedy?!

– Wczoraj w nocy. Pan nic nie wie?

– Mam do ciebie nie gadać – wtrąciła z pretensją Tosia. – Patrząc w twoją stronę chociaż mogę? Lulek w odpowiedzi tylko prychnął, a Marchewka wyczuł panujące między nimi napięcie i jakby się skurczył. Popatrzył na nich w popłochu, a Tosia przypomniała sobie jego wczorajszą rozmowę z żoną i od razu połączyła to z informacją o zatrzymaniu się u profesora...

Biedaczysko!

Lulek natomiast nie okazał żadnej empatii.

– Chcicie mi powiedzieć, że Tosia uczestniczyła w jakiejś strzelaninie?!

Marchewka nerwowo chrząknęła, po czym wyciągnęła z kieszeni kilka pomiętych kartek papieru.

– Ja również w związku z tym. Na rękach pani Tosi, na jej ubraniach... Na wierzchnim...

– I podwierzchnim! – uzupełniła w panice Tosia i komisarz na chwilę się zawiesił, ale tylko na chwilę.

– I podwierzchnim – podjął. – Nie stwierdzono obecności prochu. Czyli to nie pani Tosia strzelała. Mimo że na pistolecie są tylko jej odciski palców.

Lulek zamienił się w posąg, Bobek przestał gryźć miotełkę, a ekspres zaczął piszczeć.

– Jeszcze raz... Co, proszę?! – Lulka odblokowało.

Marchewka uprzejmie spełnił jego prośbę i teraz skurczyła się Tosia.

Już wiedziała, że jest źle.

Lulek nie obrażał się o głupstwa, ale jeśli działy się rzeczy ważne, nie umiał tak po prostu przejść nad nimi do porządku dziennego, tak pięknie jeszcze nie było.

– Nie stwierdzono obecności prochu. Czyli to nie pani Tosia strzelała. Mimo że na broni znaleziono tylko jej odciski palców.

Lulek wstał, nalał komisarzowi kawy i wpił się w Tosię rozżalonym spojrzeniem.

– Może pan komisarz zacząć od początku? – poprosił.

– Nie stwierdzono...

– Całą opowieść – przerwał Lulek. – Chciałbym usłyszeć całą opowieść od początku, jeśli można. Ja z tą panią nie rozmawiam... I nic nie wiem. A bardzo chciałbym wiedzieć. Bo wczoraj o mały włos ktoś mi nie poderznął gardła, a przyjechał na motorze tego...

Komisarz uznał, że opowieść się Lulkowi należy, więc odmalował barwnie szczegóły wczorajszych dramatycznych zdarzeń, miał jednak na tyle taktu i wyczucia, że szczegóły w kolorze czerwonym zatrzymał dla siebie.

Tosia go za to pokochała.

- Niezły ma przerób ten świr – skomentował historię Lulek, który również nie nawiązał do szczegółów randkowych, skoncentrował się na przestępcy. – Rano dźga nożem, wieczorem strzela z pistoletu... Ma jakieś takie kryminalne ADHD?

- Tak, jest niezwykle aktywny.

- Ja w całym życiu popełniłem może kilka wykroczeń, a ten jedzie z koksem równo – okazał ostrożny podziw Lulek. – A wczoraj to już chyba pobił rekord Guinnessa.

Marchewka spił z kawy piankę i cicho zamlaskał.

- Przyznam, że mnie to też dziwi. Pan Igor jest w bardzo złym stanie, wczoraj w nocy przetaczano mu krew – poinformował. – Jego stan jest już stabilny, ale lekarze nie pozwalają go przesłuchać. Właśnie od niego wracam, zdążył mi tylko powiedzieć, że zastał w domu złodzieja. Zamaskowanego złodzieja... I chciał go wystraszyć pistoletem, ale tamten mu go wyrwał.

- Strzelił, wytarł ślady, a potem na scenę wkroczyła... – dopowiedział Lulek.

Do Tosi właśnie dotarło, co znaczy nadgorliwość.

- Czyli ta szyba cała w śladach... – powtórzyła to, co komisarz usłyszał już w nocy. – Tam były ślady jego paluchów, a ja to wytarłam?

- Nie wydaje mi się – ocenił Marchewka, który siedząc na taborecie, wyglądał jak wcielenie zdrowego rozsądku. Niewielkie wcielenie, mimo to na Tosię jego osoba działała w ten tragiczny poranek kojąco. – Tak jak u profesora Bukowińskiego i tutaj nie stwierdziliśmy śladów włamania. Na kluczach są tylko odciski palców pani i pana Igora, porównaliśmy je z tymi z kierownicy samochodu. Sprawca na pewno był w rękawiczkach.

- Ale że dorobił sobie klucze do domów w całej dzielnicy? – rzucił z przekąsem Lulek i wtedy Tosi zaczęło coś świtać.

- Poczekajcie... Igor mówił do mnie przez telefon, gdzie chowa klucz. Był w sklepie i coś powiedział... – Tosia intensywnie myślała. – „Nie wąż na mnie, człowieku” czy coś takiego. I mówiłam też, że jadę z Lulkiem na Akademię Górnośląską. Może go ktoś podsłuchał...

- Tak mogło być – potwierdził z ociąganiem komisarz. – I właśnie między innymi dlatego chciałem o pewne rzeczy dopytać. Czy kiedy pani przybyła na miejsce, dom był otwarty?

- Zamknięty. Furtka tak samo.

- Skubaniec działa metodycznie! – wyraził pogląd Lulek, a Marchewka znowu się z nim zgodził.

- Dokładnie tak. Czyli albo miał dorobione klucze, albo, jak sugeruje pani Tosia, wiedział, gdzie pan Igor je schował. Ukradł kask, nie ma go w garażu, więc o DNA możemy zapomnieć.

- I że tak pod nosem pana komisarza... Akacyjowa, pan tam niedaleko mieszka, jak mi niektórzy... – zerknięcie z ukosa na Tosię – przekazali.

Marchewka w zakłopotaniu zaczął się bawić filiżanką.

- Przed domem profesora siedzi nasz człowiek. I... wczoraj były takie dwie newralgiczne godziny, kiedy musiał zejść z posterunku, żeby mi pomóc... Sprawy służbowe. Podejrzewam, że wtedy to się stało. Nie usłyszeliśmy strzału, tłumik...

- A o której to było? – spytała Tosia, wyciągając telefon. – Igor dzwonił do mnie wczoraj przed południem.

- Jedenasta? O pierwszej skończyliśmy.

- To by się zgadzało.

- Z rektorem byłem umówiony na spotkanie o dwunastej – wtrącił Lulek. – Ale nie doszło do niego przez akcję z nożem. O dwunastej ten świr już tam był. ADHD, normalnie przestępcze ADHD...

- Z tego wynika, że sprawca ukradł motor i pojechał na ulicę Armii Krajowej za panem Lulkiem, a potem wrócił z jakiegoś powodu na Akacyjową i wtedy Dziedzic go nakrył – ciągnął komisarz, marszcząc w skupieniu nos pod grzywą. – Niezły galimatias. Nic z tego nie rozumiem...

- Igor mówił, że będzie w domu najpóźniej na dwudziestą drugą, miał jakieś sprawy za miastem – dodała Tosia.

- Może czegoś zapomniał? I się wrócił – rozważał Marchewka. – Ale kolejność zdarzeń chyba musiała być mniej więcej taka.

Lulek nagle zbladł, w następnej kolejności poczerwieniał, a później znowu zbladł i choć koloryt jego lica nie był zbyt intensywny, Tosia od razu zauważyła, że coś się z nim dzieje.

- Proszę spytać, co mu jest – rzuciła w napięciu do Marchewki, który od razu zareagował i przeniósł zafrasowane spojrzenie na Lulka.

- Co panu jest?

- Przecież temu świrowi cały czas chodzi o nią! – zakrzyknął przejęty Lulek i zaczął się płatać w zeznaniach. – Ten odkręcony gaz, nóż... Jemu nie chodziło o Tosię. Jemu chodziło o nią!

Marchewka wyglądała na zdezorientowanego, Tosia też nie nadążała.

- Czego nie łapiecie? – spytał Lulek, widząc ich miny.

- Wszystkiego – odparła Tosia, ale w ostatniej chwili odwróciła wzrok. – Mówię do pana komisarza. Raz chodzi o mnie, raz nie o mnie. A może ja to nie ja?

- Cały czas chodzi o nią! – upierał się Lulek.

- Też uważam, że pani jest kluczem do sprawy – dołożył nagle niezadowolony komisarz. – Tylko na razie nie umiem dopasować do tego klucza żadnego zamka.

- Jestem kluczem? Może chociaż francuskim, Francuzki są chude jak szczapy.

- Ten świr chciał otruć gazem mnie, nie ją! – wyjaśnił gromko Lulek. – Ona się wymknęła do rodziców. Ostatnio ciągle się gdzieś wymyka, w ogóle nie bierze pod uwagę, że ktoś się może o nią martwić, prawda?

- Panie Lulku... – zakwilił w rozpacz Marchewka i Tosia mimo wszystko się roześmiała.

Lulkowi jednak nie było do śmiechu.

- Z gazem mu nie wyszło, przeżyłem. A skoro przeżyłem, to chciał dokończyć to, co spieprzył – wyliczał. – I dlatego wystartował do mnie z nożykiem. Ukradł motor. Komu? Absztyfikantowi tej pani... To jest wspólny mianownik! A potem chciał wykończyć i jego. Dziedzica gogusia. Albo nie chciał go wykończyć, tylko zrzucić na niego akcję z nożem, a goguś się napatoczył, więc oberwał.

Oszołomiony Marchewka poprosił nieśmiało o szklankę wody.

- Goguś, dzban... Nie rozumiem też tego związku z panią Tosią – wyznał, zebrawszy się na odwagę. – I tego mianownika. Pan też jest jej absztyfikantem?

Pytanie uderzyło w Lulka z siłą wodospadu. Lulek otworzył szeroko oczy, usta, po czym zaczął kaszleć i nalał wody najpierw Marchewce, a potem sobie. Tosia czekała na odpowiedź jak na wyrok skorumpowanego Sądu Najwyższego.

- Ja?! – wymamrotał po chwili. – Ona mnie nie chce. Zostałem zredukowany do roli przyjaciela...

Tosia nie wierzyła własnym uszom.

Zredukowany?!

- Zaraz, chwila, moment – zaprotestowała słabo. – O czym w ogóle jest ta rozmowa?

- Też chciałbym wiedzieć... – westchnął komisarz. – Wróćmy może do meritum. Czyli mamy dwóch, czy raczej trzech panów, których wiązą relacje... Nie wnikiem w ich charakter... Wiązą ich relacje z panią Tosią.

- A profesor Bukowiński? Chyba mi nie powiecie, że z nim też miałam romans!

Spojrzeli na nią z takim samym zastanowieniem, a Tosia o mały włos nie rzuciła się w rozpacz na dywanik Bobka.

- Nie mam! I nie miałam!



- Pomyśl dobrze - zaczął Lulek, po czym zmienił zdanie. - Panie komisarzu, może ten wątek warto zbadać? Może... Może ja jestem oszukiwany? Już nie wiem, w co wierzyć.

Ratunku!

- Nie mam i nie miałam! Ta twoja teoria... Panie komisarzu, ta teoria jest idiotyczna! I kogo on ze mnie robi?! Może mam też romans z panem Marchewką, co?!

Komisarz na te słowa omal nie spadł z taboretu.

- Wątek romansów proponuję jednak uciąć - powiedział tak przestraszonym tonem, jakby z warzywnika w lodówce miała zaraz wyskoczyć jego żona. - Faktycznie, jeśli pani nic nie łączy z profesorem...

- Łączy mnie praca. Pracujemy na tej samej uczelni. I nic poza tym. A, i jeszcze pilnowałam mu psa i ogrodu.

- Czyli jakieś powiązanie jednak jest - stwierdził cicho Marchewka, Lulek się jednak nie poddawał.

- Ale może ten świr myśli, że ich coś łączy...

- I w ogóle, co za nieudolny przestępca! - zawołała Tosia, czując narastającą złość. - Jeśli czyhał na profesora, to mu się nie udało. Z Lulkim ta sama historia. Nawet postrzelony Igor... A mówicie, że taki metodyczny. To jakaś niepozbita kryminalna sierota... Wspólny mianownik?! Jaki wspólny mianownik? Z tobą łączy mnie tylko mieszkanie! - wypaliła na koniec impulsywnie w stronę Lulka, jakby w odpowiedzi na to, że odwrócił się do niej plecami.

Na plecach Lulka nie drgnął nawet jeden mięsień.

Ale do końca wizyty komisarza Lulek ani razu na nią nie spojrział.



Żarty się skończyły.

Profesor Bukowiński zrozumiał to dobitnie wczorajszego dnia, kiedy Igor wylądował na intensywnej terapii. Jego życiu na szczęście już nie zagrażało niebezpieczeństwo, ale w okolicy czaił się psychopata i coś z tym fantem należało zrobić. Profesor kondycję fizyczną miał niezgorszą, w dodatku ostatni wypadek na rowerze zmotywował go, żeby znowu wrócić do ćwiczeń, ale czy to był wystarczający środek zaradczy?

Raczej niekoniecznie.

Dlatego gdy z rozmowy z Marchewką wynikało, że sąsiad poróżnił się z małżonką i chwilowo nie miał się gdzie zatrzymać, profesor nie wahał się ani przez moment – zaproponował mu pokój na poddaszu. Komisarz najpierw oponował, ale kiedy padł argument związany z bezpieczeństwem, złożył broń. Poza tym chciał chyba być blisko pani Zuzy – cały poranek spędził, wpatrując się w okna swojego domu.

Profesor doskonale to rozumiał, sam zaczynał tęsknić za swoją drugą połówką, ale wakacje u siostry to w obecnej sytuacji było najlepsze rozwiązanie. Dlatego kiedy żona zawiadomiła go dziś, że zamierza wrócić w przyszłym tygodniu, przerażony taką ewentualnością profesor starał się jej to wszelkimi sposobami wyperswadować, ale czy z pozytywnym skutkiem?

Raczej niekoniecznie.

Pani Bukowińska pilotowała ważny projekt organizowany przy współpracy z CINIb-ą, gdzie pracowała, i niestety, na etapie przygotowań wynikły problemy prawne. Wycofał się jeden ze sponsorów, inny sponsor chciał zmienić umowę, nie zgadzały się kwoty, nie zgadzały się warunki, a czas gonił. Słowem – najlepiej, żeby pani Bukowińska była na miejscu. Ale czy pandemia nie przeformułowała kontaktów międzyludzkich? Dziś większość spraw można załatwić drogą zdalną i opalać się w Borach Tucholskich, zamiast ukrywać się w krzakach przed psychopatą w Katowicach – rzecz jasna na temat tego, co się tutaj ostatnio wyprawiało, profesor nie wspominał nawet słówkiem, wystarczyło, że on się denerwował... Oczywiście został zrozumiany na opak, małżonka okazała podejrzliwość, stwierdziła, że pewnie mu bez niej dobrze, bąknęła, że zrobi mu zatem niespodziankę, a im bardziej profesor jej pewne kwestie tłumaczył, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jej obecność jest w pracy niezbędna. I gadaj tu z upartą babą. Jedyne rozwiązanie to jednak nie gadać, przynajmniej nie na ten temat, więc profesor odpuścił pogaduszki, w zamian za to postanowił coś przedsięwziąć.

Ćwiczył, dbał o kondycję, na poddaszu stacjonował chwilowo komisarz policji, drugi policjant pełnił służbę na posterunku przed jego domem, w sumie nieźle, ale żeby poczuć się jeszcze lepiej, profesor potrzebował czegoś więcej.

Kałasznikow?

Jak widać, Igorowi broń nie pomogła, kałasznikow zatem odpadał, paralizator również nie wzbudzał w profesorze entuzjazmu – jego użycie wiązało się z ewentualnym kontaktem fizycznym – ale taki gaz pieprzowy? Gaz pieprzowy jak najbardziej. Wyglądał jak dezodorant, zajmował niewiele miejsca, można go było nosić w plecaku, a taki gaz to lepsze niż nic. Profesor zamówił więc sztukę od razu po włamaniu, w poniedziałek, i właśnie dzisiaj przesyłka dotarła, co wprawiło Bogdana Bukowińskiego w wyśmienity humor. Pogoda też była dzisiaj jak na zamówienie – za oknem lśniła opita deszczem zieleń, powietrze było rześkie, słońce wesoło świeciło, ptaszki ćwierkały.

Życie nie umiera!

Profesor zjadł w towarzystwie komisarza porządne śniadanie (jajecznica z dziesięciu jaj), potem skoczył do sklepu zrobić najpotrzebniejsze zakupy, bite trzy godziny popracował nad swoją najnowszą książką i nie przejmując się czymś tak oczywistym jak instrukcja obsługi, zapakował do plecaka gaz, po czym zadzwonił po taksówkę. Na mieście zjadł obiad ze znajomym doktorem, który od dawna chciał mu podziękować za konsultację w sprawie pewnego tekstu, i podziękował, wylewnie – butelką dobrego wina. Primitivo to był ulubiony trunek jego żony, profesor się więc ucieszył i po spotkaniu, około godziny szesnastej, postanowił jeszcze zajrzeć na uniwersytet, do księgarni, gdzie przed powrotem do domu miał nadzieję uciąć sobie miłą pogawędkę z właścicielem.

Ale z pogawędki nic nie wyszło.

Z ucięcia – na szczęście również nie, choć było blisko...

Na wydziale zabrakło prądu i choć na zewnątrz słońce oślepiało promieniami, w księgarence panował czerwony półmrok, który w głębi pomieszczenia pozbawionego okien, jeśli nie liczyć małego uchylnego okna w samym rogu, przechodził w porządną ciemność.

Paweł przywitał profesora jak zwykle serdecznie. Ale już na wstępie oznajmił, że musi pilnie skoczyć do CINIb-y, i spytał, czy profesor może popilnować mu przez ten czas królestwa. Byli na tyle zaprzyjaźnieni, że nie stanowiło to żadnego problemu, profesor Bukowiński został więc po chwili w księgarni sam w charakterze strażnika ksiąg.

Pora jak na wizytę w takim przybytku była dość późna, w holu przemykali pojedynczy studenci, na portierni chwilowo nie było nikogo, a w księgarence zwykle pełnej dźwięków muzyki i rozmów unosiła się atmosfera leniwego spokoju – tak przemożnego, że gdyby panoszyły się tu mole, zapewne byłoby słychać, jak mlaszczą i raczą się literaturą. To dawało takiemu dorodnemu molowi książkowemu jak profesor rozkoszne przekonanie, że w końcu może tu sobie bezkarnie pobusować, poprzeglądać książki, które od dawna miał na oku, zajrzeć tam, gdzie zawsze chciał zajrzeć, i nie mógł mu w tym przeszkodzić nawet brak światła!

Zaczął jak zwykle od odwiedzin swoich monografii o Platonie i matematycznym przyrodoznawstwie (dział filozofia, oczywista, znajdował się od razu na wejściu), później dotknął pieszczotliwie grzbietu *Wierszy wszystkich* Kawafisa w przekładzie Ireneusza Kani, które zakupił od razu po wydaniu, w lutym, i którymi cieszył się do dziś, zerknął kontrolnie na opracowania znajomych filozofów, a na koniec, wiedziony ciekawością, postanowił zanurkować w mrok – chciał odnaleźć *Stadiony świata* swojego kolegi Nałęckiego, interesowało go, czy Krzysztof poruszył w swojej pracy wątki starożytne.

I kiedy, przyświecając sobie komórką, profesor Bukowiński odnalazł na tyłach księgarni dzieła przyjaciela stojące w nierównym rzędku, usłyszał, że do środka ktoś po cichu wszedł – a może nawet nie tyle usłyszał, co wyczuł ruch powietrza? W każdym razie kiedy profesor się odwrócił, ten ktoś stał już kilka kroków przed nim i było to dość upiorne.

Mężczyzna.

Stał i patrzył, nic nie mówiąc, a napięcie, które się między nimi rozszalało, można było kroić nożem.

Co jest?!

– Dziećmi dobry, nie ma prądu... – poinformował dość nerwowym tonem profesor, błyskając przy tym komórką. Walić po oczach człowiekowi nie wypadało, ale mały, niby przypadkowy błysk... – Właściciel na chwilę wyszedł. Jeśli pan chce coś kupić, trzeba...

Urwał w pół słowa. Czarna, jednorazowa maseczka, czapka z daszkiem – ależ to był facet ze światła na Piotra Skargi! Profesorowi w jednej chwili zabrakło z oburzenia tchu.

– To pan! To pan mnie wtedy popchnął na pasach! – zawołał, zanim zdążył pomyśleć i zanim tamten wytrzącił mu telefon z rąk.

Bo wytrącił, błyskawicznym i zdecydowanym ruchem, a kiedy włączona komórka szybowała w powietrzu, niktąca smuga światła prześlizgnęła się po sylwetce napastnika i coś w niej odbiło światło.

Podłużny, zakrzywiony kształt...

Nóż?!

Jak na strażnika ksiąg przystało, profesor Bukowiński pomyślał, że przydałby mu się stalowy miecz albo chociaż miotacz gazu, ale jego miotacz gazu spoczywał na dnie plecaka, do dyspozycji pozostawała mu w tej chwili jedynie oparta o półki składana, metalowa drabina i butelka primitivo.

Chyba że...

- Człowieku, co ty zamierzasz?... - spróbował rozmowy. - Nie rób niczego głupiego.

Tak, trzeba do niego gadać, mówić, jakoś do niego dotrzeć, zyskać na czasie i korzystając z ciemności, wydobyć z plecaka gaz.

- Słuchaj, jeśli ci coś zrobiłem, powiedz. Pogadajmy jak cywilizowani...

Ale człowiek w masce był raczej reprezentantem ludów pierwotnych albo barbarzyńców. Nie zająknąwszy się ani słowem, przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, rozłożył ręce i najwyraźniej gotował się do skoku.

To była jedyna chwila w życiu profesora, kiedy stwierdził, że książki w niczym mu nie pomogą. Nie mógł się nimi zasłonić, nie mógł oderwać regałów od ścian, nie mógł też przygrzmocić tamtemu między oczy opasłym tomiszczem, zwyczajnie nie było na to czasu.

- Pogadajmy! - Rozpaczliwie nadal próbował nawiązać z napastnikiem jakikolwiek kontakt. - Ukraǳem ci coś? Obraziłem cię?! O co ci chodzi? Przecież ja cię nawet nie znam. Mów, człowieku! Powiedź coś!

Człowiek przemówił, ale zamiast słów użył czynów.

Skoczył na profesora, zamachnął się, profesor usłyszał mrozący w żyłach świst, odruchowo zasłonił się torebką z winem i uskokzył w bok, ale za sobą miał półki, po prawej i po lewej półki, wszędzie półki i ani jednej tarczy - antykryzysowej, rycerskiej, jakiegokolwiek.

Plecak, otworzyć plecak!

Drabina, gdzie ta przeklęta drabina?

Profesor w natłoku chaotycznych myśli zapragnął nagle mieć kilka par rąk - jedną chwyciłby drabinę i zaczął nią wymachiwać w okolicy kolan napastnika, drugą utworzyłby w końcu cudem znaleziony w plecaku gaz, trzecia para rąk zaczęłaby tamtego dusić, a czwarta - ogarnęłaby wino, które właśnie o coś uderzyło, butelka pękła, trysnęła z niej ciecz i utworzyła na podłodze lepkie bajorko. Ale profesor nie był Sturękim, zamiast tego poślizgnął się na mokrej podłodze i wylądował na niej na czworakach. Jak w tej pozycji uporał się w ciągu kilkunastu sekund z otwarciem klapki zabezpieczającej gaz przed przypadkowym rozpyleniem, pozostało zagadką, bardzo żałował, że nie przejrzał instrukcji, ale najważniejsze, że się udało!

Miotacz gazu okazał się w walce skuteczniejszy niż miecz.

Profesor na oślep wycelował, zasyczał i...

Po chwili obaj - strażnik ksiąg i zamaskowany bandyta - zanieśli się potwornym kaszlem.

Jak to cholerstwo piekło w oczy!

Każdy miecz ma dwa końce, każdy miotacz gazu należy umieć obsługiwać - profesor szybko doszedł do właściwych wniosków i po prostu wziął nogi za pas, co było o tyle trudne, że napastnik najwyraźniej postanowił zrobić to samo. Charcząc i potykając się o własne nogi, odepchnął profesora i w popłochu runął w kierunku drzwi.

W drzwiach księgarni stanęła tymczasem...

- Boże, co się dzieje, pomóc panu w czymś?

Profesor rozpoznał głos pani Tosi i chciał ją ostrzec, ale potrafił tylko sapać.

– O w mordę, tu jest rozpylone jakieś świństwo! – Usłyszał, że kaszle i pani Tosia. – Jaki brutal... Potrafił mnie, gad jeden! Paweł, jesteś tu? Czemu tu jest tak ciemno?

Profesorowi udało się przyjąć godną pozycję i w końcu dotarł w okolice lady.

– Panie profesorze!

– Pawła nie ma. Woda, muszę przemyć oczy wodą! – rzucił krótki komunikat.

Profesor opadł na kanapę stojącą przy drzwiach i Tosi nie trzeba było więcej tłumaczyć. Pobieгла do toalety i wtedy profesor zrozumiał, że popełnił błąd. Gaz pieprzowy to stężona kapsaicyna, nic wielkiego mu się nie stanie, uroni najwyżej kilka łez, a łobuz był już zapewne daleko stąd. Zamiast się ze sobą cackać, trzeba było kogoś zawiadomić, łapać drania...

– Musimy stąd wyjść – zarządziła pani Tosia, kiedy wróciła i oceniła sytuację. – Zapraszam na korytarz, przy windzie stoją krzesła. Jakiś gbur nieokrzesany stąd wybiegł. Do czego to doszło, księgarnia miejscem niebezpiecznym! Co to w ogóle było? Gaz? I czuję też alkohol...

Profesor przytaknął skinieniem głowy, zmoczone chusteczki higieniczne przyniosły oczom niejakią ulgę, ale wciąż płynęły mu po twarzy potoki łez.

Co za krępująca sytuacja!

Płacze przy młodej, atrakcyjnej kobiecie...

I ma całe spodnie w plamach.

– Jeśli to gaz pieprzowy, woda nic nie pomoże – stwierdziła pani Tosia i trudno było się z nią zgodzić.

– Właśnie widzę... To znaczy nic nie widzę.

– A ja widzę... Nadciąga z posępną miną komisarz Marchewka! Czemu mnie to nie dziwi? Nasz komisarz jest wszędzie. Za chwilę znowu będę oskarżana i podejrzewana o nie wiadomo jakie przestępstwo. Panie profesorze, proszę powiedzieć komisarzowi, że nic nie zrobiłam. Znowu nic nie zrobiłam, podkreślam. Przyszłam do księgarni odebrać książkę. Ja tu tylko udzielałam pierwszej pomocy...



To już wołało o pomstę do nieba.

Nieba, na którym maleńkie chmurki swawoliły niczym baranki na łące i miały gdzieś wymyśloną przez ludzi na dole moralność. Czy to było moralne tak ją wciąż o coś oskarżać i oskarżać?

Gdyby Tosia nie darzyła małego Marchewki tak wielką sympatią, zaczęłaby mieć na niego uczulenie jak na pestycydy, którymi bez nijakiej litości przyska się warzywa, nie tylko te wystające z ziemi i pomarańczowe. W gruncie rzeczy obecność komisarza na uczelni była jednak jak najbardziej uzasadniona – przyszedł na obiad do rektoratu, a na wydział zajrzał, żeby popytać o... kolegów profesora Bukowińskiego. Pewnie chodziło o te dorobione klucze.

Tosia po porannej dyskusji na temat postrzelenia Igora uznała, że najlepiej będzie najpierw zrobić rundkę po parku, a potem iść na uczelnię i popracować, skoro w wynajętym mieszkaniu nie mogła liczyć na towarzystwo pana domu. Lulek nadal był urażony, ale i chyba przerażony, bo zaczął oglądać telewizję i skubać paznokcie, co zdarzało mu się tylko w chwilach największego wzburzenia.

Lulka należało jakoś ugłaskać, tylko na razie Tosia nie wiedziała czym.

Może przyrządzi dla niego jakieś wyborne jado?

Przecież nie robiła nic przeciwko niemu, chciała jedynie zaznać odrobiny szczęścia. Szczęście jednak postanowiło ją omijać szerokim kołem i teraz została bez faceta i bez przyjaciela – a raczej

z przyjacielem, ale śmiertelnie obrażonym. I pomyśleć, że jeszcze niedawno tak się cieszyła, że Lulek jest inny i nie strzela fochów...

Tosia spędziła pracowicie całe popołudnie w gabinecie profesora Nałęckiego, przygotowując się do czekających ją we wrześniu egzaminów, a po szesnastej przypomniała sobie, że ma jeszcze do odebrania książkę dla Lulka, może chociaż to poprawi mu humor.

Nie przypuszczała, że dziś znowu będzie robić za świadka kolejnego zamachu – choć może powinna zacząć się przyzwyczajać. Z niewiadomych przyczyn przewijała się przez to dziwaczne śledztwo jak kłamstwa przez usta polityków.

Tyle że jej nikt za to nie płacił, a o diecie, nomen omen, musiała myśleć sama.

Po zanurkowaniu w chmurze gazu pieprzowego profesor Bukowiński doszedł do siebie dopiero po czterdziestu długich minutach. Siedzieli z komisarzem we trójkę w gabinecie, kiedy do pokoju wszedł, gromko obwieszczając przybycie łupnięciem drzwi, jej promotor.

– A kogóż to diabli nadali? – powitał ich ze zdumieniem, uśmiechając się przy tym tak szeroko, że u dentysty dostałby odznakę dzielnego pacjenta jeszcze przed wizytą. – Człowieka ciągnie do pracy jak wilka do lasu, a tu proszę... Bogdan, ty płaczesz? Nie mów, że to ze szczęścia na mój widok...

– Dzień dobry. – Marchewka stanął na baczność przy biurku, ale profesor Nałęcki cisnął finezyjnie teczkę na fotel, którego, co odnotował z przyjemnością, nikt nie śmiał zająć, po czym łaskawym gestem władcy osadził komisarza na miejscu.

– Dzień dobry, ależ proszę siedzieć... Rzekłem w tonie penitencjarnym do policjanta – dodał i dyskretnie zarechotał.

– Krzysztof, na twój widok zawsze jestem gotów płakać w głos – rzucił w odpowiedzi profesor Bukowiński i sięgnął po chusteczkę. – Ale może nie dzisiaj.

– Nie krępuj się, znamy się tyle lat... Płacz, pozwolisz, że do piersi cię jednak tym razem nie przygarnę. Coś mnie ominęło? Pani Tosiu? – domagał się odpowiedzi od swojej doktorantki.

Tosia z kolei zerknęła w popłochu na komisarza.

– Pana Bukowińskiego ktoś znowu zaatakował – udzielił wyjaśnień Marchewka. – Tym razem nożem. I tym razem tutaj, na uczelni.

– Tutaj? Ale chyba nie w moim gabinecie?!

– W księgarni.

– W księgarni?!

Dla profesora Nałęckiego zabrzmiało to równie egzotycznie jak wieść o ataku nożownika podczas pierwszej komunii świętej w kościele pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, czy raczej Pawła i Jacka.

– Tak, u chłopaków – dodała Tosia. – Paweł musiał wyjść, zostawił profesora na chwilę samego, a w tym czasie...

Profesor Nałęcki usiadł, po czym dobył się z niego szczerzy protest:

– Zaraz, ale przecież mamy tu portiernię, kamery!

– Na portierni nikogo nie było, portierka robiła obchód.

– A nagrania z kamer przeglądamy – dokończył pospiesznie komisarz. – Sprawca wykorzystał chwilę, podejrzewam, że to był spontaniczny napad. Pan profesor zeznał, że tym razem bandyta nie miał rękawiczek.

– Spontaniczny... – mruknął z ironią profesor Bukowiński i łypnął na Marchewkę. – Nie wiem, czy taki spontaniczny. Od kilku dni mam wrażenie, jakby ktoś za mną chodził i mnie śledził. Nie cały czas, ale...

Na twarzy promotora Tosi zakwitła bardzo czytelna ambiwalencja.

- Ty też? - rzucił do kolegi porozumiewawczo, a komisarz Marchewka, na skutek wycelowanych w niego zimnych, naukowych spojrzeń, zaczął się kurczyć jak mrożonka wyjęta w upał z zamrażarki.

Tosia najchętniej by tam wrzuciła Marchewkę z powrotem, żeby nie cierpiał, ale tu nie Marchewka był ważny, ważne było śledztwo i złapanie oszołoma, który na nich czyhał, dlatego zebrała się w sobie i wyjawiała:

- Ja też mówiłam panu komisarzowi, że mi się wydawało... To samo. Że mnie ktoś obserwuje.

- No to mamy komplet. - Profesor Nałęcki westchnął, ale w tym westchnieniu nie było ani odrobiny gry aktorskiej.

- Panowie... - zaczął Marchewka z przejęciem.

- I panie - uzupełniła Tosia.

- Tak jest - przytaknął komisarz przepraszająco. - Wszystko dokładnie przeanalizujemy, proszę się nie denerwować.

- Co należy powiedzieć, żeby ludzie się nie denerwowali? - przerwał mu beztrząsco profesor Nałęcki.

- Żeby się nie denerwowali - podpowiedziała Tosia i to była właściwa odpowiedź.

- Zapewniam pana... Panów. I panią... Że podejmiemy wszelkie możliwe kroki. Zapewnimy państwu ochronę.

- Już lepiej. Dziękuję, ale nie skorzystam - oznajmił ze smakiem promotor. - Ja bym chciał tylko wiedzieć, ze względów zawodowych, czemu jestem przedmiotem zainteresowania elementu przestępczego. Socjologicznie rzecz ujmując...

- Może powstrzymajmy się przed zbyt pochopnym wyciąganiem wniosków. Zwłaszcza socjologicznych. Wszyscy państwo mówicie, że mieliście wrazenie... - bronił się dzielnie Marchewka, ale profesor Nałęcki dopiero się rozkręcał.

- Panie komisarzu, za przeproszeniem, ale trzy osoby to już jakaś reprezentatywna próba i raczej we trójkę nie mamy tych samych halucynacji.

Marchewka w zakłopotaniu tylko chrząknął.

- Ja już mam ochronę - rzucił filozoficznie profesor Bukowiński, który wcale nie chciał urazić komisarza, za dobrze to jednak w tych okolicznościach nie zabrzmiało.

Profesor Nałęcki od razu podjął trop.

- I jaki jest tego efekt? Pytanie retoryczne - uspokoił zgnębitego komisarza. - Efekt widać przecież na załączonym obrazku. Płacz, Bogdanie, płacz... Taki jest właśnie los porządných obywateli, na których czają się w naszym kraju zwyrodniali przestępcy.

- Nie mam ludzi... - zaczął żałośnie Marchewka, a profesor Nałęcki poklepał go przyjaźnie po ramieniu, po czym znowu wszedł policjantowi w słowo.

- Bogdanie... - zaczął uroczyście. - A co byś powiedział na dyżur obywatelski? Codziennie ktoś z nas będzie ci towarzyszył. Mogę poświęcić na to trzy dni w tygodniu, zresztą chciałem z tobą omówić pewną koncepcję, która pośrednio nawiązuje do Platona...

Profesor Bukowiński chyba się przestraszył, choć Tosia uznała, że pomysł ma szansę na realizację.

- Ja mogę panu towarzyszyć nawet z Nietzschem - zadeklarowała.

- Z niczym? - powtórzył radośnie socjolog i puścił do Tosi oko.

- Z psem. Chociaż już nie Nietzsche, tylko Bobek, teraz tak na niego wołamy. Mogę nawet spytać Lulka, czy też nie weźmie udziału w naszym projekcie... Albo może pan komisarz spyta, czy Lulek nie pomoże, nadal ze sobą nie rozmawiamy...

Marchewka zaczął w rozpaczy tarmosić swoją grzywę i widać było, że bardzo przeżywa upadek autorytetu polskiej policji.

– Naprawdę! – wyrzucił z siebie to, co od kilku chwil w nim pęczniało. – W naszym projekcie?! Państwo nie musicie nic robić! Proszę nam zaufać!

– Sam pan mówi, że nie ma ludzi – bąknął profesor Nałęcki.

– Ale teraz sytuacja dojrzała do zdecydowanych działań. To na pewno ktoś stąd. A o tym, że panowie są śledzeni, dowiaduję się dopiero teraz. – W głosie komisarza zabrzmiała nagana. – Pan mówił, że nóż napastnika był zakrzywiony...

Profesor Bukowiński przytaknął.

– Zgadza się, był.

– Podobnym nożem zaatakowano wczoraj pana Lulka, czyli...

– Jerzego Zendera – odpowiedziała Tosia uprzejmie, a obaj uczeni wybałuszyli na nią oczy.

– Też w księgarni?!

– Na Lulka z nożem?!

Ucieszony, że rozmowa zmieniła kierunek, Marchewka zrelacjonował wczorajsze zdarzenia, a nawet wyłuszczył im swoją teorię:

– To ktoś stąd – powtórzył. – Wszystko dzieje się w gronie znajomych osób. Narzędzie to samo, sprawca zamaskowany, w każdym zdarzeniu bierze udział, w taki czy inny sposób, pani Tosia. Do tego maseczka, kask, napastnikowi ewidentnie zależy, żeby go nikt nie rozpoznał.

– I nie otwiera dzioba – błysnęła Tosia w zamyśleniu. – Nie odzywa się cwaniak, boi się, że rozpoznamy jego głos. Jak mnie potrącił na korytarzu, to samo. Milczał jak zaklęty i głowa w dół! Pan komisarz ma przy sobie zdjęcia z kamer? Te na motorze i ze sklepu...

Marchewka sięgnął do przepastnych kieszeni swoich bojówek, które kończyły się niemal przy kostkach i były wypchane jak siatka na zakupy, sprawiając tym samym wrażenie, że ważą więcej niż sam właściciel. Może dlatego drobny policjant nie unosił się na wietrze?

Po chwili wszyscy nachylili się nad rozmytymi kserokopiami, co zbyt wiele nie dało.

– Przemknął obok mnie jak pershing – powiedziała na swoją obronę Tosia.

– Było ciemno, potem psiknąłem gazem i już w ogóle nie było nic widać – wyjaśnił profesor Bukowiński.

– Ja się nie odzywam, mnie przy tym nie było – zastrzegł profesor Nałęcki. – A zdjęcia... Nic mi nie mówią.

– Rozumiem. – Marchewka docenił ich starania, ale nie zamierzał odpuścić. – Mam nadzieję, że już dziś znajdziemy coś na kamerach stąd i z okolicy uniwersytetu. I wtedy będziemy te zdjęcia pokazywać KAŻDEMU, może ktoś go rozpozna... – rzucił, a profesor Bukowiński skrzywił się tak, jakby mu ktoś jednak zadał cios nożem.

Prosto w brzuch.

Ale nic nie powiedział.

I na tym stanęło, choć Tosia miała dziwne odczucie, że pomimo starań komisarza śledztwo leży i kwiczy. A najgorsze, że nie miała o tym wszystkim komu opowiedzieć.

Do Goški postanowiła się już nigdy w życiu nie odezwać.

Do Igora również.



Choć Hanna Bukowińska skończyła w marcu czterdzieści dziewięć lat, wcale nie czuła się stara, co najwyżej mogła się zgodzić, że wkroczyła w tak zwany wiek średni. W ogóle nie wyglądała na swoje lata, w genetycznej ruletce wygrała po matce młody wygląd i szczupłą figurę, poza tym wzięła sobie do serca rady rodzicielki i używała dobrych kremów, stać ją też było na modne ubrania. Żadnego cotton 100%, żadnych lnianych worków nadających się do zasłonięcia cokołu,



żadnych drewnianych koralu i innych artystycznych cudów, od których wiało nawiedzeniem. Nie, styl pobożnej cioteczki tudzież ekscentrycznej artystki odpadał. Latem najlepiej czuła się ubrana w wiewną spódnicę i przylegającą bluzeczkę, do tego zawsze nosiła buty na wysokim obcasie.

A może starzenie się to kwestia kulturowa?

Gdyby zestawili dzisiejszą kobietę pięćdziesięcioletnią z rówieśnicą żyjącą choćby w czasach komunizmu, byłoby to jak porównanie designerskiej lampy z duńskiego sklepu z wyposażeniem wnętrza z lampą naftową Łukasiewicza. Niby obie świecą, każda ma swój styl, ale nastąpiła zmiana systemu. Dziś system działa tak, że kobieta raczej nie zakłada rodziny w wieku lat dwudziestu, jak pani Hanna kiedyś, ale dopiero w okolicach trzydziestki, a nawet grubo po niej. Jeśli w ogóle ktoś myśli o formalnym założeniu sobie pętli na szyję, a nie o związku partnerskim.

Wszystko się poprzesuwało.

Mężczyźni dojrzewają po czterdziestce, kobiety brzydą po sześćdziesiątce.

Tylko nie zawsze za upływem czasu nadąza to, co wewnątrz, i pani Hanna, choć z wyglądu do schrupania – jeśli ktoś woli herbatniki od świeżych pączków – jeszcze niedawno czuła się w środku pusta jak osiedlowa cukiernia po godzinie piętnastej.

Bo co ją jeszcze może w życiu spotkać?

Trójka jej dzieci osiągnęła pełnoletność i wyprowadziła się z domu, pani Hanna miała stabilną, dość jednak monotonną pracę, miała męża, który niby doceniał, że jego żona nie wygląda jak eksponat w muzeum, tyle że dokładnie tak ją traktował. A jak się zwykle traktuje eksponat w muzeum? Płaci się za wstęp, na eksponat rzuca się okiem, może czasem nawet podziwia i idzie się dalej.

Profesor Bukowiński w ogóle jej nie dostrzegał.

Patrzył na nią, ale jej NIE WIDZIAŁ.

W jego oczach była kimś, kto dba o dom, trawnik, o jego ubrania, o talerze i o to, co na tych talerzach, ale to wszystko. Taka była smutna prawda. I nie ma się co łudzić, że małżonek zacznie się po tych wszystkich latach nagle trząść na jej widok z ekscytacji – choć pewnie zacznie się trząść, był przecież od niej starszy o szesnaście lat, poza tym w rodzinie był wujek Parkinson. Szesnaście lat! Gdyby kiedyś, jako zakochana w nim bez pamięci studentka, wiedziała, że szesnaście lat różnicy między kobietą a mężczyzną to przepaść, toby w nią tak ochoczo nie skoczyła...

I już nawet pomijając życie małżeńskie – w pani Hannie nie było żadnego uczucia. Względem kogoś ani nawet czegoś. Ani wściekłości, ani zachwyty, ani nienawiści, niczego. Była w środku jałowa jak Pustynia Błędowska, na której kiedyś kręcono Faraona, ale dziś to tylko kupa lotnych piasków. I chyba tego pragnęła ostatnio najbardziej.

CZUĆ.

Dlaczego człowiek tak bardzo potrzebuje czuć?!

Przez ostatnie dwa lata jej małżonek wciąż gdzieś jeździł – konferencje, narady, zjazdy, wciąż miał spotkania, konsultacje, wciąż wykladał w rozmaitych ośrodkach. Tak to się oficjalnie nazywało, a nieoficjalnie pani Hanna wyczuwała rywalkę, tyle że zupełnie nie miała już sił walczyć. Walczyła, kiedy zdarzyło się to za pierwszym razem, jakieś dziesięć lat temu. Potem był drugi raz, po kilku latach spokoju trzeci, potem stała się... koneserką win. I doszła do wniosku, że już jej nie zależy. Im wino starsze, tym było lepsze, w przypadku mężczyzn taka zależność nie zachodziła. Wino pomagało o tym zapomnieć.

A w maju do czytelnicy przyszedł pan Wiktor.

Przystojny czterdziestodwuletni architekt.

Był jak nieleżakowane *beaujolais nouveau*, tak świeży i tryskający entuzjazmem, tak ciekawy świata, tak pełen pasji, kiedy opowiadał o swoich projektach, że pani Hanna zaczęła powoli myśleć

i o leżakowaniu, a nad Pustynią Błędownską zaświeciło ostre słońce. Po rozmowach z Wiktoorem czuła się tak, jakby wszystko dookoła pokrywał złoty pył, a w jej żyłach płynęła nie krew, ale przyjemnie musująca substancja, która uderzała nie tylko do głowy, ale i w inne miękkie miejsca.

Dziś mieli się zobaczyć po raz pierwszy po dłuższej przerwie (dzwonili za to do siebie każdego dnia!), a to dlatego że pan Wiktor był ostatnio mocno zajęty, ona zresztą również – pracowała w CINIb-ie, która we wrześniu obchodziła dziesięciolecie powstania, co wiązało się z mnóstwem dodatkowych obowiązków – i pani Hanna nie mogła się tego spotkania doczekać.

W końcu przeszli na „ty”!

Zdaje się, że to była ich pierwsza randka, którą Wiktor nieśmiało zaproponował pod pretekstem zwiedzania budynku. Jego nieśmiałość była zresztą rozbijająca. Budynek księżnicy fascynował architektów, został nawet uznany za jeden z najwybitniejszych obiektów współczesnej architektury w Polsce, prośba więc pani Hanny nie zdziwiła, jako instytucja regularnie organizowali takie wycieczki, bardziej zdumiało ją to, że Wiktor poprosił, żeby zwiedzanie odbyło się po godzinach. Zapytany o powód odparł, że nie chce jej narażać na plotki, nie ukrywała przecież, że jest mężatką.

Kochany!

Wzruszyła ją ta troska tak bardzo, że do pracy przyfrunęła dziś jak na skrzydłach. W końcu była dla kogoś ważna, nie była przezroczysta, a z ramion z pewnością wyrastały jej kępki lśniących białych piór. Zresztą wszystko w ten sobotni dzień wyglądało inaczej – choćby budynek CINIb-y złożony z wielu połączonych ze sobą prostopadłościanów. Można było obliczyć ich pole powierzchni, objętość, zmierzyć przekątne, wyznaczyć liczbę ścian i wierzchołków, patrzeć, jak odcinki przechodzą w łamane. Opatrzony, niby oczywisty, zwykły-niezwykły dla kogoś, kto widywał go każdego dnia, dziś gmach skojarzył się pani Hannie z tabliczką czekolady posypaną cynamonem.

Aż się chciało odłamać kosteczkę!

Piaskowiec do pokrycia elewacji w kolorze alizarynowej czerwieni przyjechał tu prosto z Indii, barwą nawiązywał do śląskich zabudowań. I w tej chwili – do kolorytu wewnętrznego pani Bukowińskiej, która rozmyślała, czy to zwiedzanie nie powinno jednak zostać połączone z konsumpcją. Tabliczka czekolady z cynamonem to nie wszystko – przed wejściem do budynku pani Hanna dopiero dziś wypatrzyła płaskie, okrągłe kamienie, do złudzenia przypominające pistacjowe pralinki. Jak mogła przechodzić tędy każdego dnia i ich nie widzieć? Zupełnie jakby ktoś rozpakował pudełko czekoladek i je tam poukładał, w równym rzędku, po jednej, żeby pobudzić czyjś apetyt.

Zresztą czy czytanie książek nie jest czynnością smakowitą?

Cynamonowa czerwień cegieł – krew, temperament, miłość, pasja – i szary seledyn kamieni – witalność, ukojenie, siła... A gdyby tak w przerwie skoczyć do sklepu i kupić jakieś słodczyce? Można by się włóczyć w podziemiach labiryntami korytarzy, popijać kupione na wynos w kawiarence pana Lulka cappuccino...

Tak, CINIbA to idealne miejsce na randkę!

W ciągu dnia przez informatorium przewinęło się sporo ludzi, choć w sobotę ruch był mniejszy niż w tygodniu – jak wynikało z ich wewnętrznych obliczeń, bibliotekę odwiedzało codziennie tysiąc pięćset osób, więc to nie były przelewki. Ale kiedy człowiek myśli o pralinkach i oczach Wiktora, wkoło może szaleć choćby dziki tłum! Jest się aniołem, dla każdego czytelnika ma się promienny uśmiech, a także pokłady cierpliwości, i z takim podejściem można śmiało kandydować na pracownika roku.

Wpół do czwartej pani Hanna wymknęła się do toalety dokonać przeglądu środków wpływu bezpośredniego – fryzura, makijaż, dekolt – i z bijącym sercem czekała. Niestety, z kawy

i czekoladek nic nie wyszło, zabrakło czasu. Poza tym drżał w niej każdy organ: pocily się jej ręce, zołądek ścisnął się w niej tak, że nie pomieściłby nawet łyżki wody, zaczęło ją też coś boleć w dole brzucha – najlepszy dowód, że bibliotekarki również posiadają macicę – i wreszcie kilka minut przed szesnastą...

W szklanych drzwiach stanął on.

Wyglądał jak zwykle niepozornie – koszula, dżinsy, plecak, czapka z daszkiem – ale kiedy na jej widok się uśmiechnął, Hanna Bukowińska mianowała Wiktora swoim osobistym czytelnikiem, już nawet nie roku, ale dekady.

Zapewne przez kolejne dekady nic bardziej szalonego jej nie spotka.

Wiktor przyszedł tuż przed zamknięciem wypożyczalni, pracownik ochrony zdążył już sobie pójść, koleżanki również zbierały się do domów, więc sytuacja nie była krępująca, ale czy oni robili coś złego?

Czy zachwył drugą osobą – autentyczny, żywy zachwył – może być zły?

Wiktor peszył się jak nastolatek, to też ją rozczulało, po swojemu opuścił głowę i czekał, niby wertując jakiś folder. Kiedy sala opustoszała, pani Hanna wyłączyła oświetlenie, sprawdziła, czy wyszli już ostatni maruderzy, i dała Wiktorowi znak. Do części dla pracowników przeszedł tak sprytnie, że raczej nie uchwyciła go żadna z kamer, ale jeśli nawet – zawsze można powiedzieć, że odwiedził ją kuzyn, cóż wielkiego. Co prawda w zbiorach specjalnych znajdowały się drogocenne woluminy, ale placówka miała ochronę, poza tym Wiktor nie był przecież żadnym złodziejem.

To był bardzo kulturalny i dobrze wychowany człowiek.

– Komora fumigacyjna. Dobrze wymawiam? – zapytał i przepuszczając Hannę w drzwiach, położył jej rękę na talii.

Niby drobny gest, ale zrobiło się jej od tego gorąco.

Tak, mówił, że bardzo chce zobaczyć komorę, w której dezynfekuje się wypożyczone książki, dlatego wcześniej zorganizowała klucz. „Zorganizowała” było dobrym słowem – przeczuwając, że w pomieszczeniu z komorą, z dala od niepożądanych oczu, mogą spędzić dłuższy czas, pani Hanna podczas nieobecności portiera zabrała klucz i dla niepoznaki powiesiła na jego miejscu inny, też z zawieszka, żeby puste miejsce nie rzucało się w oczy.

– Bardzo dobrze wymawiasz.

– Widziałem ją w Internecie.

– A tu zobacz, ciekawostka. – Pokazała na mijane właśnie podwójne drzwi ewakuacyjne z napisem K10. – Z budynku można wyjść nawet w środku nocy.

– Zawsze otwarte?

– Tak. Dźwignia antypaniczna. A z zewnątrz tych drzwi w ogóle nie widać. Otwierają się tylko w jedną stronę.

– Zapamiętam. Choć w twoim towarzystwie panika mi nie grozi – wymruczał. – Poza tym mówiłaś, że tu jest ochrona.

– Tak, ale wiesz, jak to bywa w sobotę... – rzuciła beztrzesko. – Poza tym w obiekcie są tylko dwie osoby, a trochę metrów kwadratowych i pomieszczeń tu jest.

– Dobrze, w takim razie, kiedy cię zamknę w komorze dysfunkcyjnej...

– Fumigacyjnej – poprawiła, śmiejąc się z żartu i przemykając w stronę schodów.

– Tak jak mówisz. Zatem jak cię już zamorduję... – podjął wesoło Wiktor – to sobie wyjdę tymi drzwiami.

– Jak najbardziej. Po to są.

– Ale chyba jednak tego nie zrobię. – Udał, że się waha. – Ochroniarze by mnie zaraz złapali.

– Spokojnie. Możesz mordować, tak szybko się nie zorientują. Podmieniłam klucz. Nie widać, że go ktoś wziął. Możemy tu siedzieć choćby cały weekend – dodała tak sugestywnym tonem, że

nawet Wiktor, mężczyzna z klasą, który w trakcie ich dwumiesięcznej znajomości nie zdobył się na ani jeden dwuznaczny komentarz, musiał odczytać aluzję.

I odczytał.

Wszak był czytelnikiem dekady.

– Szelma z ciebie.

Pani Hanna aż się zatrzęsała od tłumionego chichotu, bo metamorfoza z poważnej pani bibliotekarki w Matę Hari podmieniającą po cichu klucze bardzo ją rozbawiła. Oj, jeśli ktoś uważa, że panie pracujące w bibliotece to bez wyjątku osoby nobliwe i stateczne, mało w życiu widział. A gdyby zobaczył, co się czasem między półkami rozmaitych bibliotek wyprawia, bałby się wypożyczyć choćby *Plastusiówy pamiętnik*, o *Akademii Pana Kleksa* nie wspominając...

– Jesteśmy jedno piętro pod ziemią – obwieściła, kiedy zeszliz obszerną klatką schodową w dół. W obie strony biegł długi korytarz zdobiony u góry sznurami kabli i rzędami srebrzystych rur. Było czysto i schludnie. – Tu naprzeciwko jest główny magazyn, ale może tam ktoś jeszcze być. Olbrzymia hala, prawie sześćdziesiąt metrów na trzydzieści. Pierwotnie miał na jej miejscu powstać podziemny parking. Może chodźmy dalej. Wybacz, rzucam tyle niepotrzebnych szczegółów... Zboczenie zawodowe, a raczej duma zawodowa.

– Ale ja się bardzo cieszę – zaprotestował Wiktor. – To wszystko jest szalenie ciekawe. Czyli w magazynie ktoś jeszcze jest?

– Wątpię, ale wolę nie sprawdzać. Po co ktoś ma nas przy okazji zobaczyć.

– Słusznie. A gdyby jednak ktoś tam był, a my w tym czasie będziemy w pomieszczeniu z komorą... – Wiktor zawiesił w napięciu głos.

– To sobie ten ktoś w magazynie pobędzie i z niego wyjdzie. Nie zobaczy nas przecież przez ścianę. Już jesteśmy – stwierdziła, stając przed drzwiami opatrzonymi numerem 113. Po lewej ich stronie znajdował się panel z oświetleniem awaryjnym, na którego widok jej towarzysz znów się zatroskał.

– Może nas jednak namierzą? A miałem wobec ciebie tak niecne plany...

Motyle w brzuchu pani Hanny zaczęły latać jak oszalałe, w górę i w dół.

– Tu się wyświetla informacja, czy można wchodzić, czy nie – objaśniła. – Jak się świeci czerwona lampka, to znaczy, że stężenie gazu jest wysokie i lepiej sobie darować.

– Czyli to nie wyje?

– Nie wyje. Tylko świeci. Co dwie godziny jest obchód budynku, ale nie zagląдают przecież do wszystkich pomieszczeń.

– A jakby ten gaz się tu rozlał, wybuchł czy coś...

Niemożliwe, Wiktor się chyba nie bał?

– Aparatura jest połączona z komputerem – szepnęła mu do ucha. – Nie uruchomisz jej ręcznie, chyba że wiesz jak. A jeśli odkręcisz zawór i stężenie gazu pójdzie w górę, to wyświetla się informacja na komputerze pana Grzesia. Tylko że teraz pan Grześ jest w domu, więc teoretycznie mógłbyś się pobawić. Ale nie zalecam – ostrzegła już całkiem głośno, a potem otworzyła drzwi i zaprosiła gościa do środka. – Tlenek etylenu jest zabójczy dla żywych komórek. Wszystkich. Zabija nie tylko wirusy i grzyby, bez problemu może zabić i nas.

Wiktor już nie słuchał.

I bardzo dobrze się, twrdury o zabijaniu mogła sobie jednak na pierwszej randce darować, nie przyczyniały się do tworzenia miłej atmosfery, która, na marginesie, chyba zaczynała rzednąć. Ten zwykle uśmiechnięty mężczyzna stawał się z chwili na chwilę coraz bardziej posepny, spięty, a na widok krematorium, jak nazywali między sobą pracownicy kabine, na moment zbladł.

Trudno się dziwić.

Pomieszczenie działało na wyobraźnię, jego sterylność przywoływała obraz sali operacyjnej albo miejsca, gdzie można kogoś pokroić na kawałeczki, a potem bez problemu odessać rurkami z metalowego stołu krew. A może na twarzy Wiktora odbijało się ostre światło jarzeniówek wzmocnione blaskiem aluminium, którym wyłożono sufit?

– Ale numer! – zawołał w chwilę później, wciąż jednak nie odrywał wzroku od stalowego pudła, w którym spokojnie mógł się zmieścić skulony człowiek. – Tu faktycznie można kogoś wsadzić i zagazować...

– Zagazować można nawet bez wsadzania. Wystarczy zamknąć drzwi. Pokoik robi wrażenie, co? – przytaknęła, po czym przesunęła sporych rozmiarów wózek z kasetą służącą do umieszczania książek w środku komory.

I to było ostatnie, co zapamiętała.

Nie zdążyła się odwrócić – Wiktor doskoczył nagle do niej od tyłu, wcale nie dlatego, żeby przyjąć dogodną pozycję do amorów. I nie wiadomo, co było bardziej wstrząsające: daleka i nieprawdopodobna myśl, że ktoś chce jej zrobić krzywdę, czy paląca świadomość, że nagle i z niewiadomych przyczyn przestało być miło.

Zupełnie nie rozumiała, co się dzieje.

Czuła tylko, że jej zaciśnięta w żelaznym uścisku szyja wygina się jak łodyga omdlałej rośliny, że nie może się z tych zakleszczonych ramion w żaden sposób wyrwać i że podczas szarpaniny uderza o coś głową, a walka o kolejny oddech sprawia palący ból i jest z góry skazana na porażkę.

Komora, butle z gazem, wózek, zlew...

Wszystko dookoła pokrywał złoty pył.



Pomiędzy wolnością a zniewoleniem istniała zasadnicza różnica, której Krzysztof Nałęcki doświadczał od trzydziestu sześciu lat małżeństwa i dziękował Bogu, że postawił mu na drodze kobietę nie tylko łaknącą wolności, ale i dającą ją innym.

Tą kobietą była jego żona, Magdalena.

Nie zamieniłby jej na żadną inną.

Jakże współczuł niektórym swoim kolegom, którzy musieli się tłumaczyć z każdego pójścia z kumplami na piwo, z każdego późniejszego powrotu, a nawet ze spojrzenia, które czasem się ześlizgiwało na krągłości innych kobiet to tu, to tam, bo niby czemu miałyby się nie ześlizgiwać.

Na kłótnie o podobne głupoty państwu Nałęckim było jednak szkoda czasu.

Czas po przekroczeniu pewnego wieku liczy się zupełnie inaczej i druga osoba zyskuje zupełnie inną wartość.

Weekend spędzili oboje wyjątkowo w domu, po wyczerpującym, upalnym tygodniu miło było posiedzieć w mieszkaniu z książką, nie czuć się w czterech ścianach jak w piekarniku, pić kawę, albo i nie, zaglądać do siebie nawzajem i cieszyć się, że nie trzeba nigdzie pędzić.

Magdalena Nałęcka stacjonowała w niedzielny wieczór w kuchni i z wypiekami na twarzy studiowała przyniesiony przez małżonka plik papierów, jednocześnie mieszała w garnku wypełnionym smażonymi malinami i co jakiś czas parskała głośnym śmiechem albo chichotała z cicha jak zażenowana pensjonarka.

Małżonek nie potrafił długo ignorować ani upojnego zapachu gotowanych z cukrem krwioscie czerwonych owoców, ani uciechy żony – wychylił zza drzwi swoją kudłatą blond głowę wraz z brodą, której nie przestawał tarmosić, gdyż intensywnie myślał nad tworzonym właśnie artykułem poświęconym, oczywiście, Gombrowiczowi.

– Daj, dyć ja pobruszę, a ty poczywaj – przemówił i odebrał żonie drewnianą łyżkę.

– Oj, w tej książce jest tak pobruszone i poświntuszone, że nie wiem, co teraz.

– Teraz to może... Kolacja? Może być chleb z dżemem. Poświntuszone? – zainteresował się nagle profesor.

– Debiut tej twojej znajomej.

– Ona nie jest moją znajomą, bez przesady.

– To w takim razie debiut twojej ulicznicy. Może być? – Pani Magda ucałowała męża w zarośnięty policzek. – Mówiłeś, że spotkałeś ją przy Rialto, na Wojewódzkiej.

– Na ulicy, fakt, i to nie na jednej. Już trzy razy mnie przydybała. I co z tym świntuszeniem? Jak w ogóle oceniasz te wypociny?

– Kochany! Dawno czegoś tak wstrząsającego nie czytałam. Że kobiety tak naprawdę żyją?

– Tak, czyli jak?

– Jeden stały kochanek, drugi na zakładkę, trzeci na horyzoncie. A w tle mąż i trudny rozród. Rozwód! Dzieci nie ma. I do wszystkich ta pani coś czuje. Wielkie serce, podziwiam... To autobiografia czy wyssane z palca?

– A kto by tam za wami trafił... Dżem wyszedł przepyszny! – stwierdził z uznaniem profesor. – Językowo jak?

– Ha! A wiesz, że ona bardzo dokładnie opisuje, co potrafi zrobić swoim językiem? *Sto twarzy Greya* przy tym wysiada.

– O, czyli thriller. Pięćdziesiąt było tych twarzy, miśku.

– Niech będzie i pięćdziesiąt. – Pani Magdalena spróbowała malin, młasnęła, dżem się jej faktycznie udał. – A najlepsze jest to, że autorka pisze, że jej kochankiem jest profesor. To czasem nie ty?

Na czole profesora pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Poczekaj, muszę pomyśleć. Język, mówiłaś, że co potrafi nim zrobić? Chwila, dokonuję w myślach przeglądu... Nie – zaprzeczył z udawanym smutkiem. – To nie ja.

– Ten jej kochanek jest od niej sporo starszy, ponad dwadzieścia lat, a jak wynika z książki, autorka studiuje u nas politologię. Doktorantka...

Profesor przestał się uśmiechać, w dżemie wyczuł niespodziewaną cierpkość.

– Ale żadne nazwiska nie padają?

– A co, przestraszyłeś się? Na szczęście nie. Tego starszego kochanka nazywa Ten Mój. Nosi brodę. Podobno brunet...

– Politologia, mówisz? O, czyli faktycznie jestem poza podejrzeniami!

– Ale ona podaje, że nie jest jego studentką, bo inaczej byłoby to trudno tak długo ukrywać. Czyli nie szukamy politologa, mój drogi... Nadal jesteś w grze.

– Nie politolog. Ponad dwadzieścia lat starszy. Brunet. Broda... – powtórzył profesor i zamarł. Już wiedział, skąd zna blondynkę.

Postanowił, że jutro zadzwoni do komisarza.

Ale może najpierw trzeba porozmawiać z Bogdanem?



„Z tobą łączy mnie tylko mieszkanie!”

Tosia tak ubolewała, że wyskoczyła w obecności Marchewki z tym tekstem o mieszkaniu, że przez całą sobotę i niedzielę nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Wyszło idiotycznie.

Na domiar złego Lulek już nie tylko nie wyglądał jak Lulek, ale też i nie zachowywał się jak Lulek. W mieszkaniu było cicho i obco, nawet pies czuł, że coś jest nie tak – leżał na zmianę to na

balkonie, to na dywaniku w kuchni i patrzył bardzo ponurym wzrokiem w lodówkę, ale nie chciał jeść. Drzwi do pokoju Lulka były przez dwa dni zamknięte, Lulek wychodził stamtąd tylko wtedy, kiedy Tosia była u siebie albo szła do łazienki.

Dramat w trzech pokojach z kuchnią.

Czyli w mieszkaniu.

Palnęła z tym mieszkaniem, zwyczajnie palnęła, przecież wiadomo, że z Lulkiem łączyło ją wiele. Jakby się zastanowić, to mniej było w jej życiu spraw, które się z nim nie łączyły. Wiedziała o niej prawie wszystko. Prawie, bo w końcu trzeba mieć tożsamość i zostawić jakąś cząstkę tylko dla siebie, żeby wiedzieć, gdzie kończy się Tosia, a gdzie zaczynają się inni. Inaczej można zwariować. Ale kiedy działo się coś złego, Lulek jej doradzał. Kiedy działo się coś zabawnego, śmiali się razem. Kiedy się wstydziła, że popełniła jakiś idiotyzm, Lulek nie pozwalał, żeby mówiła o sobie źle. W sumie to on wierzył w nią bardziej niż ona sama. Kiedy się smuciła, Lulek pierwszy ją pocieszał.

Lulek był jak brat.

I kochała go jak brata...

I w ogóle za cholerę nie umiała pojąć, o co chodziło Lulkowi z tą redukcją do roli przyjaciela. Jak go niby redukowała? A może ten głupek myślał, że skoro mieszkają razem, to od razu z piątku na sobotę wskoczy mu do łóżka? W porządku, z Igorem wskoczyła do stawu z poniedziałku na wtorek, poniosło ją. Po jednym dniu znajomości. Lulka znała całe życie i...

Tylko raz się z nim pocałowała.

A w zasadzie nawet nie pocałowała, to Lulek usiłował pocałować ją. Tylko że co chwilę wcześniej nastąpiło? Szli razem na świąteczne zakupy i na parkingu przed sklepem zdezorientowana Tosia zapytała Lulka o kiełbasę, nie mogła jej poprzednim razem znaleźć.

- Gdzie trzymając w lidlu, to nie wiem. Ale ja swoją trzymam w dziale „bielizna”. Tuż obok jajek - usłyszała.

Romantyzm pełną gębą.

Nic, tylko pędzić do działu mięsnego i połamać sobie w tym biegu obie kończynki!

Ale Lulek na tym nie poprzestał, złożył usta w ciup i wystartował z parodią pocałunku, pewnie to miała być druga część przedstawienia. Tosię tak to wszystko zdenerwowało, że omal nie doszło do rękoczynów, rozważała palnięcie Lulka w łeb czekoladowym mikołajem.

I niby ona go redukowała?

Owszem, prymitywnych żarcików było ostatnio jakby mniej, ale sam się nimi redukowałam i jeszcze będzie ją o to obwiniał?

To już szczyt.

Nie, nie będzie dłużej czekać, aż księżę się odobrazi i łaskawie wypowie do niej słowo, nie będzie chodzić na paluszkach i udawać, że jej tu nie ma. Raz na zawsze sobie to z nim wyjaśni! Nieważne, że jest północ, Lulek nie śpi, słyszała, jak przed chwilą otworzył okno.

Wóz albo przewóz.

Z takim postanowieniem Tosia odrzuciła kołdrę, z impetem zerwała się na równe nogi i wyszła na korytarz, nie zważając, że ma na sobie jedynie wczorajszą haleczkę; nic mniej przewiewnego w tym momencie nie posiadała, a w nocy wciąż było gorąco. Nie zdążyła jednak wcielić w życie swoich zamiarów - w pokoju rozszczękał się zaalarmowany Bobek, a Lulek w tej samej chwili, kiedy Tosia zamierzała zapukać do drzwi, stanął w progu. Może chciał pod osłoną nocy coś zjeść, a może zew natury wzywał go do toalety, trudno stwierdzić, ale teraz to Bobek zdecydował o dalszym biegu wydarzeń. Najwyraźniej ucieszył go fakt, że pan i pani znaleźli się po raz pierwszy od dwóch dni w tak niedalekiej od siebie odległości, i mową psiego ciała wyraził swą radość.

Skryty w ciemności skoczył na Tosię, a Tosia, chcąc uniknąć śladów pazurów na swoich udach, skoczyła do przodu, czyli na Lulka, zaskoczony Lulek nie utrzymał równowagi i poleciał na łóżko, Tosia wylądowała na nim.

Bobek, czyli sprawca, z zadowolonym burknięciem wycofał się na korytarz.

Konsternacja Tosi trwała ułamek sekundy i głównie wynikała z tego, że Tosia miała się do Lulka nie odzywać. Ale skoro już na nim leżała i skoro z chwili na chwilę robiło się jej na tym twardym cielem coraz bardziej błogo, pomyślała, że słowa nie zawsze potrafią wyrazić myśli, dlatego nic nie powiedziała, za to się do Lulka przytuliła.

Kochała go przecież jak rodzinę.

A potem spontanicznie cmoknęła go w nagi tors. Taki nic nieznaczący siostrzany pocałunek. Zresztą ten uścisk, w którym nagle oboje się spleli i z rozkoszy omal się nie rozpuścili, miał w sobie z pewnością również coś braterskiego. Lulek w rewanżu pocałował Tosię w dołek pod szyją. I tak sobie leżeli jak brat i siostra, już nie trzeba było rozmawiać o mieszkaniu, redukcji, wszystko stało się jasne, choć napięcie między nimi nie chciało zniknąć, a że prawa fizyki działają również w bloku przy netto, stało się.

Nad ranem doszło między nimi do kazirodztwa.

Po prostu w układzie ciał podczas ruchu w dół i w górę następują przemiany energii: potencjalna zamienia się w kinetyczną, a kinetyczna w potencjalną.

Z fizyką się nie dyskutuje.

Lulek tak ładnie pachniał, haleczka była cieniutka, półnagie ciało Lulka było w dotyku gładkie i sprężyste, usta Lulka całowały tak jak trzeba, tak samo jak dotykały Tosi jego dłonie, którymi...

To już szczyt.

Na szczęście nie doszło do niego od razu, Lulek się nie spieszył. I nie był leniwy. I chciało mu się starać...

A brzuszek Tosi wzbudził w nim szczerzy zachwyt.



Piotrek Marchewka z natury nie był wrywny.

Brał rozmaite życiowe trudności na klatę i się nimi nie przejmował i raczej nie działał pod wpływem impulsu. Pod warunkiem że trudności nie były związane z Zuzą – bo jeśli były, w Marchewce wędły zapał, siła i w ogóle wszystko.

Śledztwo dotyczące sąsiada i grupki jego znajomych szło jak po grudzie, komisarz może nie był z tego powodu najszcześniejszy, ale w takich sytuacjach miał swoje sposoby działania. Jeśli wątki wymykały mu się z rąk, jeśli poszlaki nie chciały pasować – po prostu robił kilka kroków w tył i analizował wszystkie części układanki od początku. Tak też zrobił i tym razem, choć najchętniej siadłby z profesorem Bukowińskim na tarasie i obalił te dwa piwka, które wciąż na niego czekały. Piwka nie zające i nie kangury – nie uciekną. A poprzednie piwko trochę go przeczło, trener miał chyba rację, łączenie alkoholu z preparatem na przyrost masy mięśniowej to nie był najlepszy pomysł.

Tym bardziej że w weekend przytłoczyła go robota.

Nie przypuszczał jednak, że kiedy zacznie rozgrzebywać sprawę na nowo, rozgrzebie tym samym również swoje problemy małżeńskie.

Zaczął się od tego, że kiedy po napadzie na profesora w księgarni jego ludzie przejrzeni uczelniany monitoring, nic nie znaleźli. Wydawało się to całkiem pozbawione sensu, ale taka była prawda.



- Włazł pewnie z jakąś grupą - ocenił pracownik ochrony, z którym komisarz rozmawiał w sobotę przez telefon. - A w budynku jest tyle przejść, że mógł wrócić na okrętkę i przejść pod kamerą, z boku. Kamera nad księgarnią by go z boku nie chybiła. Nie ten kąt.

Kamera by go nie chybiła.

Za dużo tych przypadków, facet nie był przecież niewidzialny! Najwyraźniej doskonale znał teren.

- A na terenie kampusu? - drążył komisarz.

- Że co?

- Dlaczego nie ma go też na nagraniach z kamer wokół samego budynku i innych?

- A cholera go wie, panie. Od rozwiązywania zagadek to chyba jest policja.

Zgadzało się.

Marchewka przejrzał osobiście nagrania jeszcze raz, z takim samym skutkiem, i tak go to rozeźliło, że postanowił wrócić do Centrum Zarządzania Kryzysowego i zrobić to samo z nagraniami z czwartku, kiedy pod Akademią Górnośląską napastnik zaatakował nożem Lulka, i tymi piątkowymi, kiedy profesor omal nie wpadł na światłach pod autobus. Przed ekranami komisarz spędził całą niedzielę, ale rezultat przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

A otóż na Kościuszki zobaczył wyjeżdżające z ulicy Harcerzy Września... iveco Zuzy! Co tam robiła? Kiedy Marchewka sprawdził godzinę, okazało się, że jego małżonka wycucie czasu miała idealne, znalazła się w newralgicznym miejscu akurat wtedy, kiedy sprawca opuszczał miejsce zdarzenia. Przypadek? Nie sądził. Ale to nie wszystko. Nagranie z piątku też okazało się niespodzianką.

Na katowickim Rynku komisarz zobaczył siebie i panią Tosię siedzących na ławeczce oraz... przyczajoną nieopodal przystanku tramwajowego Zuzę puszczejącą nad nimi drona! Zapewne jego własnego, tego, który wziął i zaginął.

A więc to tak.

To on się stara, jest uczciwy, jest na każde Zuzy zawołanie, a ona traktuje męża POLICJANTA jak... przestępcę?!

Tego dla małego Marchewki było za dużo.

Musiał się napić.

Wrócił na Akację, na swój biały domek nawet nie spojrział, tego wieczora wypił jednak dwa tyskie, a potem zszedł na dół i napił się z sąsiadem koniaku. To znaczy profesor Bukowiński tylko zamoczył usta, a Marchewka wydoił pół butelki. Do swojego pokoju w zasadzie się doczołgał, ale przynajmniej nic go już w środku nie bolało.

Zaczęło boleć w poniedziałkowy rano.

Obudził go bezlitosny dźwięk komórki.

- Panie komisarzu, mamy krwawą jatkę w bibliotece. Pojedzie pan? - Usłyszał głos dyspozytora i już chciał odmówić, ale padło znajome nazwisko. - Ofiara to Hanna Bukowińska, dlatego dzwonię. CINIiBA, na Bankowej, właśnie ją znaleźli.

Marchewkę bolał żołądek, łupała go głowa i było mu potwornie niedobrze.

- Zawiadomiliście profesora?

- Jej męża? Zawiadomiony. Już jedzie.

- Będę za... pół godziny. Muszę oprzytomnieć.

Profesora nie było w domu, zapewne był w drodze na Bankową i Marchewce zrobiło się go żal. W porządku był facet. W nocy przy koniaku wreszcie mu wyznał, że nie zrobił i nie zrobi żadnej listy pracowników, bo nie jest szpiclem. Koniec, kropka. Marchewka nie widział w tym zbytnej logiki, prześladowca z pewnością profesora znał, ale skoro tak...

Krwawa jatka w bibliotece.

Nieżyły tytuł na nagłówek.

Komisarz nadludzkim wysiłkiem wziął prysznic, zwymiotował, napił się kawy, znowu zwymiotował, po czym dotarł po kilku dekadach do auta i pojechał na miejsce. Cud, że nikogo po drodze nie potrafił i nie spowodował wypadku.

Na parkingu czekała już jego ekipa i mógł być spokojny, że miejsce zostało nie tylko należycie zabezpieczone, ale i że rozpoczęto czynności wstępne.

– Jak sytuacja? – zapytał Jadźki, czyli Jadwigi Mitręgi, którą ściągnął do siebie z narkotykowego.

Usiłowała zapanować nad ruchem przy wjeździe na parking, bo nagle wszyscy zaczęli się tu zjeżdżać. Zjawili się też dziennikarze, Marchewka naliczył ich kilka aut. Zastanawiające, że wieści roznoszą się szybciej niż zaraza.

– W środku się przygotuj na Auschwitz. Czy coś.

– To wolę czy coś.

– A tu wszystko pod kontrolą. Jak widać.

W to akurat nie wątpił, Jadwiga Mitręga była mała, ale dziarska. I groźna, choć Marchewka dobrze ją znał i wiedział, że pod tą skorupą skrywa się wrażliwa i ambitna dziewczyna, a że o skorupę można się czasem skaleczyć...

Jadźka nie minęła się z prawdą.

Zaprowadzony na dół Marchewka zamarzył o ustronnej toalecie – na widok zakrwawionego pomieszczenia z metalową kolubryną pośrodku przypominającą do złudzenia krematoryjny piec wstrząsnęły nim mdłości. Dodatkowo, ze względu na niedawny wyciek gazu, musiał założyć maskę. Lampki na panelu z oświetleniem alarmowym przy drzwiach nie działały, zostały strzaskane, więc lepiej było dmuchać na zimne.

A Marchewce faktycznie było zimno, wręcz lodowato.

– Gdzie ofiara?

– Już w szpitalu, na piętrze czeka lekarz – zameldował towarzyszący mu nowo przyjęty do firmy aspirant. Też w masce. Dziś był w pracy drugi dzień, ale nieźle się trzymał. Na pewno lepiej niż Marchewka. – Stan krytyczny, trzeba ją było jak najszybciej wieźć na OIOM. Zrobiłem zdjęcia.

Marchewkę przy zdjęciach aż cofnęło.

Czy to była jego sąsiadka?

Ta atrakcyjna i zawsze delikatnie uśmiechająca się do niego blondynka? Nie znał jej za dobrze, ale zawsze mógł liczyć na jej dobre słowo. Tyle że zdjęcia prezentowały kobietę całą w zakrzepłej krwi. Krew na drobnym ciele, krew na poprzyklejanych do spuchniętej twarzy jasnych włosach, które tak wyraźnie kontrastowały z czerwienią, że aż bolały od tego oczy.

Krew była też na podłodze, ścianach, drzwiach i na...

– Komora do dezynfekcji książek – uprzedził pytanie policjant. – Uraz głowy, lekarz mówi, że o coś uderzyła, rana nie wygląda na żadne narzędzie. Stąd tyle krwi, widać, gdzie się ruszała. Usmarowała...

– Już! Widzę przecież.

– Na zaworze gazu...

– Widzę!

Kurek butli i sama butla miały na sobie pełno krwawych smug. Podobnie stojący obok komory wózek, zlew, rzucone na podłogę dwa duże wentylatory.

– Dusił ją. I odkreślił gaz. – Aspirant poprawił maskę. – Musiała się ocknąć, jak wyszedł. I moim zdaniem jakimś cudem zakreśliła kurek i się w tej komorze schowała. Przed gazem. Odwodniona i podtruta, ale raczej z tego wyjdzie.

Co za Sherlock Holmes mu się trafił... Ale w sumie dobrze, przynajmniej na miejscu zbrodni jest ktoś, kto od samego rana nie rzyga.

Marchewka oddał policjantowi telefon.

– Proszę mi to przesłać. A teraz najważniejsze pytanie. Gdzie tu jest najbliższy kibelek?



Emocje.

Nad emocjami profesor Bogdan Bukowiński nie lubił się zbytnio zastanawiać, choć pod pewnymi względami emocje były jak jego ukochane kwanty – za cholerę nie można było za nimi trafić, były wszystkim i niczym, istniały i jednocześnie ich nie było. Czy emocje – ulotne, nieprzewidywalne, SUBIEKTYWNE – mogły być dla filozofa narzędziem poznania?

A w życiu!

Rozum, liczył się przede wszystkim rozum, wszak to on odróżnia nas od zwierząt.

Profesor był więc zły – odkąd zaczęły się te hece z napadami, emocje coraz bardziej dawały mu w kość i musiał wykonać sporo pracy mentalnej, żeby w miarę normalnie funkcjonować, a i tak obawiał się, że będzie z nim jak z tym koniem, co myślał, dotarł do mety i zdechł. Żeby nie zwariować, starał się być ciągle w ruchu. Wczoraj poszedł z kumplami pokopać w piłkę, a po powrocie z księgarni zrobił na rowerze kilka okrążeń po okolicy, nawet skosztował w nocy z Marchewką koniaku – ale, szczerze mówiąc, zaczynało być z nim coraz gorzej.

W nocy nie zmrużył oka.

Dlatego dziś nie zamierzał znowu analizować kto i dlaczego, koń, jaki jest, każdy widzi, zamiast tego postanowił po prostu zająć się pracą. „Zacznij od robienia tego, co konieczne, potem zrób to, co możliwe, a nagle odkryjesz, że dokonałeś niemożliwego” – jak powiedział św. Franciszek.

O godzinie trzynastej czekała go obrona doktorska, miał więc o poranku sporo czasu na lekturę. Po śniadaniu podjechał taksówką na Bankową, skąd już było tylko kilka kroków do CINI-B-y, w której nowoczesnych i jasnych wnętrzach lubił przesiadywać. Taksówka zatrzymała się przy paczkomacie, na Uniwersyteckiej, i kiedy profesor wyszedł na parking, od razu wpadł na znajomą mediewistkę.

– Bożena! – zakrzyknął wesoło, gdyż pani profesor była tym przypadkiem kobiety, w której w rozkoszny sposób łączyły się wdzięk, siła charakteru, błyskotliwość oraz... co było rzadkie, autentyczne zainteresowanie piłką nożną.

Mieszanka iście wybuchowa!

– O, Bogdan, cześć... – Bożena najwyraźniej nie podzielała jego radości. Uśmiechnęła się dość zdawkowo, poprawiła na nosie swoje czerwone okulary, po czym ukryła twarz we włosach i podeszła do paczkomatu.

Zwykle ucinali sobie przy takich spotkaniach krótką pogawędkę.

Może coś się stało?

– Jak tam, pani profesor? Co słyhać? – zagadał. – Masz dziś egzaminy?

– Siedzę w komisji na dwóch obronach.

– To współczuję. Ja mam jedną, a teraz kilka miłych chwil w CINI-B-ie, idę poczytać...

Bożena jakby toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. Chciała coś powiedzieć, ale najwyraźniej nie wiedziała, jakich użyć słów.

– Bogdan, czekaj...

– Idę, bo widzę, że mnie dzisiaj nie lubisz.

– To jeszcze nic nie wiesz?

– O czym?

– Nooo... Poczekaj! – Zatrzymała go i miała tak współczujący wyraz twarzy, jakby patrzyła na wyciągniętego po tygodniu ze studzienki kanalizacyjnej psa.

Profesor trochę się zdziwił, ale spróbował żartu.

– Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby informacja, że idę poczytać, wywarła na kimś takie wrażenie.

– Bogdan... Twoja żona... Niedawno ją znaleziono, myślałam, że dlatego tam idziesz – wypowiedziała Bożena na bezdechu.

– Gdzie?!

– Do CINIb-y.

– Moja żona?! Jak to: znaleziono?!

– Policja ci wszystko powie. Przykro mi... Naprawdę bardzo ci współczuję. Wolałam cię uprzedzić.

Usta Bożeny wygięła tak bezradna podkówka, że profesor w jednej chwili zwątpił w związek podkowy ze szczęściem.

Serce przygniółł mu wielotonowy głąz.

I już nie zważając, że to może być niegrzeczne, bez słowa wyminął koleżankę i pognał w głąb kampusu. Tuż przy swoim wydziale musiał jednak wyhamować, z determinacją ruskiego czołgu natarł na niego z naprzeciwka znajomy doktor, a był sporych rozmiarów.

– Panie kolego, moje kondolencje. Bardzo mi przykro z powodu żony...

Emocje.

Nawet jeśli się nad nimi nie zastanawiać i tak człowieka dopadną.

Jego żona była przecież setki kilometrów stąd! Setki kilometrów, w Borach Tucholskich. Może to jakaś upiorna pomyłka, to nie mogła być prawda... Jednocześnie w umęczonej głowie profesora zakątała zdradliwa myśl o niespodziance – żona chciała mu przecież zrobić niespodziankę. A jeśli...

Wróciła i poszła od razu do pracy?

A ten łobuz z nożem...

Serce, rozum – bitwa okazała się dla profesora zbyt ciężka, nie zamierzał się jednak poddać, to jego ciało się poddało. I byłby upadł tu, gdzie stał, wprost na chodnik, gdyby nie refleks doktora. Przytrzymał go pod ramię, a potem gdzieś z boku rozległ się głos nadbiegającego Marchewki.

– Panie profesorze, jest pan!

– Już nie wiem, czy jestem – zdołał z siebie wykrztusić. – Może mnie nie ma...

– Musi pan usiąść i chwilę odpocząć. – Marchewka zdecydował się działać i zaprowadził go na narożną ławkę przed rektoratem, a zakłopotany doktor ukłonił się i pożegnał. – Yyy... Wiem, że do pana już dzwonili. Proszę się nie martwić, najważniejsze, że żona żyje. Stan jest poważny, ale...

– Co?! Żyje?!

– Żyje, przewieziono ją na oddział intensywnej terapii, ale żyje – zapewnił sąsiad, drapiąc się w skonfundowaniu po nosie.

Co za ulga, co za niebotyczna ulga!

Łzy też składają się z kwantów.

Otrzymawszy tak cudowną informację, profesor ponownie zaczął oddychać. Czuł się tak, jakby go właśnie zmuszono do wykonania eksperymentu myślowego Schrödingera, w którym kot umieszczony w nieprzezroczystym, zamkniętym pudełku jest jednocześnie żywy i martwy!

– Boguś! A tobie co?! Źle się czujesz? – Zza rogu wyszła znajoma, energiczna brunetka i widząc zamieszanie, chciała sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Wszystko w porządku. Najważniejsze, że ona żyje. Żyje! – obwieścił wzruszony.

– Kto?

– Ania. Moja Ania. Żyje.

– A dlaczego miałyby nie żyć?! – Teraz zdumiała się Iwona, przyjaciółka z pracy jego żony, i w tym momencie i profesor, i Marchewka zaczęli się zastanawiać nad sensem istnienia.

- Dzień dobry, komisarz policji. Pani Hanna Bukowińska... - próbował wyjaśniać Marchewka, ale Iwona tupnęła na niego białym adidasem.

- A co pan opowiada za głupoty?! Hanna! Nie: Anna. To Hankę znalezione.

- Ale przecież Bukowińska... - Komisarz złapał się za głowę, po czym zgnębiony i błady usiadł obok profesora.

- No tak. Bukowińska - powtórzyła Iwona, nie tracąc rezonu. - Pracują u nas dwie Bukowińskie. Jedna to żona Bogdana.

- Tak! Moja żona jest w Borach Tucholskich! - krzyknął profesor z taką uciechą, że aż przystanął mijający ich student.

- Ale jutro wraca - spreeczowała Iwona odruchowo, a potem zorientowała się, że chlapanęła językiem. - Wygadałam się. To miała być niespodzianka... Wybacz.

- Wraca!

- To kto jest czyją żoną? I ilu jest tych Bukowińskich?! - Marchewka już nic nie rozumiał.

- Ania jest żoną naszego Bogdana - podjęła Iwona, dostrzegłszy, że profesor znajduje się w stanie ducha, który raczej nie odpowiada za myślenie logiczne. - A Hanka to żona Bogusława Bukowińskiego, profesora prawa naszej uczelni. Panowie są daleką rodziną - dodała na koniec.

Marchewka cały pozieleniał, a potem położył się na ławce, tuż obok profesora.

- Nie pomylił żon - podzielił się swoim odkryciem. - On pomylił mężów! Zaraz będę wymiotować...

Profesor już chciał się przesunąć, ale dotarło do niego, że ścierpły mu obie ręce. I ten kamień na sercu, znów czuł jego przyciskający do ziemi ciężar. Zaczęło go też boleć w mostku.

- A ja chyba mam zawał - oświadczył i...

Zagiął mu się horyzont zdarzeń.



W siódmym niebie?

Tosia była chyba w ósmym niebie albo nawet w dziewiątym.

Szczęście i poczucie, że wszystko wskoczyło na swoje miejsce, wypełniało ją całą, od czubków palców u stóp po rozczochrane miedziane włosy. I leżąc w łóżku, w którym jeszcze przed chwilą beczelnie leniuchowali we trójkę z Lulkiem i Bobkiem aż do godziny szesnastej, Tosia doszła do refleksji, że SATYSFAKCJA a EKSCYTACJA kimś nowym to zupełnie insza inszość. Co z tego, że ktoś ją podnieca, bo był nowy, nieznany, skoro zostawia ją w łóżku rozedrganą i seksualnie rozmemłaną. Ekscytację po kilku miesiącach szlag trafi, a rozmemłanie i frustracja będą przybierać na sile, a wraz z nimi zaczną rosnąć uraza.

Do dupy z takim czymś!

Ale przecież Lulek zaczynał ją ekscytować, choć znali się jak łyse konie - a może właśnie dlatego? Z tą bródką, z tym nowym wyglądem, bez głupich teksów, nagi, jak go Pan Bóg stworzył, Lulek tak oszałamiał, że nawet gdyby wrócił do dawnej Lulkowatości, Tosia i tak czułaby na jego widok to, co teraz.

Ciepło.

Czułość.

Wzruszenie.

I tak to w niej buzowało, tak rosnęło, że wskoczyła do wanny, później szybko się ubrała, wyprowadziła Bobka na krótki spacer pod blok, a potem zawzięła się i postanowiła dla Lulka coś ugotować.

- Pracuj sobie, pracuj - rzuciła do niego na wyjściu, bo ustalał właśnie przez telefon z kucharzem menu na bieżący tydzień i miział przy tym z zadowoleniem książkę Cichego. Bardzo podobał mu się prezent. - Idę do sklepu...

I poszła, do mięsnego na Piastów, mięsa nie kupowała w marketach, a jeśli miała dogodzić Lulkowi, wybór był prosty.

Mięsko.

Tylko jakie?

Te wszystkie łopatki, karczki, szynki - to Lulek mógł zjeść w swoich lokalach, ale jeszcze nie słyszała, żeby w którymś z nich podali...

Golonkę!

A Lulek uwielbiał golonkę, którą chyba było łatwo przyrządzić. Wystarczyło ją ugotować z przyprawami, a potem wsadzić do pieca. Żadna filozofia. Poda się Lulusiowi pieczywko, musztardę, posypie się całość jakimś zielonym badziewiem, walnie się do tego kiszzonego ogórka i kolacja będzie taka, że palce gryźć i lizać!

Zadowolona z wyboru Tosia wyszła ze sklepu i wtedy kątem oka zobaczyła, że deptakiem w stronę parku maszeruje nie kto inny jak...

Profesor Nałęcki!

Już przekroczył ulicę i szedł pod wiadukt, więc albo zamierzał iść na przystanek tramwajowy, albo skoczyć do parku. Nawet nie próbowała do niego wołać, był zbyt daleko, chwyciła za to mocniej siatkę z nabytym produktem i ruszyła w ślad za nim. Może miał jakieś nowe informacje na temat zamaskowanego bandyty?

Już oboje wyszli spod mostu, kiedy profesor wyciągnął telefon i przyłożył go do ucha. Tosia rozważała przez moment odwrót, słońce mimo popołudniowej pory znowu prażyło, golonka w siatce na pewno wolałaby chłodek lodówki, ale bez przesady. Godzina to nie jest aż tak dużo, rundka przez park i będzie można odhaczyć dziś spacering.

Profesor gadał przez komórkę i gadał, Tosia próbowała w tym czasie chłonąć zielone, tak wypełniała ją miłość, która niespodziewanie przeniosła się z Lulka na każdą pszczołkę, listek, nawet na każdy suchy badył, kiedy poczuła, że coś jest nie tak z jej szyją. Swędziała, jakby się w nią wgrzyzał wyjątkowo upierdliwy giez. I już chciała się odwrócić i spojrzeć za siebie, ale swędzenie z czymś się jej skojarzyło. Ależ podobnie było kilka dni temu, kiedy myślała, że ktoś ją śledzi!

Była w połowie drogi do zoo, przy rzeźbie fok, profesor nadal żywiłowo z kimś rozmawiał, Tosia postanowiła więc coś sprawdzić. Zwolniła kroku i, jak gdyby nigdy nic, klapnęła na najbliższą ławkę. Poczekala zaledwie kilka minut, a tuż obok niej przeszedł mężczyzna, który wzrostem i posturą pasował do faceta z pasów. To na pewno był on! Na głowie miał tę samą czapkę z daszkiem, a na szyi dyndała mu zawieszona czarna maseczka. Szedł swobodnym krokiem niczym ktoś, kto w poniedziałkowe popołudnie zajrzał do parku, żeby się zrelaksować. W ręku niósł zwiniętą gazetę. Twarz miał zupełnie nijaką, żadnego rysu osobowości, jakby ją ktoś zanurzył w kisielu.

To drań!

Na Tosię na szczęście nie zwrócił uwagi, pewnie jej w ogóle nie zauważył - za to na celownik wziął profesora Nałęckiego. Co robić? Tosia zaczęła się aż telepać ze zdenerwowania, ale należało się opanować i coś przedsięwziąć. Nie mogła na razie uprzedzić profesora, wciąż rozmawiał, mogła jednak zadzwonić do komisarza Marchewki.

Komisarz odebrał dopiero przy drugiej próbie.

- Panie komisarzu, jestem w parku, przy zoo. Przede mną idzie profesor Nałęcki, a za nim ten gad z nożem.

– Zoo – powtórzył Marchewka, ale jego głos był drewniany i płaski. – Gad. Z nożem. Z szablami to będzie chyba dzik. A gad z nożem to nie mam pojęcia.

– Co, proszę?

– Dziękuję – powiedział i się rozłączył, a Tosi nie pozostało nic innego, jak tylko zadzwonić po Lulka, choć uczyniła to nad wyraz niechętnie, zwyczajnie się o niego bała.

Ten nóż...

Lulek na zdaną mu relację zareagował jak człowiek.

– Tosia, ty się do niego nie zbliżaj!

– To co mam robić? Profesor nawija, jakby udzielał wywiadu.

– Idź za nimi, ale utrzymaj dystans, a ja tam do ciebie pędzę. Po drodze spróbuję się mimo wszystko znowu dodzwonić do Marchewki i stawiam na nogi policję. Ty wydzwaniasz do profesora, może jak zobaczy, że się dobijasz, to skończy gadać.

– A jak skończy, to co? Co mamy robić?! – powtórzyła, starając się, żeby Lulek nie usłyszał, że narasta w niej panika.

– Przecież ten świr w biały dzień nikogo nie zaatakuje – perswadowała Lulek uspokajająco.

– Właśnie, świr. A w księgarni? Czarna noc to nie była.

O zdarzeniach w księgarni debatowali cały poranek.

– Tosia, nic ci nie grozi, dopóki trzymasz się od nich z daleka. Dobrze? Z daleka!

– Dobrze.

– Tylko powiedz, gdzie dokładnie jesteście.

– Oni chyba skręcają do rosarium. Tak!

– To dobrze. Jadę!

Tosia zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów, napisała parę wyjaśniających zdań do Marchewki, którego chyba przed chwilą obudziła, a który najwyraźniej poszedł spać dalej, po czym z telefonem przy uchu ruszyła za profesorem i depczącym mu po piętach bandytą.

Ta bezradność była frustrująca!

Mogła tylko za tamtymi iść, wpijać się w ucho profesora i modlić, żeby profesor zakończył telekonferencję... Ileż można gadać? I to niby kobiety dużo mówią? Przemierzeli już prawie cały ogród różany!

I w końcu nadeszła wiekopomna chwila.

Profesor zakończył połączenie i rozsiadł się zadowolony na ławeczce, tuż przy oczku wodnym, ledwie zahaczając wzrokiem o wyrastające na trawniku kopce kretów. Myślni był jakby gdzie indziej. Zaśmiał się, pokiwał do siebie głową, jeszcze sprawdził coś w telefonie, po czym najwyraźniej szykował się do kilku upojnych chwil z książką – sięgnął do teczki i choć Tosia usiłowała się do niego dodzwonić, profesor... nie odbierał.

Pewnie miał wyłączony dźwięk.

Świr tymczasem usiadł nieopodal, na murku pod rozłożystym jaworem, i udawał, że jest zainteresowany gazetką, choć tak naprawdę nie spuszczał profesora z oczu. Tosia widziała to bardzo dobrze, wbita między rosnące nieopodal świerki – wskoczyła w nie, idąc za nimi równoległą aleją. Świerki były spore, gęste, na ziemi usłanej mnóstwem igieł było mięciutko i gdyby nie zapach odchodów istot człekokształtnych, można by tu spędzić wiele godzin, tyle że temperatura uczu w koleśiu okupującym murek wzrosła. Było to widać po jego rękach i nogach, które zaczęły się nagle ruszać, a nawet jakby tańczyć.

Był już w maseczce, co chwilę rozglądał się niespokojnie na boki i w końcu się zdecydował.

Tosia również.

Drań zerwał się z murku, ona po chwili wahania wyprysnęła ze świerków – przecież nie mogła zostawić swojego profesora na pastwę tego szaleńca. Profesor był wobec niej zawsze

wyrozumiały, nie wymagał cudów-niewidów, przymykał na wiele rzeczy oko i ona miałaby teraz sobie siedzieć pod choinką i czekać?!

– Panie profesorze! – zakrzyknęła.

Profesor nawiązał wreszcie kontakt z rzeczywistością, zobaczył, co się dzieje, ale nie zdążył nawet wstać z ławki – tamten już go dopadł, zamachnął się na profesora gazetą, profesor zasłonił się książką, a Tosia...

Wykonała rzut golonką.

Tylko tyle mogła zrobić – dzieliły ich dwa metry, zamiary napastnika były aż nadto czytelne, więc nawet nie wyciągnąwszy mięsa z reklamówki, Tosia wzięła szybki zamach i nadała zawiniątku oczekiwany kierunek.

Golonka poszybowała i zawirowała w powietrzu niczym ocięta latawiec.

Zafurczało i grzmotnęło.

Tamten dostał w czapeczkę.

Mięso ważyło prawie kilogram i gdyby nie nakrycie głowy... Różnie mogłoby się to skończyć, ale skończyło się tak, że świr na moment zesztyniał, potem zgiął się wpół, spojrzał na nią morderczym wzrokiem, chwycił się za głowę i...

Zaczął uciekać!

Tosia już chciała za nim gonić, ale zobaczyła, że parszywiec dosiadł leżącej za ogrodzeniem hulajnogi, a potem spojrzała w pobielającą i zdziwioną twarz profesora.

Pod ławką zbierała się powoli kałuża soczyście czerwonej krwi.



Mogli sobie z Bogdanem dogryzać, przerzucać się żarcikami – czasem męska przyjaźń to szorstka przyjaźń, wiadomo – ale istniało coś takiego jak lojalność i profesorowi Nałęckiemu nawet do głowy by nie przyszło, żeby najpierw lecieć z nowinami na policję, zamiast porozmawiać o pewnych kwestiach z kolegą.

Poniedziałki miał wolne, bardzo tego pilnował, nie mogli się więc z Bogdanem spotkać na gruncie zawodowym, profesor wymyślił zatem spotkanie na gruncie prywatnym, bo też i sprawa była prywatna, a wręcz rodzinna.

A na pewno delikatna.

Bogumił Bukowiński – to był daleki krewny Bogdana, z którym Bogdan jakoś specjalnie nie utrzymywał kontaktów, miał jednak na co dzień sporo zgryzoty wynikającej z ich fizycznego podobieństwa, zbliżonego wieku, a przede wszystkim z dzielenia z kuzynem nazwiska. Ileż to było na uczelni w związku z tym pomyłek, ile razy pieniądze wędrowały z konta jednego Bukowińskiego na konto drugiego, kto by to zliczył. W końcu obaj panowie doszli do porozumienia i zamiast tygodniami czekać na zwrot drogą urzędową, po prostu przekazywali sobie gotówkę z ręki do ręki.

Bogdan.

Bogumił.

Bogus.

Oba imiona zdrabniało się tak samo i chyba to był powód tej całej afery – tak profesor Nałęcki podejrzewał. Jednego był jednak pewien – człowiek w maseczce miał na pieńku z Bogumiłem. Przecież nawiedzoną blondynkę łamaną przez autorkę Nałęcki poznał właśnie przez niego. To było mniej więcej dwa lata temu; natknął się na nich na tyłach Wydziału Prawa, pod hotelem Ibis przy Rożdżeńskiego. Szli bardzo blisko siebie, rozgadani, uśmiechnięci, swobodni w tak specjalny sposób, że trudno było nie połączyć kropek. A jaki Bogumił był na jego widok speszony!



Prezentacja odbyła się szybko i pobieżnie, że niby znajoma z wydziału, że jest im miło, a potem się odwrócili i skręcili w Dudy-Gracza.

Jeśli to się ciągnęło od tamtego czasu i jeśli w tle był trudny rozwód, jak blondynka pisała w książce, to kto wychodził na pierwszy plan?

Proste.

Pan małżonek o dorodnym porożu.

Małżonek leżał w kompetencjach Marchewki, ale rodzina to rodzina i najpierw należało zamienić słowo z Bogdanem. Bogdan nie odbierał telefonu, co akurat było normą – niezrażony tym profesor podjechał na Tysiąclecie, przy okazji skoczył do sklepu na skraju osiedla, żeby kupić pieczywo, a potem spacerkiem udał się do Parku Śląskiego (Bogdan mieszkał na jego obrzeżu od strony Bytkowa, pół godziny szybkim krokiem).

Park rozbrzmiewał trelami ptaków, drzewa w popołudniowym słońcu rzucały szmaragdowe i granatowe cienie, w powietrzu ganiały się smyrane promieniami muszki – było miło. Poczyta sobie, a około dziewiętnastej zajrzy do Bogdana, uprzedził go SMS-em. Zadzwoił też do żony, że kupił chleb, ale rozgadali się tak, że droga do rosarium minęła mu w okamgnieniu.

Niby skończył połączenie, nic połączenia z żoną trwała jednak nadal.

Wieczność, tak rozumiał wieczność.

Przed nim ścieliła się mała łączka gęsto poznaczona szpiczastymi kopczykami czarnej jak smoła ziemi i profesor wspomniiał ciasto w proszku, które kiedyś było na kulinarnym topie. Kopiec kreta. Bitą śmietana, banany, czekoladowa posypka.

Kret, Kreta, kretynstwo...

Może nie zachwycał się każdym kwiatowym pyłkiem, każdą kupką motyla i krecim kopczykiem, nic z tych rzeczy, ale patrząc na łąkę, profesor Nałęczki czuł ukojenie.

Udane popołudnie przechodziło w udany wieczór.

Sprawdził, czy Bogdan czasem nie oddzwonił, a potem wyciągnął z teczki zaczytaną *Wojnę peloponeską* Tukidydesa. Miał kilka jej egzemplarzy, ten akurat był w sztywnej oprawie o stopniu twardości marmuru i doskonale nadawał się na lekturę w terenie. Nie dane mu jednak było nawet do niej zajrzeć – usłyszał, że ktoś go woła, a potem, nie wiadomo skąd, znalazł się przy nim facet w maseczce i już było źle, skojarzenie z tamtym gościem na pasach, z bandytą atakującym Bogdana w księgarni przyszło do profesora w jednej chwili.

Zamarł.

A potem, kiedy spomiędzy stron gazety dostrzegł wysuwający się zakrzywiony nóż, zareagował odruchowo, zasłonił się oczywiście Tukidydesem. To była kolejna chwila w życiu profesora, kiedy stwierdził, że książki są dobre na wszystko, mogą nawet służyć za tarczę. I tak też się stało – *Wojna peloponeska* znowu uratowała mu życie.

Chyba.

Cios padł z góry, pod jego siłą aż zakołysała się ławka, ale ostrze utknęło w oprawie, a następnie ześlizgnęło się niżej.

I w pierwszym momencie profesora nawet nic nie zabolowało.

Po prostu poczuł na udzie ciepło, a potem zimno.

Kopce kretów, kupki motyla, pyłek, pani Tosia – wszystko zaczęło mu wirować, ale połączenie, czuł z żoną połączenie, i ta wieczność...

Tak rozumiał wieczność.



NaMIĘTność może i miała coś wspólnego z miętą, ale Karol Biczak był skłonny uważać, że namiętność jest zwyczajnie przereklamowana.

Albo raczej zakłamywana.

W książkach i filmach sprzedawała się rewelacyjnie, ale z tych wszystkich książek i filmów szedł taki przekaz, że namiętność zdarza się między dwójgim ludzi tylko na początku: napięcie utrzymuje się wtedy na wysokim C, a cała reszta pozostaje nieodgadniona, nowa, fascynująca. Tyle że potem nastaje codzienność – dzieci, ospa wietrzna, zmęczenie, kapiący kran – i napięcie na wysokim C zdarza się już jedynie wtedy, kiedy kogoś przypadkiem kopnie prąd albo przyjdzie rachunek za gaz, albo kiedy żona skasuje nowy samochód. Wtedy kończy się komedia romantyczna, a zaczyna dramat.

Czy tak musiało być?

Dla Karola Biczaka ważne było, czy do kobiety się coś czuje i czy oba ciała na siebie reagują, a o element nowości, jeśli ktoś go potrzebował, można przecież zadbać samemu.

Jego dzisiejszy przepis na namiętność?

Dwie deski, para sznurowadeł, zielona płachta materiału i przestępca.

Żeby było jasne – on tych wszystkich udziwnień nie potrzebował, to z Regimą był kłopot. Seks to seks i tu nie ma co rozkminiać. Albo coś działa, albo nie działa. Tylko że jak się całymi nocami ogląda seriale, to się zaczyna wierzyć, że...

„Kobietę coś po trzydziestu latach z jednym mężczyzną omija”.

Koniec cytatu.

A że Karol Biczak ze względów zawodowych myślał rozwiązaniami, nie problemami, zaproponował, żeby wprowadzić w ich życie intymne pewne urozmaicenia. Po co instalować na nowo system, skoro można wyczyścić TWARDY, żeby nie było, dysk i wgrać nowy program? Na początku wcale mu się ta sytuacja nie podobała, przez trzydzieści lat Regina nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń i nagle wystarczyła pierwsza lepsza produkcja na Canal+, żeby to wszystko zniszczyć? Ale im dalej w las, tym więcej drzew, nieoczekiwanie zaczęli mieć z małżonką z tego wprowadzania zmian coraz więcej zabawy. A już „projekt ławeczka”...

Założenie było proste.

Zadośćuczynić małżonce na każdej ławeczce osiedlowego skwerku.

Co ławeczka, to wyzwanie.

Regina początkowo miała opory, zgodziła się jednak, że w nocy i po ciemku można spróbować. W nocy i po ciemku... Tyle że mężczyzna to nie szwedzki zegarek. Nakręca się sam, a jak stanie...

Karol Biczak wrócił po pracy do domu, zdążył tylko się odświeżyć i coś zjeść, kiedy poczuł wzbierającą w lędźwiach potężną chuć. Nie w nocy i nie po ciemku, ale teraz. Regina krzątała się po kuchni i teoretycznie można ją było przydybać pod lodówką, ale ona chciała czegoś NOWEGO.

I ekscytującego.

– Reginka, włóż może tę burą sukienkę, tę wiesz... Tę, co się zlewa z gruntem... – nieśmiało zasugerował i zajął żonie wymownie w oczy.

– Jaka ona bura? Zielona jest. A po co mam ją wkładać?

– Reginka, włóż. I chodź do parku...

– Po co?!

– Projekt ławeczka...

– O piątej po południu?! Ja mam latać z gołą...

– Nie z gołą. Płachtę sobie włożysz. Sukienkę. Zieloną, szeroką, można ją w każdej chwili podciągnąć i usiąść na mężu. Chodź. Z daleka nic nie będzie widać. Przecież chciałaś mieć napięcie.

– I tak na skwerku chcesz siadać, gdzie przychodzą matki z dziećmi?!

– Mówię, że pójdziemy do parku. Próba generalna. Chodź, nie pożałujesz. Spakowałem też wino. – Pokazał zachęcająco na stojący w przedpokoju plecak.

– Ciemno miało być!

– Będzie. Tam jest pełno zakamarków, coś znajdziemy. Obiecuję, długo tego nie zapomnisz...

I dokładnie tak się stało.

Znalezienie odpowiedniej ławeczki w parku liczącym sześćset dwadzieścia hektarów nie było specjalnie trudne – ławek w Parku Śląskim było do wyboru, do koloru. Stare, nowe, gładkie, chropowate, w słońcu, w cieniu, w półcieniu, w krzaczkach, na otwartej przestrzeni.

Co kto chciał i czego potrzebował.

Karol Biczak postawił na głęboki cień, zwarte kłęby krzaków i odosobnienie – nawet nie musieli takiego kopolacyjnego zakątka długo szukać. Wystarczyło przemierzyć parking przy pubie Róża i dojść do pociętego alejkami placzyku, który w czasach świetności, czyli jakieś sześćdziesiąt lat temu, pewnie był zadbane i ładny, dziś natomiast był atrakcyjny dla kogoś, kto lubił mrok, chłód i dekadencją atmosferę.

Światło ledwo przebijało się tu przez gęstą zastłonę cisów, świerków, topoli, klonów i brzoź i mimo że w powietrzu czuło się wszechobecny zapach stęchlizny, a placyk tonął w zielonym półmroku, to przecież nie przyszli z Reginą do parku robić zdjęcia. Warunki na próbę generalną Karol Biczak ocenił jako zadowalające – w miarę cicho, w miarę dziko i w miarę ciemno, a raczej ciemnawo. A najważniejsze, miejsce nie zachęcało wyglądem do penetracji, przynajmniej w sensie spacerowym, mogli więc liczyć z Reginą na upragniony spokój.

Przycupnięte przy alejkach koślawe ławki sporo przeszły – schodziła z nich farba, niektóre porastał zielonymi ozdobami mech, a w jeszcze innych brakowało elementów. Tak było w przypadku tej, na którą padł wybór: była okaleczona jak marząca o wąskiej talii kobieta po usunięciu pary żeber.

– Ta będzie najlepsza.

Regina przyjrzała się ławeczce z docieklivością położonej, której przyszło odebrać poród w wychodku.

– Te dwie deski?

– Kochanie, ta ma najlepsze położenie, stamtąd nas nie widać. – Pokazał na chodnik biegnący do oddalonego głównego traktu. – Wszędzie dookoła krzaki albo drzewa. Winko?

Ławeczka, wyrastając z ziemi, opierała się o wielki klon. Za nim piętrzyła się ciemna chmura cisów, po prawej znajdowały się krzaki, na godzinie trzynastej w granatowej plamie cienia dziarsko sterczały wysokie świerczki, po lewej znowu sekcja krzaczkowa i znowu cień.

Dużo cienia.

– I te dechy się rozjeżdżają, Karol!

– Spokojnie, Regina. Twój mąż zabrał plecak, a w plecaku zawsze się coś znajdzie... Proszę uprzejmie! – Z triumfem wyciągnął z kieszeni plecaka zakupione niedawno sznurowadła. – Zapomniałem o nich. I bardzo dobrze.

Nic nie było go w stanie powstrzymać.

Skręciłyby tę ławkę choćby pilnikiem do paznokci, obwiązanie desek sznurowadłami tak, żeby się nie przesuwały i trzymały betonowego słupka, to był mały pikuś.

Natomiast duży pikuś...

Wszystko szło dobrze, aż do pewnego momentu.

Regina skosztowała wina, przestała się już tak nerwowo rozglądać na boki, w końcu sama chciała urozmaiceń, przestała psioczyć i narzekać. Raz się żyje! Całowali się i nie tylko, ciśnienie ze względu na okoliczności poszybowało im w górę, konstrukcja ławki wytrzymawała, ale tuż po przełomowym momencie Karol Biczak usłyszał nad sobą jakiś niepokojący dźwięk.

I to nie był ptak.

Ptaki nie mówią ludzkim głosem.

Zadarli głowy i zobaczyli, że wysoko na gałęzi siedzi przyczajony jakiś obcy facet! Kiedy kontakt wzrokowy został nawiązany, tamten poprawił czapkę z daszkiem, przejmująco westchnął i umknął spojrzeniem w bok. A potem zaczęły na nich lecieć śmietki, liście i złamane gałązki, na koniec dał się słyszeć przeraźliwy trzask i koleś wylądował tuż obok nich, na trawniku. Od skoku z wysokości aż zatrzęsła się ziemia, a mężczyzna po twardym lądowaniu chwycił się z grymasem bólu za kolano.

– Sorry, nie chciałem przeszkadzać – oznajmił, zmieszany. – Niezły z pana majster-klepka – dodał z uznaniem, spojrzął na ławkę i już chciał pokuśtykać w stronę kortów tenisowych, zrobił nawet jeden chwiejny krok, ale nie dał rady.

Stęknął przejmująco z bólu, odruchowo usiadł na ziemi, a do ustronnego parkowego zakątka zaczęli nadciągać z kilku stron jednocześnie jacyś ludzie.

W tym jeden pies.

Czarny jak diabeł, najeżony, groźny – najpierw dopadł czerwonych sandałów Reginy, a potem, zaciekle ujadając, rzucił się na...

Facylitatora?

Tak w metodzie pracy z grupą – a grupa to już dwójka ludzi – nazywa się osobę neutralnego obserwatora, który nie uczestniczy w procesie, ale ułatwia uczestnikom jego przejście i osiągnięcie satysfakcjonującego celu.



Nirwana i ataraksja w jednym...

Zdaje się, że coś takiego przeżywał dziś w nocy i do późnego popołudnia Lulek, kiedy mógł się w Tosię wtulać i być z nią najbliżej, jak tylko się dało.

Ze stanu rozkosznego odrętwienia wyrwał ich pies – trzeba go było wyprowadzić i Tosia zgłosiła się na ochotnika, a Bobek miał przy tym taką minę, jakby przeproszał. Wtedy Lulek spojrzął na zegarek i zdębiał.

Zapomnieli o całym świecie!

Tymczasem praca nie zapomniła o Lulku, zadzwonił kucharz i na omawianiu jadłospisu trochę im zeszło. Tosia poszła po zakupy, ale długo nie wracała, więc zaczął się denerwować. Na szczęście zadzwoniła – z takimi wieściami, że Lulkowi w momencie zrobiło się słabo. Z całej tej zawiłej historii, która zaczęła się od przeglądu cen w mięsny, a skończyła na zbirze w parku, zrozumiał jedno.

JEGO Tosia jest w niebezpieczeństwie!

Dostał takiego wyrzutu adrenaliny do krwi, że gotów był tam do niej gnać piechotą, już, zaraz, teraz! Następnie przyszła całkiem przytomna myśl, że trzeba patrzeć szerzej, z góry. Postawił więc telefonicznie na nogi dwa najbliższe komisariaty, a potem udało mu się połączyć z Marchewką. Uprzedzony przez Tosię, że coś może być z nim nie tak, Lulek wspiął się na szczyty perswazji i zmobilizował komisarza do wyjścia z domu. Jakich argumentów użył, nie pamiętał, z policjantem rozmawiał już z drogi.

Rosarium, rosarium...

Planował, że zaparkuje pod Różą, skąd można było podejść do ogrodu japońskiego, który znajdował się tuż obok. Tyle że na parkingu było pełno gapiów, błyskały światła erki, coś się tam wydarzyło. Lulek wyminął spory tłumek i zaparkował, kiedy tuż przy białych drzwiach ambulansu zobaczył... Tosię!

Ambulans, biała jak papier Tosia, chyba nic się jej nie stało?!

– Wszystko dobrze! – zawołała na jego widok, pytanie musiał mieć chyba wypisane na twarzy. – Ze mną dobrze, ale z profesorem... Dziabnął go nożem tamten typ. W nogę. A potem zwiął. Lekarz mówi, żeby być dobrej myśli... Zabierają go do szpitala, przebita tętnica udowa. Pewnie od razu trafi na stół.

Nieprzyjemnie było słyszeć takie wieści, za to przyjemnie było mieć Tosię znowu przy sobie. Bobek był podobnego zdania. Odkąd przełamali z Tosią pierwsze lody, okazywał jej oszczędną sympatię. Teraz obwieścił to radosnym szczeknięciem.

– Chodźmy stąd, musisz się odstresować – zdecydował Lulek, ale w tym samym momencie na parking wjechały dwa policyjne radiowozy. – Proszę, chłopcy zorganizowali się nad podziw szybko. Założę się, że patrolowali teren gdzieś w pobliżu.

Tosia od razu się Lulkowi wyrwała i podeszła do jedynej kobiety w grupie uzbrojonych mężczyzn, która wysypała się po chwili z samochodu. Kobieta była dość krępa, niska i miała zabawną blond grzywkę, równiuteńko przyciętą. Jej rumiane policzki wyglądały jak namalowane, ich posiadaczka nie wyglądała jednak na słodką blondynkę. Jej mina mówiła, że bez kija lepiej nie podchodzić.

Tosia dygnęła przed nią jak pensjonarka przed straszną nauczycielką.

– Jestem Antonina Biczak, to ja towarzyszyłam profesorowi Nałęckiemu... Temu zaatakowanemu nożem mężczyźnie.

Policjantka zasalutowała.

– Dzień dobry, starsza sierżant Jadwiga Mitręga. Proszę tutaj zostać, złoży pani zaraz zeznania, tyłko najpierw zamienię słowo z lekarzem. Minutka, może dwie.

Faktycznie, pani starsza sierżant wróciła po krótkiej wymianie zdań z jednym z mężczyzn przy karetce. Pogotowie odjechało, policjanci usiłowali zapanować nad gapiami i udrożnić drogę dojazdową, ich koleżanka zaprosiła Tosię w tym czasie do radiowozu.

– Mogę z nim? – spytała Tosia, pokazując na Lulka.

– Rodzina?

– Tatuś – bąknął cicho, na szczęście pani Mitręga nie dosłyszała.

Jej ciasno spięty kucyk i ściągnięte brwi jasno mówiły, żeby nie przeginać, nomen omen, pały.

– On też był napadnięty nożem, przez tego samego człowieka – wyjaśniła szybko Tosia. – Kilka dni temu.

W tym samym momencie zza nogi Lulka wyrzała kudłata morda w oprawie z czerwonej obroży i w pani starszej sierżant coś drgnęło.

– I z psem?

– Z nim to szczególnie warto się spotkać – zachęcił Lulek.

– A to z jakiego powodu?

– On ma wrodzone poczucie sprawiedliwości.

Pani starsza sierżant coś odburknęła, ale machnięcie ręką oznaczało raczej aprobatę, zresztą Bobek nie odrywał od niej zachwyconego wzroku, co miało ten plus, że pani Mitręga przestała już patrzeć na Tosię jak na trzydziestolatkę podejrzaną o handel ludzkimi organami.

– Dowód osobisty poproszę.

– A Marchewka? – wyrwało się Tosi, której nie udało się ukryć żalu, i Lulek pomyślał, że chyba ten handel organami im się jednak nie upieczce. – Może pani po niego zadzwonić? On prowadzi naszą sprawę.

– Komisarz Piotr Marchewka – poprawiła ją starsza sierżant karcącym tonem – zaraz tu dotrze. A teraz proszę wszystko dokładnie opisać.

Kiedy Tosia dotarła do tej części historii, w której wykonuje rzut zakupioną dla swojego mężczyzny golonką (tutaj padło czułe spojrzenie), Lulek poczuł, że się rozpląwa. Golonka! Dla niego. W końcu ktoś ugotuje coś dla niego! Choć wyskakiwanie z kryjówki i walenie zbira świńskim udem nie było rozważne. Niespodzianka też popsuta, chociaż...

Bobek walczył dzielnie, ale odkąd tylko zobaczył Tosię, nie odpuszczał. Biegał dookoła niej i wściubiał nos do chowanej za plecami reklamówki. Teraz popatrywał w napięciu to na reklamówkę, to na panią starszą sierżant, a Lulek zaczął rozważać, czy ugotowanie golonki, która miała styczność z czyjąś głową (przez czapkę!), będzie czymś dziwnym czy po prostu jadalnym.

Golonka podziałała też na wyobraźnię funkcjonariuszki.

– Mięsko. W końcu konkret – mruknęła do siebie z ukontentowaniem i spojrzała na Tosię jak na kandydatkę do formacji mundurowej. – Czyli zajście miało miejsce mniej więcej czterdzieści minut temu? – uściśliła.

Tosia pokiwiała gorliwie głową.

– Masa czasu – oceniła bardzo zawiedziona pani Mitręga i widać było, że ściganie przestępców nadaje jej życiu głęboki sens. – Już zdążył stąd uciec pięć razy, skubany. Kordon odpada, zresztą ten park ma w ch... cholerę hektarów – dokończyła lekko zmieszana, a Lulek dałby sobie odebrać psa, że z ust pani policjant omal nie padło przekleństwo.

– I ta hulajnoga... – uzupełniła Tosia. – Jak wybiegł z rosarium, wsiadł na hulajnogę.

– Hulajnoga?! No to mamy go! – ucieszyła się pani starsza sierżant i zwichrzyła z tej radości Bobkowi sierść. – W tym sensie, że zwiąć pewnie zwiąć, ale dzięki aplikacji ustalimy dane. W pośpiechu się nie myśli. No dobra, to działamy! I tak musimy przeszukać teren, a pani z panem i z... psem możecie już iść do domu.

Ledwie się z nimi służbowo pożegnała, w drzwi radiowozu ktoś załomotał.

– Policja, jest tam kto? Halo!

Pani Mitręga i Bobek zerwali się jednocześnie z miejsc i po chwili do środka zajrzała głowa wyfiokowanej i bardzo oburzonej staruszki.

– Starsza sierżant Jadwiga Mitręga – powitała ją blondynka urzędową formułką. – Słucham, co jest?

Pani zrobiła tak zboląłą minę, jakby przez przypadek wypila wodę, w której małżonek przez całą noc trzymał sztuczną szczękę.

– Pani jest z policji? – upewniła się, a potem obwieściła: – Pani policjant, tam w parku uprawiają seks! – Ostatnie słowo zostało podkreślone uniesieniem pomarszczonego palca. – Na ławce. Kto to widział takie rzeczy?!

Informacja wywołała poruszenie wśród przysłuchujących się scenie policjantów, a Bobek nagle jakby oszalał. Zaczął się Lulkowi wrywać, szczekać i całym ciałem pokazywać, że nie chce być już tu, chce być tam.

Trudno go było uspokoić.

– A kto ten seks uprawia? – chciał ustalić ze śmiechem jeden z mundurowych.

– O nazwiska nie pytałam – odpowiedziała z godnością staruszka, odwracając od Bobka zde gustowany wzrok. – Jakaś para przecież. Teraz to już ludzie za grosz wstydu nie mają...

– Idziemy – zdecydowała pani starsza sierżant i dała znak kolegom. – Jeden radiowóz zostaje.

Lulek usiłował powstrzymać Bobka i wytłumaczyć mu, że zmierzają właśnie w przeciwnym kierunku, ale ten się zaparł. Perswazje Tosi – machanie mu przez nosem golonką – również na wiele się nie zdały.

Bobek wiedział swoje.

Tak się wokół nich zakręcił, że zaplątana między nogami Tosi smycz wyszłignęła się nagle Lulkowi z ręki i pies...

Jak wyżeł czy inny chart pognał przed siebie, w poprzek parkingu.

– Mój pies! – krzyknęła Tosia. – Bobek! Bobek, wracaj!

– Bobeek! – Lulek też próbował nawiązać z nim łączność, ale włochaty uparciuch widocznie coś sobie zamierzył. – Gonimy go? – zdążył tylko zapytać i po chwili oboje rzucili się w pościg.

– Pani Tosiu! – Lulek usłyszał jeszcze, że w oddali ktoś za nimi nawołuje, ale już było za późno.

Za bzami zaczynał się mały skwerek wkomponowany w park i kiedy na niego wpadli, poczuli się, jakby trafili do wehikułu czasu i wylądowali w PRL-u. Stało tu sporo rozwalających się ławek, zieleni kłębiła się, gdzie chciała, a asfalt, którym niedbale wylano alejki, był szorstki i gdzieś tam popękany jak spracowane ręce górników, może nawet pamiętał Gierka – wszystko to jednak miało swój urok.

– Tam! – Lulek dostrzegł, że za krzakami coś się rusza, poza tym prowadziło ich donośne szczekanie.

Tuż obok nędznej ławeczki stali potwornie skonfundowani państwo Biczakowie, a pod świerkami zwijał się z bólu...

On!

Świr, który narobił tego całego bigosu.

Teraz usiłował się opędzić od doskakującego do niego Bobka, ale to nie było takie łatwe, Lulek coś o tym wiedział. Żeby zyskać pewność, że facet nie zerwie się nagle i nie ucieknie ścieżyną przy kortach, Lulek na wszelki wypadek też się na niego rzucił i przygwoździł go ciałem do ziemi.

Wtedy zobaczył, co facet ma na nogach.

Trudno ich było z tej odległości nie zauważyć – czarne wysokie buty ze srebrnymi sprzączkami, których tak bardzo mu zazdrościł...

– To ty?!

Przecież koleś był od niedawna ochroniarzem na ich uniwerku!

Tyle że w pracy nosił okulary, które zupełnie zmieniały mu twarz, czapka też robiła swoje, więc dlatego Lulek nie rozpoznał go na zdjęciach. Buty tak, ale kto by się zastanawiał nad butami, nie dawny Lulek. Obecny Lulek...

– I mokasyny mi się przez ciebie sfilcowały – warknął, po czym chciał pana ochroniarza przygnieść jeszcze mocniej, ale nadbiegli policjanci i go odciągnęli. Pani starsza sierżant była w swoim żywiole.

Tosia natomiast była przerażona.

– Nic ci nie jest? – spytała z troską.

– Coś ty, ja i Bobuś... Zobacz, jaki to dzielny pies! Zwęszył drania od razu, od pierwszego niucha! – Wydzielił Bobkowi porcję czułych pieścizot. – Morda czarna moja! Takich dwóch jak nas dwóch to nie ma ani jednego... – palnął i spróbował wyrównać oddech, a wtedy Bobek wykorzystał moment nieuwagi i wyrwał Tosi reklamówkę z golonką, po czym zwiął z nią w pobliskie krzaczki.

Nie mieli sumienia mu jej odebrać.

– Kupię ci jutro drugą – obiecała po cichu Lulkowi Tosia. – Bobkowi się należy.

– Niezły z niego gagatek – burknęła pani Regina niby potępiająco, ale w jej spojrzeniu była trudna do nazwania miękkość, którą przeniosła na córkę.

– Może zajrzę jutro? I wszystko mi opowiecie. Ze szczegółami – zaproponowała zachęcona wzrokiem matki Tosia.

Pan Biczak spojrział na nich niepewnie zza okularów.

– Z jakimi szczegółami?!

– No skąd się tu wzięliście, jak go złapaliście i tak dalej...

Nie zdążył odpowiedzieć, od tyłu nadciągnął zadyszany Marchewka.

– Dotarłem! – oznajmił, po czym zrobił się biały jak...

- Pietruszka! - zagrzmiała usiłująca za nim nadążyć zgrabna brunetka.

Komisarz stanął na baczność, spojrzął na towarzystwo, na świra zakutego elegancko w kajdanki, na kolegów, po czym z wątlwym uśmiechem na ustach...

Zemdlał.



Bez Marchewki żyło się jej źle.

Bardzo źle.

Marchewka nie był mężczyzną inwazyjnym. Nie zabierał wiele miejsca - dosłownie, ale i w ich wspólnej szafie, dzięki czemu Zuza mogła ją przejąć niemal w całości - nie wymagał, nie zrzędził, nie łypał krzywym okiem na nowe buty, nie miał za złe babskich humorów, nigdy nie mówił, że żona przesadza, nie oczekiwał, że będzie spędzać czas z nim i tylko z nim, lubił jej przyjaciółki, a do tego obsługiwał zmywarkę.

Był.

Całował ją zawsze na dzień dobry z uśmiechem, wspierał, wysłuchiwał historii o klientkach salonu, uspokajał przetaczające się przez Zuzę uczucia - a tych każdego dnia było mnóstwo! - kupował bez okazji kwiaty, nazywał ją kwiatuszkiem (ostem, ale też się liczy), mówił prawdę, nawet jeśli Zuza nie chciała jej słyszeć, i wszystko zauważał. Każde jej zmarszczenie nosa, ból głowy, troskę, radość. Miał po prostu na Zuzę ustawione radary - jak to w policyjnym żargonie określał.

Marchewki są zdrowe.

I smaczne.

I bez Marchewek nie uda się żaden rosół, a dom, gdzie nie ma rosółu, jest pusty. I taki był właśnie dom bez jej niewielkiego małżonka - wydawał się Zuzie zbyt duży.

W porządku, kiedy zeszło z niej pierwsze ciśnienie, zaczęła myśleć i widzieć nie tylko dziś i wczoraj, ale całą historię, wszystkie sytuacje. I musiała uczciwie przyznać, że w tych wszystkich sytuacjach Marchewka nigdy nie mizdrył się do żadnej kobiety, nigdy nie zachował się tak, żeby Zuza mogła mieć wątpliwości co do jego uczucia i może...

Marchewka mówił prawdę?

Istniała przecież i taka opcja.

Coś głęboko ukrytego w jestestwie Zuzy mówiło jej, że dała płamę po całości - zamiast przeczekać, spokojnie porozmawiać, znowu poszła, jak to ona, po bandzie. Kiedy to sobie uświadomiła, ogarnęły ją tak wielki wstyd i żal, że już chciała biec do profesora i błagać męża o litość, kiedy zobaczyła, że przed furką stoi...

Marchewka, jej Marchewka!

Dzwonił do własnego domu jak ktoś obcy i wtedy w Zuzie coś pękło.

Ależ małpa z niej!

Pełna poczucia winy rzuciła się do ogrodzenia, gotowa zrosić koszulę męża łzami skruchy, ale mąż ją powstrzymał. Zachowywał się nie jak Marchewka. Spojrzął na nią z ukosa, zrobił krok do tyłu, zachwiał się i omal nie przewrócił na ulicę.

- Pietruszka! - wrzasnęła więc, żeby go otrzeźwić. - A ty co?! Wyglądasz jak trup!

- Dziękuję. Możliwe, że spożyłem pewną ilość alkoholu - powiedział ze spokojem ministra zdrowia Adama Niedzielskiego, po czym stłumił czknięcie. - Nie mogę prowadzić. Czy będziesz tak uprzejma i zawieszysz mnie na miejsce zdarzenia?

Zuza odróżniała grzeczność od szczerości i wołała zdecydowanie tę drugą ewentualność, a już na pewno w najbliższych relacjach. „Pozdrawiam” w ustach własnego męża odebrałaby jako



przejaw dewiacji. Na szczęście Marchewka jeszcze się do tego nie zniżył...

- Ty podanie do mnie piszesz czy rozmawiasz z żoną?!

- Żona nie chce ze mną rozmawiać. I żona mnie śledzi.

Zużę przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

To mały patafian, policjant zawsze z niego wyjdzie. A ponieważ najlepszą formą obrony jest atak...

- Co ci robi?!

Marchewka oparł się o słupek.

- Wysyła za mną drona.

- Nie za tobą, bufonie! Ale w porządku, możliwe, że się pomyliłam i niesłusznie cię oskarżyłam.

Ty przeszedłeś na alkoholizm?!

- Przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Ależ on wyglądał żałośnie, jak zwiędła nowalijka!

- Gdzie cię zawieźć?

- Park. Jak najbliżej rosarium.

- Zaraz wyjeżdżam, poczekaj. Zabrać ci coś z domu? Może chcesz wody?

- Raczej małego klina - bąknął. - Zimne piwko, mały łyczek.

Jeszcze czego!

- Klina?! Rajstopy se z klinem załóż, knypku. Ja z alkoholikiem żyć nie będę!

- Mam nadzieję, że się z żadnym nie zwiążesz. - Na szczęście zdobył się na żart i Zuza przestała się martwić, choć nie do końca.

Uwinęła się w kilka chwil z autem, bramą i podjechała pod furtkę, na której zawisł jej zmaltretowany mąż.

- Karota zajechała. Pardon... Karoca! - obwieściła zawadiacko, licząc, że wywoła u niego uśmiech i prawie się udało, choć Marchewka uśmiechnął się tylko kącikami ust.

W drodze mało się odzywał, ale położył jej rękę na kolanie, więc go pocałowała i szepnęła cicho „przepraszam”. Chyba jej nie słyszał, miał zamknięte oczy, a kiedy dojechali na miejsce, widziała, że z trudem przyjął pozycję pionową. Trochę się ożywił, kiedy na parkingu zobaczył biegnącą gromadę policjantów, a pośród nich - tak, rudą małpę.

Pardon.

Świadka.

- Pani Tosiu! - zawałał za nią, ale bez skutku.

- Panie komisarzu, zgłoszenie seksu jest - powiadomił go ktoś z kolegów i z uciechą wskazał kierunek.

Zgłoszenie seksu, to brzmiało intrygująco. Marchewka przygarnął do siebie Zużę i wymruczał:

- Nie ma za co. Ja ciebie też.

I Zuza już pomyślała, że znowu się jej upiekło, ale z Marchewką naprawdę było niedobrze. Na skwerku za krzakami rozgrywała się jakaś scena, słychać było głosy, zaszczekał pies. I jej małżonek przeszedł na tryb policyjny - wyprostował się, zwarł i bez słowa wystartował do przodu, a zaraz potem nagle wyhamował.

- Pietruszka! - zawałała z irytacją, bo prawie się o niego potknęła.

Tyle że potem jej Marchewka...

Opadł bezwładnie na ziemię.



Od zdarzeń w parku minął równy tydzień.

Komisarz Piotrek Marchewka wylądował na oddziale toksykologii i ostrych zatruc w szpitalu w Sosnowcu, leżał tam w pokoju sam jeden jak palec, za to profesor Bukowiński i profesor Nałęcki wylądowali na Medyków w Katowicach, gdzie urządzali co wieczór debaty naukowe, pielęgniarki podobno za naukowcami szalały! Przesyłali mu przez Tosię i Lulka serdeczne pozdrowienia.

- Pan Bukowiński jest już w świetnej formie - relacjonowała z uśmiechem Tosia. - Jutro ma wyjść.

W czerwonej sukience w kwiatki wyglądała zjawiskowo i gdyby nie to, że trzymali się z Lulkiem za ręce, Zuza, która pełniła w szpitalu dyżur od samego rana, pewnie by się na ten widok wściekła.

Ale nie.

Od zajścia w parku i omdlenia Marchewki żona trzęsa się nad nim jak nad jajkiem i, o dziwo, przymykała oko na wiele spraw, które kiedyś doprowadziłyby do konfliktu. Wszystko już sobie wyjaśnili i było między nimi tak dobrze jak dawniej.

A może nawet jeszcze lepiej!

- Ale w żyłce ma dwa stenty - uzupełnił Lulek trzeźwo.

- Mój promotor z kolei nie może jeszcze wstawać, ale rana się goi wyśmienicie - zapewniła Tosia.

- Czyli wszystko powoli wraca do normy - stwierdził Marchewka i poprawił się na poduszce.

- A pan komisarz? - Lulek rozejrzał się po pokoju. - Długo tu jeszcze będzie pan puszkował?

- Jeszcze trochę.

- To pewnie przez ten preparacik, co? Świństwo podobno jak nie wiem. Trener też mi proponował, ale mięśnie mi same rosną, więc po co się truć... Kumple mówili, że od tego puchną nerki. A już w połączeniu z alkoholem...

Zuza od razu zbystrzała i Marchewka zamierzał się włączyć, ale nie zdążył.

- Jaki preparacik?! - zapytała, a w jej pytaniu zabrzmiało śledcze ozywienie.

Siłownię też z Zuzą przerobili, żona mu w końcu uwierzyła, ale przyznać, że jak głupek faszerował się prochami i że wbrew zaleceniom brał podwójną dawkę...

Trochę wstyd.

Na domiar złego Lulek aż się palił do składania obszernych wyjaśnień.

- Chodzimy razem z komisarzem na siłkę i mamy wspólnego trenera. I ten trener ma chyba jakiś procent ze sprzedaży tych prochów, bo próbuje to gównem wszystkim opchnąć. Że niby przyspiesza rozrost tkanki mięśniowej. Może i przyspiesza, ale najgorsze, że po tym dziadostwie podobno nie ten tego...

Lulek się zacukał, szukał właściwych słów.

- No facet nie staje na wysokości zadania - dokończył, widząc wpatrzony w siebie dwie pary kobiecych oczu.

Bardzo niebieskie oczy Zuzy zrobiły się granatowe.

- Pan ma na myśli, że...

- Impotencja. - Lulek nie pozostawił w tej kwestii żadnych niedomówień.

Marchewka z przykrością odnotował, że jego żona wbiła w niego wzrok aż po kłębuszki nerkowe, więc poprawił wenflon i boleśnie się skrzywił, ale Zuza nie dała się zwieść. Prędzej czy później do tego wróci, wiedział to.

Ta perspektywa go przerażała.

- Panie komisarzu, może zdradzi nam pan trochę szczegółów śledztwa? - poprosiła Tosia przymilająco i Marchewka poczuł wdzięczność.

- Co konkretnie chcecie wiedzieć?

- Wiemy już sporo - zapewniła Tosia. - Profesor Nałęcki opowiedział nam o książce Goški. Że miała męża, że ten mąż to ochroniarz na uniwersytecie, to ostatnie to akurat odkrycie Lulka. Ale ja się ciągle zastanawiam, czemu Goška nie chciała się do tego męża przyznać. Nie pisnęła na jego temat ani słowa. Nic! Przez cztery lata studiów! Czemu?

- A po co to miała rozgłaszać? Mogła sobie znajdować adoratorów i mieć komfort, że nikt jej nie będzie oceniał - stwierdził Lulek z rozbijającą prostotą.

Marchewkę głównie interesowały fakty, psychologią się wspierała, kiedy chciał je połączyć.

- Nie znam pani koleżanki osobiście, jeszcze jej nie przesłuchiwałem. Mąż pani Małgorzaty cierpi na poważną chorobę psychiczną i podobno to jest przyczyną wniesienia przez nią pozwu rozwodowego. Może tego koleżanka się wstydziła. Tylko że małżonek nie wyraża zgody na rozwód, za to oskarża żonę o zdradę. W zasadzie rozwód to jedyna sprawa, o której chce z nami mówić. Reaguje na ten temat bardzo emocjonalnie. Tak twierdzi Jadźka...

Twarz Lulka rozjechała się w uśmiechu, przez twarz Zuzy przeleciał mimowolny skurcz.

- Czyli mamy zakochanego przestępcę - podsumowała Tosia z uciechą.

- Przystępca... - powtórzył Marchewka i się zamyślił. - Przystępca tak, patrząc na jego ostatnie dokonania. Ale do tej pory był niekarany. Mało tego. Pracował jakiś czas w policji, ale później odezwała się choroba i ze względów zdrowotnych został zwolniony. Potem pracował w miejskim monitoring, dlatego nie ma go na żadnych kamerach, po prostu zna ich rozkład. A niedawno zatrudnił się w uniwersyteckiej ochronie, bo już miał plan...

- Chciał się zemścić na Bogumile Bukowińskim - weszła mu w słowo Tosia. - Profesor Nałęcki nam wytłumaczył.

- Tak, dokładnie o to chodziło. Zanim trafił do firmy ochroniarskiej, usłyszał rozmowę telefoniczną pani Małgorzaty i w tej rozmowie padło imię „Bogus”. Ze słów wynikało, że jego rywal jest profesorem na Uniwersytecie Śląskim. Tak doszło do pomyłki, jakie były jej skutki, wszyscy wiemy...

- Właśnie nie bardzo. - Tosia zgłosiła protest. - Ja na przykład nie rozumiem, czemu ten facet przywiązał profesora do imadła!

- Na początku nasz ochroniarz chciał uszkodzić rower i spowodować wypadek - kontynuował Marchewka. - Stwierdził, że skoro on nie może być z panią Małgorzatą, to nikt z nią nie będzie. Liczył na to, że profesor zostanie wyeliminowany bez zwracania niczyjej uwagi. Niestety, profesor go zaskoczył i wrócił do domu. Doszło do szamotaniny, mój sąsiad uderzył się w głowę, trysnęła krew. I tamtego poniosło. Jak mówiłem, bardzo ten rozwód i zdradę małżonki przeżywa. Stąd ten pomysł, żeby przywiązać profesora do imadła sznurem. Afekt, jak słusznie zauważył pan Nałęcki.

- Czyli chciał go zabić czy nie chciał? - Tosia wyglądała na zdezorientowaną.

- Chciał od samego początku, ale na swoich warunkach. Przywiązał go do imadła, żeby mu dać do myślenia, liczył na śmierć w wypadku. Poza tym pani mu przeszkodziła. - Marchewka wskazał na Tosię.

- A pan mnie zaczął podejrzewać!

- Była pani jedynym wspólnym ogniwem.

- Bo znałam Goškę i profesorów... I Lulka. - Ostatnie słowo wypowiedziała tak ciepło, że Marchewka ucieszył się, że Zuza włączyła klimatyzację.

- Tak. Ale po kolei. Ochroniarz dorobił sobie klucze pana Bukowińskiego, wykradł je po prostu któregoś dnia z jego gabinetu. Dla kogoś, kto miał dostęp do portierni, to nie był kłopot. Dorobił komplet, a potem odłożył oryginały na miejsce. Dlatego nie było śladów włamania.

Lulek pokiwał w ubolewaniu głową.

- A profesor Bukowiński jak na złość nie chciał umrzeć.

- Tak, wypadek na rowerze nie wypadł.

– Tylko skąd tamten od razu wiedział, że profesor jednak przeżył? – dopytywała Tosia. – Śledził go? I mnie? I profesora Nałęckiego?

Marchewka wspomniał dron i Zużę, niespecjalnie było mu na rękę zagłębiać się w takie szczegóły.

– Śledził w zasadzie wszystkich – odpowiedział dość ogólnie. – Nawet pana Lulka. A własną żonę w szczególności. Poza tym zbierał informacje w swoim nowym miejscu zatrudnienia. Ludzie lubią plotkować. Kiedy zobaczył, że profesorowi nic nie jest, wpadł na spontaniczny pomysł, żeby go wepchnąć pod autobus, co również nie przyniosło oczekiwanego rezultatu. Chwilę wcześniej, śledząc żonę, zobaczył ją z profesorem Nałęckim...

– On naprawdę myślał, że na Goškę wszyscy lecą?! – wyraziła niedowierzenie Tosia.

– Nie zapominajmy, że jej mąż jest chory, a na punkcie żony ma obsesję. Tak, uznał, że profesor Nałęcki też jest rywalem. Podobnie jak pan Lulek i pan Igor. Stąd próby kolejnych zamachów. I tu już faktycznie ochroniarz stracił nad sobą panowanie. Pan Lulek dobrze powiedział, frustrowało go bardzo, że pan Bukowiński jest tak uparty...

– A skąd miał mój adres? – Lulek wyglądał na zaintrygowanego.

– Prowadzi pan działalność gospodarczą – odparł Marchewka. – Ustalenie pana adresu to bułka z masłem.

– No tak. Czyli z tym gazem chodziło o mnie.

– Tak, umówił się pan na randkę z jego żoną.

Lulek nieco się zakłopotał, Tosia posłała mu jednak uspokajające spojrzenie.

– Słowo, już się z żadną nie umówię! – zapewnił. – A z tym dzbanem Igorem... Ta kradzież motoru, wracanie, tam coś było dziwnego.

Marchewka uważał inaczej.

– Nie, czemu? Po prostu sprawca planował włamanie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o swoim kolejnym celu. W sklepie usłyszał rozmowę telefoniczną, padła informacja, że będziecie na Akademii Górnośląskiej. Ukradł motor, licząc na to, że sprawdzimy kamery. Chciał panu Dziedzicowi zaszkodzić, namotać. Pojechał pana zaatakować nożem, wrócił, chciał odstawić motor, a wtedy z kolei wrócił pan Igor, który zapomniał dokumentów. I doszło do postrzelenia. Tu ciekawa sytuacja... – Marchewka chrząknął i rzucił spłoszone spojrzenie na Zużę. – Tak się składa, że ktoś z naszych ludzi był na Armii Krajowej, kiedy pana napadnięto.

Lulek uniósł w zdumieniu brwi.

– Tak? Niemożliwe!

– A jednak. Zrobiono sprawcy kilka zdjęć. Najważniejszy dowód jest taki, że na zdjęciu widać, że napastnik ma na szyi tatuaż. Literę W. A tak naprawdę to było odwrócone M. Czyli Małgorzata.

– U, to wtopił paskudnie.

– Wtopił.

– A jeszcze słyszałam... – wtrąciła się Zuza z bardzo niewinną miną. – Że ta próba wepchnięcia pod autobus też została zarejestrowana. Mówiłeś mi, pamiętasz? Wasz człowiek... No przecież puścił tego dnia w związku z INNĄ sprawą nad centrum dron.

– Tak, oczywiście – przytaknęła Marchewka, czując, że robi się cały czerwony.

Tosia od razu to wyłapała.

– To wspaniale. Wszystko z panem w porządku?

– Tak, dziękuję, trochę tu gorąco.

– Może podkreślić klimatyzację?

Zuza nie pozwoliła się jednak zdetrzonizować.

– Spokojnie, dajmy mu kilka minut – zarządziła. – Mój mąż zawsze się ekscytuje, kiedy mówi o pracy.

Chrząknął.

- Taaa. Coś nam jeszcze zostało do omówienia? Wiem - przypominał sobie - à propos dowodów. Skórzana kurtka. Na zdjęciach z Armii Krajowej sprawca miał kurtkę, a było gorąco. Ustaliliśmy, że kurtka należała do pana Igora, ochroniarz ją sobie pożyczył. Moi ludzie znaleźli ją razem z kaskiem w jego mieszkaniu, są na nich piękne ślady DNA. Kolejnym dowodem są dane z aplikacji, które uzyskaliśmy.

- Hulajnoga? - Tosia poprawiła opadający na oko miedziany kosmyk włosów, a Lulek znowu się w nią zapatrzył.

Pasowali do siebie.

Zuza też to widziała, posłała Marchewce delikatny, porozumiewawczy uśmiech.

Może nie wróci do tego proszku...

- Tak, hulajnoga - przytaknął. - Pierwszy raz przyjechał na hulajnodze, kiedy włamał się do budki z narzędziami, żeby uszkodzić rower. Pamięta pani, wymieniła pani widziane po drodze pojazdy? Drugi raz wsiadł na hulajnogę, kiedy uciekał po napadzie na profesora Nałęckiego...

- On faktycznie musi mieć coś nie po kolei w głowie. - Tosia w wspomnienie chwil w rosarium aż uniosła się na krzesełku. - Z nożem do człowieka w środku dnia? W parku albo w księgarni?! Niby w parku było mało ludzi, poniedziałek. A w księgarni ciemno, ale i tak to jest jakiś szok.

Marchewka rozłożył ręce.

- Sprawca działał pod wpływem silnych impulsów. Czasem swoje działania precyzyjnie planował, jak na przykład uwiedzenie pani Bukowińskiej, żeby profesor cierpiał, jak on, a czasem działał spontanicznie. Pani Bukowińska jest tu dobrym przykładem, z uwiedzenia ostatecznie zrezygnował, kiedy okazało się, że kolejna próba ataku na profesora skończyła się fiaskiem. Wtedy naprawdę się wściekł. Jak to mówią, w każdym szaleństwie jest metoda. Wracając do hulajnogi...

- Właśnie, co ma hulajnoga do drzewa? - Tosia użyła skrótu myślowego.

Na szczęście prosek na zwiększenie przyrostu masy mięśniowej już z Marchewki wyszedł, a nawet wypłynął, w związku z czym szare komórki znowu zaczęły mu działać.

- Czemu zaczął uciekać hulajnogą, a skończył na drzewie? Powód jest banalny, bateria w hulajnodze się rozładowała. Porzucił pojazd i zobaczył, że alejką idzie patrol, na stadionie miała być wieczorem jakaś impreza i policjanci krążyli po okolicy. Uznał, że zaczęliśmy go szukać, więc postanowił znaleźć kryjówkę i przeczekać. Wspiął się na drzewo, pod którym... - Marchewka przez moment się zawahał. - Pod którym usiedli pani rodzice. A gdzie wasz pies?

Tosia i Lulek spojrzeli po sobie i zarechotali.

- Bobek został z panią Reginą. - Lulek puścił do Marchewki oko. - Stwierdziła, że ktoś musi tego psa wychować. Tylko że to raczej Bobek wychowuje ją.

- O, to może go od was pożyczę... Taki pies to skarb.

Zuza mu pogroziła, ale w jej prześlicznych oczach widział to samo, co w oczach Tosi, kiedy patrzyła na Lulka, i w tym chłodnym pokoju zrobiło mu się na sercu...

Ciepło.

Tosia z Lulkiem zostali jeszcze chwilę, a kiedy wyszli, Zuza spojrzała na niego z ukosa, nabrała powietrza i Marchewce już zaczynało być lodowato, kiedy jej usta w kształcie serca się rozchyliły i padło słowo, którego się obawiał, ale w innej intonacji, niż myślał, że padnie:

- Preparacik?! - W głosie żony nie wibrowała złość, ale najprawdziwsza troska. - Ty mnie kiedyś do grobu wpędzisz. Za te prochy musisz odpokutować, nie myśl sobie. Za ten cały stres. Za to, że myślałam...

Ależ on bardzo chętnie odpokutuje.

- Nie ma sprawy. Tylko skończę... sprawę.

Zuza sięgnęła do torebki.

– Żadne skończę, żadne jutro, pojutrze, za tydzień. Teraz, Pietruszka! Teraz!  
W jej małych dłoniach zobaczył grzebień i dwie pary fryzjerskich nożyczek.  
– Mam poważne obawy... – zaczął.  
– Na twoim miejscu też bym miała. – Jego żona, właścicielka salonu kosmetycznego, zaśmiała się szatańsko. – Kurs fryzjerski skończyłam pięć lat temu. Ale ty w tych kłakach wyglądasz, jakby ci korzenie od GMO poprzerastały. Tragedia! Ani chwili dłużej!



Przecież nie wydtubie z siebie własnej matki widelcem.

Geny to geny.

Tosia wysnuła taki wniosek po ostatnim spotkaniu z rodzicami, do którego doszło dwa dni temu i które można by nazwać „wielkim czyszczeniem magazynów”. Powiedziała matce wszystko – wylała każdy żal, każdą pretensję, dla równowagi przyznała też, za co może być wdzięczna. Matka nie skomentowała tego czyszczenia ani słowem, pewnie musiała to wszystko przetrwać i zrobić swój własny remanent, ale nie wyczuwało się już między nimi napięcia, jakie poprzedza wizytę księdza proboszcza przed Bożym Narodzeniem.

Czy to się Tosi podobało, czy nie, dzieliła z matką nie tylko tkanki, ale i niektóre reakcje. Nie musiała się jej przecież spowiadać, dzwonić dwa razy dziennie i udawać, że są najlepszymi przyjaciółkami, skoro nadal czuła w środku opór. Ale mogła z nią przynajmniej utrzymywać poprawne relacje.

Poprawne nie znaczy bliskie.

Krótko, płytko i uprzejmie.

Skoro nie da się inaczej, skoro każde spotkanie kończy się kłótnią, to niech przynajmniej nie wisi w powietrzu siekiera, bo ta siekiera wali na odlew i obrywają wszyscy.

Tosia z Lulką leżeli sobie w parku na kocyku między brzozami i cieszyli się kolejnym wspólnym dniem.

– Muszę się czymś podzielić – zaczęła Tosia, zdejmując z bluzki Lulka zieloną aksamitną gąsieniczkę, przypominającą obtoczonego w cukrze żelka. – Zobacz, więź z matką, nawet najbardziej chora, i tak jest dla każdego najważniejsza. To przecież z matką uczysz się, jak traktować ludzi i świat.

– Aha...

– A jak ta więź kuleje i się do tego nie przyznasz i zamieciesz pod dywan, to i tak to do ciebie wróci. W takiej czy innej formie.

– Aha.

– I potem spotykasz taką Gośkę, którą wpychasz w rolę matki.

Lulek oparł się na ramieniu, a w jego brązowych oczach pojawił się ostrożny sceptycyzm.

– Ja jej jak mamusi nie traktowałem. A co do wpychania...

– Ale ja podświadomie ją tak traktowałam! – oznajmiła Tosia z uporem. – Jest ode mnie starsza prawie dziesięć lat. Dziesięć! I przerabiałam z nią relację matka-córka.

– Ożeż...

– Serio! Szkoda, że się tak późno zorientowałam.

– Ale się zorientowałaś. Tosia... Tu i teraz – przypomniał Lulek. – Zobacz, jak się tu mamy pysznie. Ile trawy. W dodatku na pełnym legalu!

Tosia mimowolnie się uśmiechnęła, ale głęboka analiza układów rodzinnych pewnie trwałaby nadal, gdyby Lulek nie zaczął się wygłupiać.

- Matka-córka. A co byś powiedziała, gdybym chciał zostać twoim... Dziadkiem! Do orzechów. Będę cię chrupał!

- Chyba łupał...

- Najpierw trzeba wyłupać, żeby potem móc schrupać.

- Wiedziałam... Ale czemu dziadkiem?!

- To chłopakiem. Na posytki. Będziesz mnie mogła lizać...

- Proszę? - zachichotała.

- Posytki się liże. - Lulek był swoją wizją bardzo poruszony.

- Przesytki! I liże się znaczki - poprawiła go Tosia. - Coś ci się chyba pomyliło.

- To mogę być twoim chłopcem do bicia. Możesz się nade mną znęcać.

- Chciałbyś. Wykluczone.

- Eunuchem?

- A oni czasem nie są wykastrowani?

- Aaa, czyli jednak zależy ci na moich organach. I orgazmach. To niewolnikiem!

- Niewolnik brzmi znośnie. Tylko że ja jestem za równością.

- Facetem do wynajęcia?

- Już u ciebie wynajmuję mieszkanie, nie pamiętasz?

- Narzeczonym mimo woli?

- Mimo czyjej woli? Chyba nie twojej.

- Narzeczony mimo woli w takim razie odpada - zdecydował Lulek, robiąc minę, która rzekomo świadczyła o tym, że temat poważnie przemyślał. - Chociaż jest film z Sandrą Bullock pod tym samym tytułem. I ona tam lata goła, jest też pies, wiadomo, jest dywanik! I ona na niego wpada, bo on też jest goły.

Lulek jak zawsze opowiadał chaotycznie, co Tosię bawiło.

- Kto jest goły? Dywanik czy pies?

Ganiający nieopodal za dziećmi i piłką Bobek najwyraźniej uznał, że właśnie teraz nadeszła właściwa chwila, żeby przypomnieć o swoim istnieniu. Wskoczył na kocyk i rzetelnie go uświł, a kiedy został nazwany najpiękniejszym kundlem na Śląsku (Lulek) i najbardziej irytującym kundlem w okolicy (Tosia), wziął nogi za pas i kontynuował zabawę.

- Narzeczony. - Lulkowi to słowo najbardziej odpowiadało. - To co, to może narzeczony z woli? Nie, bez sensu. Wola to dzielnica Warszawy. O, już wiem, narzeczony z Tysiąclecia! Może być? Brzmi godnie.

Tosia w odpowiedzi tylko go pocałowała.

Tu i teraz.

Blask trawy - jeśli wpatrzeć się w podświetloną słońcem zieleń - potrafi tchnąć w człowieka taką radość, że można ten widok zamknąć pod powiekami, które na moment staną się zielone. Ten moment można potem wspominać i to wspomnienie może stać się pocieszeniem w chwilach, kiedy światło na jakiś czas zgaśnie.

24.04.2022



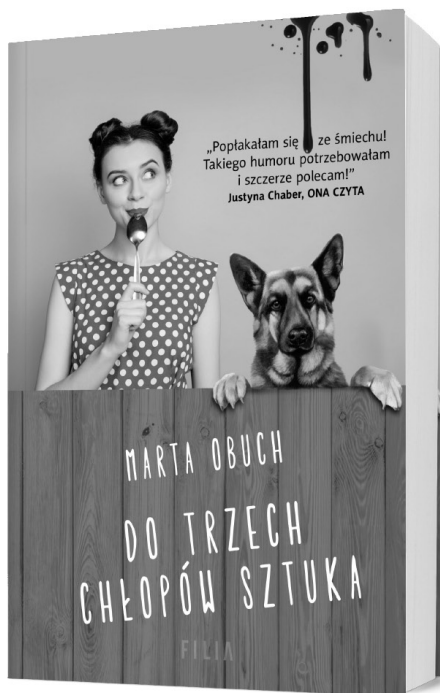




Czy upadek z rury go-go to upadek moralny czy na odwrót  
– życiowy przełom?... Oj, będzie się dziać!

**FILIA**





Brodacz i brunetka, wszechmocny paralizator (nie: wibrator)  
i dużo dobrego humoru. A to ci heca!

**FILIA**

## SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[\\*\\*\\*](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)